



płyta CD - „ŚPIEWA IZRAEL”

**Festiwal
Muzyki Dobrej**

Bracia Golec

Beata Bednarz

Litza

Leaf

21/2002
RUaH

MAGAZYN
MUZYCZNY

KWARTALNIK  14,90 zł
www.ruah.pl w tym VAT 0%

ISSN 1428-5983 INDEX 345385
nakład 7500 egz.

ISSN 1428-5983

1 2



9 1771428 598042

Płyta RUaH 21 „Śpiewa Izrael”

1. 2 TM 2.3 - Psalm 23 (śl. na podstawie Pisma Św. Angelika Korszyńska-Górny, muz. Angelika Korszyńska-Górny) - z płyty „Pascha 2000 Tour”, Wydawca: S.D.C, 2000 4:53

2. SHOMER - Kos Yeshuot (śl. Ps 116,12-13.17-18; muz. trad. hebr.) - z płyty „Shomer”, Wydawca: Grupa Shomer, 1999 2:36

3. MAGDA ANIOŁ - Święty spokój śl. i muz. Adam Szewczyk) - z płyty „Ani oko, ani ucho”, Wydawca: Paganini, 2002 3:26

4. ELIEZER - Szeibone beit chamikdasz [Oby się stało, by świątynia Pana została odbudowana] - (śl. i muz. trad., hebr.), 2002 4:30

5. DROGA DO EMAUS - Wielbi dusza moja Pana (śl. Łk 1, 46-55; muz. Krzysztof Paczos MIC) - z płyty „Jak śmierć potężna jest miłość” Wydawca: Stowarzyszenie Jezus Żyje, 1997 3:02

6. TOMASZ BUDZYŃSKI- Cuda (śl. i muz. Tomasz Budzyński) - z płyty „Taniec szkieletów”, Wydawca: Fundacja Godne Życie, 2002 5:25

7. WSPÓLNOTA MIŁOŚCI UKRZYŻOWANEJ - Śpiewa Izrael (śl. i muz. trad. hebr.) - z płyty „Wykrzykujcie Bogu”, Wydawca „Veni”, 2002 2:57

8. ARKA NOEGO - Ziemia Święta (śl. i muz. Robert Friedrich) - z płyty „Mamatata mam dwa lata”, Wydawca: Fundacja Godne Życie, 2001 2:50

9. NINA STILLER - Chalilli [Oto mój flet], (śl. i muz. hebr. Emanuel Zamir) 3:54

10. DROGA DO EMAUS - Powstań wietrze (śl. Pieśń nad Pieśniami 4,16 - 7,12, muz. trad. hebr.) - z płyty „Jak śmierć potężna jest miłość”, Wydawca: Stowarzyszenie Jezus Żyje, 1997 3:58

11. NLM - Nie ma takich gorzkich łez (śl. Robert Cudzych, muz. Lidia Pospieszalska) z płyty „Dla Ciebie i dla mnie”, Wydawca: MIX - Studio Dźwięku, 2001 2:33

12. ANNA SZAŁAPAK - Psalm (śl. Agnieszka Osiecka, muz. Zygmunt Konieczny) - z płyty „Anna Szałapak”, Wydawca: Anna Szałapak, 1991 6:23



Już po raz piąty przeżywamy z Wami Boże Narodzenie! Świętom tym towarzyszy zawsze refleksja nad kończącym się rokiem, nad czasem, który upłynął, nad życiem. Wszystkim Czytelnikom naszego pisma życzymy, by zawsze pamiętali, że każde życie pochodzi od Boga, przychodzi przez Chrystusa i tylko przeżywane w jedności z Nim ma sens. Niech Chrystus rodzi się w Was wciąż na nowo i pokazuje cel wszelkiego Dobra, które czynicie!

Redakcja RUaH

W NUMERZE

- 6 Newsy
- 8 Matemblewo
- 9 Przewodnik po CD
- 10 O muzyce Żydów Mesjańskich
- 12 Toronto 2002
- 14 Co powiedział Litza?
– w Rytychbłotach
- 17 Abecadło Muzyków Chrześcijan
- 21 Anioł w Toronto
- 24 Nawróceni - radykalni?
- 28 Beata Bednarz – wywiad
- 43 Jacek Kowalski – Średniowiecze
- 44 Janusz Muniak – świadectwo
- 49 O koncercie Pneumy – wywiad
- 50 Sue Rinaldi
- 55 Cezary Sękalski – o mediach
- 56 Wiener Sangerknaben
- 58 Zła muzyka w Kościele
- 60 Łukasz Golec - wywiad
- 64 Nowa płyta Budzego

oraz stałe pozycje:
zapisnik Tośki Krzysztoń, listy, recenzje, nuty

RUaH numer
RUaH 21

WYDAWCA / REDAKCJA:

paganini

Małgorzata i Janusz Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl

RUaH w internecie: www.paganini.com.pl, www.ruah.pl
Druk: Drukarnia Kolejowa Kraków Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.

Na okładce: Tamara Kasprzyk (Deus Meus)

Fotografia na okładce: Jan Bujnowski

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba

Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP

Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP

Grzegorz Kaczmarek

Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba

Skład i łamanie: G. K. i A. K. / fabryka bA!

Korekta: Kinga Chojnacka

Stali współpracownicy: Natalia i Tomek Budzyńscy, Jan Bujnowski, Andrzej Cudzych, Andrzej Dziewit, Iwona Flisikowska, Jan Gołaski, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty, Darek Malejonek, Beata Mencil, Marcin Perfuński, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Cezary Sękalski, ks. Tomasz Toboński, Leszek Tokarski, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Monika Zytke.

RUaH 5



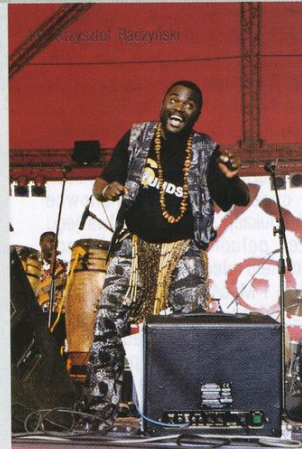
Grupa 3Siostry ukończyła właśnie prace nad koncertową płytką o tytule „3S-live”. Jest to zapis koncertu na „Przystanku Jezus 2002” w Żarach. Zespół zdecydował się ograniczyć ilość wydanych egzemplarzy do kilkuset ze względu na trwające zaawansowane prace nad studyjnym albumem, który ma zawierać część kompozycji zawartych na koncertowym krążku. Niemniej jednak koncertowe kawałki prezentują się zupełnie inaczej od swoich studyjnych wersji. W końcu live to live!!!

W dniach 14-17 listopada w Durszynie (w klasztorze oo. Franciszkanów) odbyły się warsztaty muzyczne z udziałem grupy New Life 'M i jej przyjaciół. Zorganizowała je Wspólnota Ruchu „Światło-Życie” – „Dobry Duch - Dobra Muzyka” z Sosnowca. 80 uczestników podzielonych zostało na sekcje: gry na gitarze uczył Robert Cudzych, na basie – Marcin Pospieszalski, na instrumentach klawiszowych – Joachim Mencil, na perkusji – Piotr Jankowski. Wokalistów(-stki) szkoliły – Natalia Niemen, Viola Brzezińska (Saruel) i Basia Włodarska (TGD). Uczestnicy warsztatów poza zajęciami w sekcjach poznawali też problemy pracy w zespole. Wykłady i zajęcia ze śpiewu liturgicznego prowadzone przez o. Andrzeja Bujnowskiego OP wniosły w spotkania duchowy wymiar. Grupa „Dobry Duch...” zachęcona entuzjazmem uczestników spotkania chce zorganizować następne podobne warsztaty z udziałem muzyków NLM w marcu 2003 roku – w Stryszawie (Beskid Makowski). O działalności Wspólnoty czytaj na stronach: www.dobramuzyka.iap.pl

Salezjańskie Wspólnoty Ewangelizacyjne (SWE) wydały w październiku płytę grupy Stróże Poranka z Poznania, której producentem jest perkusista i gitarzysta - Tomek Krzyżaniak /info o zespole znaleźć możesz na stronie: www.swe.prv.pl/. O zjawisku SWE i zespole postaramy się napisać więcej w kolejnym numerze RUaH.

5 listopada br. Mieczysław Szczeciński wystąpił na Festiwalu Piosenki Religijnej w Toronto, na który zaprosiła go tamtejsza Polonia.

Z informacji zamieszczonej w Biuletynie KAI: Gwiazdy światowego popu i rocka wystąpią 14 grudnia na tradycyjnym koncercie bożonarodzeniowym w Auli Pawła VI w Watykanie, zorganizowanym przez Wikariat Rzymu. Koledy i piosenki świąteczne zaśpiewają m.in. Dionne Warwick, Lisa Stansfield, izraelska piosenkarka Noa, Bryan Ferry, grupa The Corrs, Lionel Richie i Ronan Keating. Koncert zarejestrowany na taśmie telewizyjną włoską wyemituje w wieczór wigilijny.



W październiku The Sakala Brothers z Zambii znów byli w Polsce! Zagrali w Krakowie, Warszawie (Teatr Wielki), Wrocławiu, Miastku, Czaplinku, Pile i Bielsku-Białej. Wszystkie koncerty odbierane były przez ich uczestników entuzjastycznie.



Grupa Pneuma od września br. ma nowego perkusistę. Jest nim Przemek Chłąd.

Strona internetowa Magazynu Muzycznego RUaH (www.ruah.pl) jest najlepsza! Tak przynajmniej uważa Fundacja „Opoka”, która 15 września, w Dniu Środków Społecznego Przekazu, ogłosiła wyniki konkursu „OPTIME A.D. 2002” na najlepsze katolickie witryny internetowe. W kategorii „różne” byliśmy bezkonkurencyjni. W komisji zasiadali specjaliści m.in. z portalu Wirtualna Polska, z firmy „tp.internet” oraz z Fundacji „Opoka”. Docenili oni nasze teksty i multimedialność. W nagrodę otrzymaliśmy czek na zakup sprzętu komputerowego. Dzięki niemu będziemy mogli unowocześnić naszą stronę. Nagrody rozdano podczas Złotu Internautów, który odbył się 15 września w auli Papieskiego Wydziału Teologicznego „Bobolanum”. Podczas spotkania dyskutowano m.in. na temat wprowadzenia „certyfikatów katolickości” dla stron internetowych oraz o współpracy katolickich webmasterów.

Oprac. AR, AB, JK, MP, AM, RZ

Festiwal

MŁODZI I MIŁOŚĆ Matemblewo 2002

- Nie możecie przegrać miłości - to słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, które były mottem tradycyjnie odbywającego się już od kilku lat w Gdańsku-Matemblewie Festiwalu „Młodzi i Miłość”. Cyklicznie w czerwcu, tym razem po raz ósmy, zgromadził on kilkanaście tysięcy młodych.

Corocznie w spotkaniach matemblewskich biorą udział znani muzycy, gościli tutaj: Mietek Szcześniak, Darek Malejonek ze swoim zespołem, Robert Friedrich i Arka Noego, Agape. W tym roku gospodarzami były zespoły Jestem i Etna, a gościem Natalia Kukulska, która, ku zaskoczeniu większości, podzieliła się ze słuchaczami świadectwem Bożej obecności w jej życiu. Gościem specjalnym był również Josh McDowell, znany amerykański autor książek na temat seksualności, językoznawca i teolog w jednej osobie, ukazujący manowce współczesnej „moralnie neutralnej” edukacji seksualnej. Dwa jego wykłady, które odbywały się przed południem i w godzinach popołudniowych, zgromadziły bardzo wielu młodych.

Wśród uczestników Festiwalu „Młodzi i Miłość” były osoby, które szukają swojej drogi i prawdy: Matemblewo ukryte w leśnej ciszy - powiedział Rafał - skłania do refleksji, zastanowienia nad własnym życiem. Znalazłem się tutaj „przypadkiem”, zaproszony przez bliską mi dziewczynę. Niczego nie oczekiwałem, ale widzę, że trudno jest przejść obojętnie wobec ewidentnych znaków entuzjazmu, szczerości i otwarcia ludzi, którzy mnie tutaj otaczają. Coś w tym jest... Myślę, że tutaj wrócę.

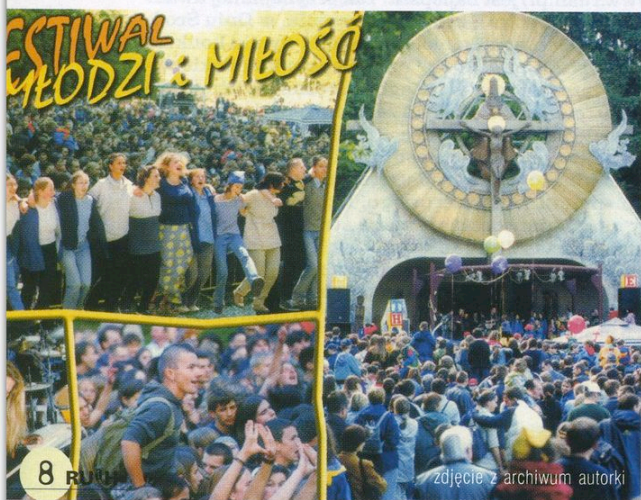
Wieczorem na dużej scenie, a ściślej rzecz ujmując, na „ołtarzu papieskim” przeniesionym tu z sopockiego hipodromu, gościli muzycy wymienionych wyżej zespołów, a towarzyszyło im składanie świadectw. Warto przypomnieć, że w Matemblewie znajduje się Sanktuarium Matki Bożej Brzemiennej, która jest patronką Festiwalu i tego niezwykłego miejsca. Dla wielu młodych jest to miejsce i czas osobistych przyrzeczeń. Zachowanie czystości dla mężczyzny, którego się pokocha i z którym się będzie, jest czymś szczególnie pięknym - stwierdziła Marysia. - Tak jak powiedzenie, że zachowałam dla ciebie swoją czystość, bo cię kocham. Wiem, że dla wielu mogą to być wyzwania dziwne, czy nawet szokujące (nie mówiąc o uśmieszkach, dowcipach itp.), ale wiem również, że wielu młodych pragnie takiej czystej i głębokiej miłości, aby wytrwać w tych postanowieniach do chwili małżeństwa. I chociaż jest to niezwykle trudne - możliwe!

Organizatorzy Festiwalu mówią, że przyszłoroczny ma być szczególnie i wszystkich ma zaskoczyć. Czym? Na razie jest to tajemnica. Natomiast ks. Drzał pragnie otworzyć jesienią dla młodych działający stale ośrodek edukacyjno-kulturalny nazwany po prostu MODEM. Dla wszystkich, którzy są zainteresowani tym dziełem, podajemy kontakt: Ks. Zbigniew Drzał

Opiekun Ośrodka MODEM

Tel. 0*58-348 03 67 lub 0607-06 04 84

Iwona Flisikowska



8

RUBRYKA

zdjęcie z archiwum autorki



SARUEL we Włoszech

fol. Krzysztof Raczynski

„Lo so, che mio nome per te e importante, o Gesu” - dopiero tu we Włoszech te obce słowa nabrały znajomego i bliskiego kolorytu. A gdy nucili je nasi włoscy przyjaciele, brzmiały równie pięknie jak polskie: „Wiem, że moje imię jest dla Ciebie ważne, o Jezu”.

Pół roku temu zespół Saruel Music z lekkim niedowierzaniem słuchał o planowanym wyjeździe i koncertach we Włoszech. W czerwcu chór otrzymał przetłumaczone teksty piosenek i pod batutą ks. Cezariusza Cieszyńskiego z nutą radości łamał sobie język na próbach opanowania nowych zwrotów. Gdy 8 sierpnia stanęliśmy przed autokarem dopakowując instrumenty muzyczne, już nikt nie miał złudzeń. Jechaliśmy na koncerty i wspólne wakacje do słonecznych Włoch.

Bella Italia powitała nas mglistą i deszczową aurą, która nie zdołała jednak przyćmić pięknych widoków i krajobrazów. Zamieszkaliśmy w malowniczej miejscowości, w sercu włoskich Dolomitów - Tione di Trento, w domu goszczącej nas grupy „L'Ancora”. Na ich zaproszenie Saruel Music przez cztery dni koncertował w różnych miejscach turystycznego Trentino.

„L'Ancora” to stowarzyszenie działające na rzecz dzieci i młodzieży, a także ich rodzin, próbując zapewnić im swoją pomoc pedagogiczną, psychologiczną i socjalną. To także grupa muzyczna - taneczna, która poprzez tworzone przez siebie widowiska przekazuje innym swoją radość i miłość do życia.

„Non tener, ama mi...” - tak zaczęliśmy nasze dzielenie się muzyką podczas niedzielnej Eucharystii, a później wieczornym koncertem w Strembo. Początkowo kamienne twarze włoskich słuchaczy rozjaśniały się nie tylko na dźwięk znajomych słów, ale i ze względu na polskie brzmienie. Mimo obaw organizatorów, zlaicyzowane społeczeństwo włoskie z radością przyjmowało słowa wychwalające Boga. Tę prawdę niósł słowa piosenki: „Nie bój się”.

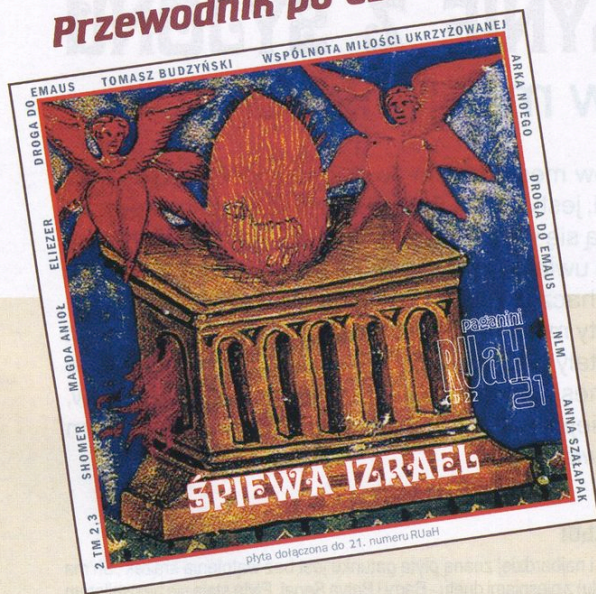
Drugi koncert nad jeziorem w Molveno zgromadził kilkaset osób. Mimo zimna, z radością razem z widownią bisowaliśmy „Canta alleluia al Signor”, przyglądając się rozłańczonym dzieciom. „Anche mio cuore... - I moje serce też oddaje Tobie cześć” brzmiać po raz trzeci w Carisolo zaowocowało spowiedzią młodego chłopaka. Był to czas wielkiej muzycznej fiesty i modlitwy. Nasze granie zakończył występ w małej Pelugo i wspólne zdjęcie z nowymi przyjaciółmi, którzy cichutko nucili włoską wersję „Adonai”.

Oprócz koncertów „L'Ancora” przygotowała dla nas wiele atrakcji: italo disco, zwiedzanie kuźni i młyna, a także świąteczny obiad z polentą, która zastąpiła dotychczasową pastę (makaron). Były też niezaplanowane niespodzianki, jak widoki kilkukilometrowych przepaści z okien autokaru czy błękitnej tafli jezior. Był to dla nas czas modlitwy, podczas codziennych Eucharystii, a także zabawy, wypoczynku, dzielenia się Bogiem, talentami i umiejętnościami. Mimo barier językowych z ludźmi z „L'Ancora”, czuliśmy się jak w rodzinie. Piękna Italia przyjęła nas z wielką otwartością i życzliwością.

Z niekłamnym ociąganiem po tygodniu wspólnego świętowania, 16 sierpnia wróciliśmy do Polski. Pobyt w Tione di Trento - wspólne wakacje zespołu Saruel Music dobiegły końca, ale przed nami nowe i pełne niespodzianek drogi przygotowane przez Pana. Może znów będziemy mogli powtórzyć wypowiedziane przez Violę Brzezińską słowa: „Spełniło się moje wielkie marzenie. Wróciłam do Włoch i mogłam tu śpiewać”.

Sylwia Gajewska

Przewodnik po CD



W roku 1999 do nr 8 RUaH dołączyliśmy płytę z piosenkami inspirowanymi muzyką Izraela, „o czystego kraju” naszego Zbawiciela. Prezentowała ona najlepszych, naszym zdaniem, wykonawców polskich, w których repertuarze znalazły się utwory o żydowskim charakterze. Okazało się, że składanka ta (jej tytuł: „Słuchaj Izrael”) dotarła w naszym kraju do kilkunastu tysięcy osób, a są tacy, którzy chętnie zdobyliby ją i dzisiaj. I nie ma się co dziwić, ludowa (czytaj: religijna!) muzyka naszych „starszych braci” w wierze, dziś rozproszonych po całym niemal świecie, jest tak żywołowa, melodyjna i uduchowiona, że nie ma chyba nikogo, kto przeszedłby obok niej obojętnie. Podziwiają ją Niemcy, Francuzi, Amerykanie, Włosi, reprezentanci różnych nacji, a wśród nich – mieszkańcy kraju nad Wisłą, w którego „pejzaż kulturalny” jest ona od kilku stuleci organicznie wpisana. Dziś nadeszły czasy, kiedy młode pokolenie twórców, nie chcąc wspominać uprzedzeń, które żywiły do siebie jeszcze pół wieku temu „obce sobie” narody (dla wierzących – wszyscy ludzie są braćmi!), czerpie wielkimi garściami z ludowej skarbnicy Izraela. Postanowiliśmy zatem, że będzie kontynuacją! Na płycie towarzyszącej niniejszemu numerowi RUaH zebraliśmy kolejne piosenki, na które warto zwrócić uwagę! Zostały one nagrane w ostatnich latach, a przecież wciąż są „wyciągane z różnych szuflad”, opracowywane i śpiewane. Wspólnym mianownikiem naszej „kompilacji” jest szeroko pojęta inspiracja polskich artystów chrześcijan (i nie tylko!) hebrajską tradycją muzyczną. Słuchając płyty można się przekonać, że inspiracja ta jest niezwykle bogata i różnorodna! Bardziej nawet niż nam się do niedawna zdawało. Na krążku „Śpiewa Izrael” przedstawiamy zespoły reprezentujące odległe



od siebie „światy muzyczne” i wysoką jakość artystyczną wykonywanej muzyki. Większość z nich jest czytelnikiem RUaH dobrze znana, inne funkcjonują „lokalnie”, choć może niebawem stanowiąc będą o pierwszej linii „muzycznego frontu” w Polsce. Z grup, o których nie pisaliśmy dotąd w naszym kwartalniku, zwracamy szczególną uwagę na działającą już blisko 10 lat w Gdańsku Wspólnotę „Droga do Emaus”, która swe spotkania modlitwne opiera głównie na melodiach żydowskich. Jej pieśni aranżuje i często – pisze, znakomity pianista i akordeonista (słuchać go na płycie!) – Cezary Paciorek, a pomaga mu w wyszukiwaniu, bądź komponowaniu ich, szef grupy – ks. Krzysztof Paczos MIC. Aż szkoda, że trzy nagrane (w latach 1996/97) przez Wspólnotę kasety (kasety, a nie płyty!) są tak mało znane i rozpropagowane w naszym kraju, bo poruszenie towarzyszące ich muzyce przyprawia o dreszcze. Na naszym krążku znajdziecie dwie piosenki z sesji nagraniowej, która odbyła się nie w studio, a w kościele w 1997 roku. Brało w niej udział kilkudziesięć osób, w tym chór, soliści i instrumentalniści. Wszystkich razem nagrywano „na żywo”, stąd ogromna żywołowość i specyficzne brzmienie muzyki.

Na płycie RUaH debiutuje też ciekawa piosenkarka z Warszawy, żydowskiego pochodzenia, Nina Stiller. Jej śpiewana po hebrajsku piosenka – „Chalil li” („Oto mój flet”), pochodzi ze spektaklu muzycznego „W jej oczach”, którego głównym tematem jest ukazanie dróg rozproszonych po całym świecie Narodu Wybranego (od czasów Izraela starożytnego po dzisiejsze). „Komentując tę rzeczywistość utwory, od egzotycznych wschodnich rytmów przez liryczne modlitwy, pięknie zaaranżowane przez Joachima Mencla (New Life 'M) we współczesnej folkowej stylistyce, porywają swą innowacyjnością, a dzięki autentyzmowi wykonania i walorom głosowym artystki, są poważną propozycją dla wielkiego, światowego grona słuchaczy stylizowanej muzyki etnicznej” – napisali dziennikarze o spektaklu. Prezentowany był on już na Festiwalu Kultury Żydowskiej na krakowskim Kazimierzu, a oglądać go będzie można niebawem w stolicy. Pojawi się też zapewne płyta z jego zapisem.

I wreszcie niezwykle Marek Marossanyi (czytaj: Maroszani) z Wrocławia, którego odkryliśmy w trakcie nagrywania jego pierwszej płyty. Powstaje ona przy współudziale muzyków tego miasta, a wśród nich znanego pianisty i aranżera piosenek – Andrzeja Waśniewskiego (Andy W.+ Brothers & Sister, kiedyś Oweyo, obecnie także Cool Blue). Marek mówi: „Urodziłem się z żydowską duszą, a taskawy Wszzechmogący pozwolił jej wrócić na swe miejsce. Jestem Wyznania Mojżeszowego. Pieśniami zajmuję się od dawna. Lecz dopiero ostatnio udało mi się powołać zespół o nazwie Eliezer, w którym jestem wokalistą. Śpiewam tradycyjne liturgiczne pieśni żydowskie, a niektóre z nich mają nawet po kilkaset lat. Naszym pragnieniem jest nadać im brzmienie wschodnie, a jak to brzmi – sami oceńcie”. Na płycie usłyszycie piosenkę Eliezera, wyrażającą pragnienie, by Świątynia Pana była rychło odbudowana. Zjemy miłego odbioru muzyki!

Andrzej Bujnowski OP / Janusz Kotarba

Cezary Paciorek



Marek Marossanyi



Nina Stiller



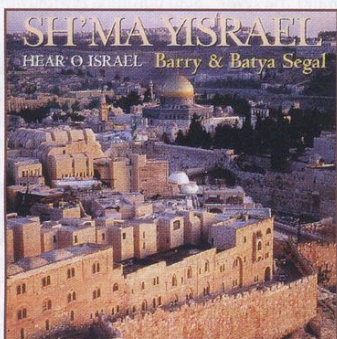
zdjęcia z archiwum RUaH

SŁOWO PANA PŁYNIE Z SYJONU

o muzyce Żydów mesjańskich

Podobno na świecie żyje około 40 milionów Żydów mesjańskich. To ci Żydzi, którzy odkryli, że Mesjaszem, którego z tęsknotą oczekuje cały Izrael, jest Jezua (hebrajskie imię Jezusa). Jeszcze przed 35 laty nie mieli żadnej synagogi. Dziś modlą się w trzystu pięćdziesięciu chrześcijańskich świątyniach na całym świecie. Ich piękna modlitwa uwielbienia, oparta na tradycyjnych pieśniach Izraela, głęboko porusza serce i sprawia, że słuchacz mimowolnie zaczyna się modlić.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie przed laty monumentalne utwory śpiewane w świętym języku. Mocno oparte na Słowie, na długo pozostały w mojej głowie, a ja zacząłem biegać po księgarniach muzycznych i szukać płyt Żydów mesjańskich. Kilka znalazłem. Oto parę słów, które z pewnością nie wyczerpują tematu. Niniejszy tekst jest zaledwie jego muśnięciem i delikatnym szkicem do tego niecodziennego zjawiska.



SŁUCHAJ IZRAELU!

Kamieniem milowym i najbardziej znaną płytą gatunku jest bez wątpienia krążek „Sh'ma Yisrael” (Słuchaj Izraelu) z pieśniami duetu - Barry i Batya Segal. Płyta stała się bestsellerem na świecie (również w Polsce!) i ukazała się już w dwu różnych szatach graficznych (menora i zdjęcie Jerozolimy z lotu ptaka). Sięgali po nią często nawet nawróceni muzycy rockowi. Autorzy albumu są czołowymi wykonawcami muzyki praise&worship. Oboje pochodzą z Izraela i tam też prowadzą swą działalność misyjną. Założyli nawet humanitarną organizację misyjną „Vision for Israel” (organizującą m.in. dystrybucję leków, żywności, odzieży, literatury i muzyki chrześcijańskiej). Batya jest autorką i kompozytorką hebrajskiej muzyki mesjanistycznej. Świetnie zaaranżowana płyta zaskakuje subtelnym i bardzo udanym połączeniem nowoczesnego popu z elementami etnicznymi charakterystycznymi dla Bliskiego Wschodu.

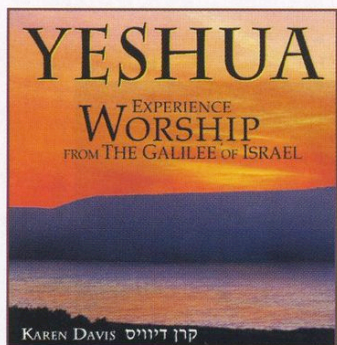
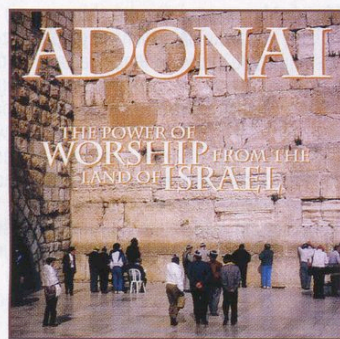
NIEZWYKŁA WYTWÓRNIA

Większość płyt, które docierają nad Wisłę, pochodzi z wytwórni Galilee of the Nations. To niezwykle, założone w 1997 roku w Galilei wydawnictwo postawiło sobie za cel promocję muzyki pochodzącej bezpośrednio z Ziemi Świętej i osadzonej mocno w kulturze Izraela. „To Słowo Pana płynące z Góry Syjon w muzycznej oprawie” - opowiada Yochanan Ben Yehuda, założyciel firmy, ogromny pasjonat muzyki. W swych tekstach zachęca on chrześcijan na całym świecie do modlitwy za Jerozolimę i zbawienie Żydów, chce też dotrzeć bezpośrednio do społeczności żydowskich i przedstawić im Jezusa jako Jedynego Zbawiciela. Artyści skupieni wokół wytwórni czynią to m.in. na albumie „Adonai. The Power of Worship from the Land of Israel”. Tak jak w czasach biblijnych, ostatnio znów wokół świątyni w Jerozolimie rozbrzmiały dźwięki uwielbienia i chwały dla Boga. Żydzi i chrześcijanie zebrałi się, aby oddać cześć Panu w Roku Jubileuszowym. Przeplatają się tu języki (angielski i hebrajski), nowoczesność z muzyką korzeni. Liderem uwielbienia jest na płycie Paul Wilbur, a producentem i reżyserem Yochanan Ben Yehuda z Don Moenem i Billem Cuomo. Znajdziemy tu wiele pięknych, pełnych oddechu hymnów jak „Kadosh” czy „Hodu la Adonai”, a cały krążek jest równie piękny jak opisywany wyżej. I jeśli - drogi Czytelniku - nie zetknąłeś się jeszcze z muzyką Żydów mesjańskich, sięgnij po te dwie produkcje.

Kolejną płytą wydaną przez Galilee of the Nations jest zbliżony w klimacie do opisywanego krążka album „Elohim” i „The Restoration of Israel”. Liderem prowadzącym jest tu Joel Chernoff, założyciel, kompozytor i główny wykonawca popularnej ostatnio grupy Lamb. „Odnowienia potrzebuje każdy z nas, a my - już przywróceniu do życia, musimy dzielić się tą dobrą nowiną z innymi” - wyznaje na płycie.

OGIEŃ SPADAJĄCY Z NIEBA

Podobne świadectwo składa na swej autorskiej płycie „Jeshua”, Karen Davis, artystka urodzona w Stanach Zjednoczonych, która po przyjęciu Jezusa do serca wróciła do Ziemi Świętej, by tam dzielić się Dobrą Nowiną ze „starszymi braćmi w wierze”. To ona napisała większość tekstów i muzyki na płycie. To wreszcie jej subtelny (niezwykle wyćwiczony!) głos słyszymy na pierwszym planie. Śpiewa przede wszystkim spokojne, pełne harmonii pieśni wielbienia, w których nieustannie pulsuje tytułowe słowo „Jeshua”. Słowo, które stało się Ciałem... Sama Karen jest „pierwszym głosem” mesjańskiego zgromadzenia Kelihat HaCarmel na szczycie góry Karmel w Galilei. Tak, to właśnie to miejsce, z którego prorok Elias obserwował spadający z nieba Boży ogień. Jak widać, płonie on tam nieustannie, zapalając coraz to nowe serca do przepełnionej uwielbieniem modlitwy.



W SERCU ZIEMI ŚWIĘTEJ

Od przepięknego wyznania „Sh'ma Yisrael” rozpoczyna się wielkie nabożeństwo w sercu Jerozolimy. Zapis modlitwy prowadzonej przez King of Kings Assembly znajdziemy na płycie „Worship in Jerusalem”. Wszystkie utwory na płycie, choć oparte na tradycyjnych melodiach Izraela (albo przynajmniej nawiązujące do nich w warstwie tekstu lub muzyki) przypominają raczej zaaranżowane z ogromnym rozmachem widowiska w stylu słynnego musicalu „Dreamer”. Po kilku żywiołowo wykonanych, pełnych pasji skocznych pieśniach wielbienia - „Great is the Lord”, „Mi Kamocha Adona”, „Hal'li Nafshi”, następują stonowane, wyciszone utwory „Spirit, Holy One”, „Kol Dodi”. Całość zamyka okrzyk „Wielki jest Pan i godzin wielkiej chwały w mieście Boga naszego!”. To oparty na Psalmie 48 porywający hymn, który stał się mottem całego przedsięwzięcia. „Worship in Jerusalem” to prawdziwe nabożeństwo z serca Ziemi Świętej. Ale raczej dla zainteresowanych radosnymi pieśniami chwały niż dla poszukujących „korzeni”. Bo te zostały potraktowane jedynie jako punkt wyjścia do nowoczesnego spektaklu.

ZWYCIĘŻYŁ LEW Z POKOLENIA JUDY

Odkąd pamięta, śpiewał i grał na gitarze. Pierwszy instrument „za grosze” dostał od taty, gdy miał dziewięć lat. Nie rozstawał się nim i przyjaciele zaczęli żartować, że mały Paul i gitara to prawdziwe „papużki nierozłączki”. Dziś Paul Wilbur jest znanym na rynku muzyki chrześcijańskiej wokalistą, który na swych licznych koncertach porwuje tysiące ludzi, zapraszając ich do wielbienia Jezusa Chrystusa. Starannie wykształcony muzycznie (szkoły w Cleveland i studia operowe w Mediolanie), już jako dojrzwały muzyk odkrył z całą intensywnością, że jego żydowskie korzenie otwierają go na zrozumienie tajemnicy Wcielenia i przyjęcie Jezusa jako Zbawiciela. Odtąd swe pieśni przeplata tradycyjnymi hymnami Izraela. „Przestań płakać: Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy” - pocieszał świętego Jana jeden z apokaliptycznych Starców. Taki właśnie tytuł nosi jedna z produkcji Wilbura. Płyta nagrana na żywo w sercu Jerozolimy, w dzień Zesłania Ducha Świętego AD 2000 „Lion of Judah” jest podsumowaniem bogatej dyskografii artysty. To kilkanaście zagranych z prawdziwą pasją i ogniem piosenek wzywających do „przygotowania drogi Panu” i otwarcia serc na Jego wszechmocne, ostre jak miecz obosieczny Słowo. A Ono stało się Ciałem w ziemi, na której nagrano tę płytę.

PIZZA I OŚWIECENIE IZRAELA

Intensywny zapach świeżo upieczonej pizzy rozniósł się wokół stolika w jednej z pizzerii w Montpellier na południu Francji. Przy stoliku siedzieli dwaj młodzi małżeństwa: Gerard i Josette (Jo) Croissant oraz Jean-Marc i Mireille Hammel. Pierwsi - byli kilka miesięcy po doświadczeniu modlitwy o nowe wylanie Ducha Świętego; drudzy - przygotowywali się do niej. Podczas kolacji ktoś rzucił propozycję: „A gdybyśmy żyli we wspólnocie?”. Wydarzenie to rozegrało się wieczorem 25 maja 1973 roku. To tego wieczoru Duch Święty zrodził „pomysł” nowego dzieła Odnowy Kościoła. Wtedy zapadła decyzja o utworzeniu francuskiej Wspólnoty Błogosławieństw (pierwotnie nazywanej wspólnotą Lwa Judy i Baranka Paschalnego).

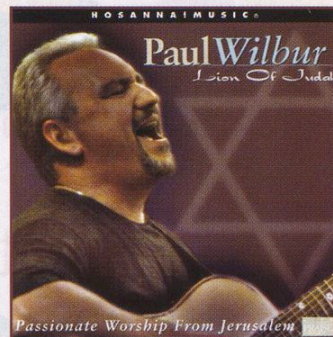
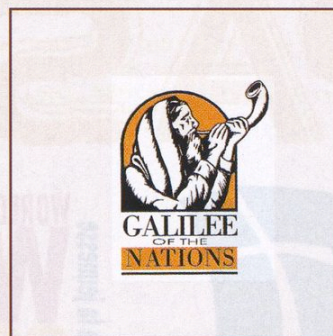
Jej założyciel, Brat Efraim (takie imię obrał we Wspólnocie Croissant i pod tym imieniem ukazało się w Polsce kilka jego książek) - żyd, pastor protestancki, który odczuł ogromny głód Eucharystii i przeżył konwersję na katolicyzm, poucza: „Nie wolno modlić się o nawrócenie Izraela. On jest zwrócony w stronę Stwórcy. Módlmy się raczej o Jego oświecenie”. „Chcemy, by także chrześcijanie poznali swoje żydowskie korzenie” - twierdzą członkowie Wspólnoty Błogosławieństw. Charakterystyczne dla tej wielotysięcznej dziś wspólnoty jest uroczyste świętowanie szabatu. „Po całonocnym poście cała wspólnota, odświętnie ubrana, gromadzi się przy stole. Przełożony wspólnoty zapala światła szabatu. Następują śpiewy psalmów hebrajskich, przeplatane liturgicznym tańcem, podczas którego wszyscy, trzymając się za ręce, tanecznym, majestatycznym krokiem okrążają krąg i radośni wracają do sali, by spożyć wieczerzę, którą rozpoczyna przełożony wspólnoty” - opowiadała mi Mirka Młynek, która mieszkała w niej przez pewien czas.

„Dlaczego szabat? To odpowiedź na sięgający korzeniami daleko w głąb mojego dzieciństwa głos ojca, który pouczał nas: Izrael jest źrenicą Bożego oka” - odpowiada Brat Efraim. Dystrybucją „żydowskich” płyt i kaset wspólnoty zajmuje się jej wydawnictwo, Maria Multimedia.

Nowe płyty i zespoły pojawiają się jak grzyby po deszczu. Po deszczu wiosennym i jesiennym (por. J1 2,23). Zapowiadają nowy czas Kościoła. Czas pełnego tęsknoty oczekiwania na przyjście Jedyne Mesjasza. Warto sięgnąć po opisane płyty zwłaszcza w kraju, w którym przed wojną żyło aż 3,5 miliona Izraelitów, a co dziesiąta osoba była żydem.

„Jedno jest pewne! - powiedział Jud z Przysuchy pod Radomiem. - Kiedy człowiek choć raz jeden wypowie z całej siły słowa *Stuchaj, Izraelu, Pan jest Bogiem twoim, Pan jest Jeden*, zły duch powinien już zupełnie zwątpić o możliwości zapanowania nad nim, bo kto naprawdę przyznaje się do swego Stwórcy jako do jedynej i wyłącznej mocy, nie może już ulec żadnej innej, albowiem dostrzega pozorność i uzurpację każdej”.

Marcin Jakimowicz



PASS



WORLD YOUTH DAY
WYD
2002
JMJ
TORONTO July 18-28 juillet

VALID JULY 22-29, 2002



Bębniarze z Burundi

Światło świata, sól ziemi TORONTO 2002

Ś w i a t o w y D z i e ń M ł o d z i e ż y

Nikt, kto chciał pojechać do Toronto na Światowy Dzień Młodzieży, nie wiedział tak naprawdę, co go tam spotka. Każdy miał jakieś wyobrażenia, musiał przejść przez szereg rejestracji, potem okres oczekiwania na wizę – nie dla wszystkich zakończony pomyślnie, następnie poszukiwania biletów lotniczych. To spowodowało, że jechaliśmy do Toronto z różnymi odczuciami. Nasza 17-osobowa grupa „muzyczna” (m.in. Magda Anioł i Adaś Szewczyk), pod wodzą ks. Darka Bartochy SDB, stawiała się 16 lipca na Okęciu. 16-godzinny lot był bardzo przyjemny, a kiedy wreszcie wylądowaliśmy w Toronto, oczekiwali już nas kanadyjscy opiekunowie.

Toronto przywitało nas bardzo wysoką temperaturą (ponad 30 stopni) i serdecznością mieszkańców. Z uwagi na to, że mój mąż Rafał został przydzielony do międzynarodowej grupy muzyków, pierwszy etap naszej pielgrzymki obejmował udział w Dniach w Diecezjach w Ottawie. W wielkiej hali widowiskowej Civic Center na Lansdowne Park ponad 12 tysięcy pielgrzymów, głównie z Francji, Włoch, USA i Kanady, przez 5 dni wielbiło Boga śpiewem, muzyką i modlitwą w ramach festiwalu Youth Arise International. Trzy ogromne sceny, na których odbywał się muzyczny spektakl, gromadziły codziennie rzesze pielgrzymów. Dla wszystkich nas było jasne, w jakim celu się tam spotkaliśmy. W czasie głównej Mszy św. celebrowanej przez arcybiskupa Ottawy mieliśmy parokrotnie możliwość wyrażenia swej przynależności do Chrystusa. Wzruszającym momentem liturgii było błogosławieństwo udzielone osobom różnych stanów - małżeństwom, osobom samotnym i duchowieństwu. Piękne świadectwo dała młodzież, gdy na wezwanie arcybiskupa skierowane do osób, które czują powołanie do życia poświęconego Bogu, ze wszystkich stron szły ku ołtarzowi grupki młodych z całego świata. Na zakończenie Eucharystii każdy z uczestników otrzymał drewniany krzyż wykonany przez niepełnosprawnego rzemieślnika specjalnie na tę okazję. Krzyż ten, który mieliśmy później przekazać w Toronto nieznanemu osobie, miał być nie tylko symbolem naszej łączności z Jezusem, ale i jedności chrześcijan z całego świata.

Elementem ubogacającym Dni w Diecezjach były świadectwa muzyków biorących udział w Festiwalu. Same koncerty niosły ze sobą ogromny ładunek wiary i miłości do Boga, a świadectwo Davida MacDonalda podczas jego występu pozwoliło poczuć, jak ważny jest Jezus Chrystus nie tylko w życiu artysty, ale każdego z nas. Modlitwa przed koncertem, w której miałam okazję uczestniczyć wraz z moim mężem, świadczyła o tym, że zarówno David jak i muzycy z nim grający doskonale wiedzieli, że głównym adresatem ich występu jest Bóg, którego chcą wielbić swym życiem i twórczością. Ponieważ byliśmy jedynymi reprezentantami Polski, pielgrzymi z innych państw pozdrawiali nas niezwykle serdecznie, jako rodaków Ojca Świętego. Z dumą wnosiliśmy naszą flagę narodową przy wtórce oklasków na cześć papieża.

Nawet po wieczornej modlitwie kończącej oficjalną część festiwalu można było spotkać modlącą się młodzież - różaniec odmawiany po francusku przez obrazem Maryi, młodzi chrześcijanie z Meksyku w sombreroch odmawiający brewiarz, pieśni uwielbieniowe rozbrzmiewające z różnych stron placu. Wiedzieliśmy, że to dopiero początek naszego pielgrzymowania, czuć było radosną atmosferę oczekiwania na spotkanie z Ojcem Świętym. Żegnaliśmy się słowami: „Do zobaczenia w Toronto!” tak, jakbyśmy jechali w odwiedziny do najbliższej rodziny. I nie było ważne, czy w tym wietlowskim tłumie uda nam się odnaleźć. Jeszcze tylko szybkie pożegnanie z

Kanadyjczykami, którzy nas gościli i już pędziliśmy 400 km do Toronto, by zobaczyć centrum miasta z jaśniejącą na tle zachodzącego słońca wieżą CN. Po rejestracji na Union Station czas na zwiedzanie miasta. Upał był niemiłosierny, ale pragnienie poznania tej „stolicy młodych” przewyżczało dokuczliwy skwar. Ulice wypełnione pielgrzymami pozdrawiającymi się przyjaźnie, flagi różnych państw, radosne okrzyki w wielu językach - te chwile jak wielobarwne obrazki zabierzemy ze sobą do domu. Na razie miasto tętniło energią i śpiewem młodych pielgrzymów. Naj-bliższe dni spędziliśmy na katechezach i spotkaniach z biskupami z naszych ojczystych krajów. Choć niektórzy pielgrzymi musieli pokonywać spore odległości, już od rana chętnie braliśmy udział w katechezach, podczas których dzieliliśmy się refleksjami na temat bycia chrześcijaninem we współczesnym świecie. Co to znaczy być światłem świata, solą ziemi, jak być prawdziwym świadkiem Chrystusa i wypłynąć z Nim na głębie? Te katechezy i Msze św. przygotowywały nas na spotkanie z Ojcem Świętym. Popołudniami w różnych częściach miasta odbywały się koncerty przedstawiające artystów z poszczególnych krajów. W środę miał miejsce Dzień Polski, na którym owacyjnie została przyjęta Magda Anioł i Adaś Szewczyk. Ich koncert sprawił przybyłej Polsce i pielgrzymom z Polski wiele radości i był świadectwem wiary przeżywanej poprzez muzykę. Tego samego dnia w centrum miasta na scenie głównej Exhibition Place



Koncert Davida Mac Donalda w Ottawie

bardzo zmęczony a jednak uśmiechnięty, przypominał nam, co jest nadzieją na lepsze jutro, kim jest Jezus Chrystus a kim jesteśmy my - Jego braćmi. I jako dzieci Boże od Niego mamy się uczyć, jak żyć w wierze, nadziei i miłości.

Głębokim przeżyciem była dla mnie piątkowa droga krzyżowa po University Avenue, ulicy w samym centrum miasta. Od godzin popołudniowych tysiące ludzi gromadziło się wokół ulicy University, gdzie rozstawione były stacje-sceny. Ojciec Święty nie brał bezpośrednio udziału w drodze krzyżowej, ale wszyscy mogliśmy go zobaczyć na wielkim telebimie, gdy w skupieniu oglądał ją za pośrednictwem telewizji. Dla jednego drogi ta była wzruszająca, dla innych kontrowersyjna, gdyż aktorzy biorący udział w spektaklu odgrywali ją niezmiernie realistycznie, ale wszyscy czuliśmy się poruszeni, gdy krzyżowano Chrystusa w centrum Toronto, na tle ogromnych biurowców tworzących scenografię współczesnego świata. Czy i my nie krzyżujemy Chrystusa w naszych sercach, zagubieni w dążeniu do tego, co oferuje nam „świat”?

Sobotnia pielgrzymka na Downsview Lands, gdzie następnego dnia miała się odbyć Msza św. celebrowana przez Jana Pawła II, przerodziła się w nocne czuwanie wypełnione śpiewem i modlitwą. Czuliśmy jak ogarnia nas Duch Święty i wiedzieliśmy też, że te chwile niezwykłej jedności pozostaną w naszych sercach po powrocie do ojczystych krajów. Choć ranek przywił na rzęsistym deszczem i silnym wiatrem, nie traciłszy entuzjazmu. Słowa Ojca Świętego „To jest naturalny chrzest” przyjęliśmy z radością tym większą, że już za chwilę zza chmur wyjrzało słońce. Mimo zmęczenia całonocnym czuwaniem byliśmy wzruszeni widząc Ojca Świętego i staraliśmy się z entuzjazmem okazać mu naszą miłość i szacunek. Pielgrzymi z różnych państw, z którymi rozmawiałam, przyznawali, że papież jest dla nich autorytetem i wzorem.

Był to pierwszy Światowy Dzień Młodzieży, w którym uczestniczyłam i muszę przyznać, że był on dla mnie ogromnym przeżyciem. Na pewno owoce tej pielgrzymki przyjdą z czasem, ale już teraz czuję się bardzo ubogacona spotkaniem z młodymi chrześcijanami z całego świata. Ogrom wrażeń, nowe przyjaźnie, piękno kanadyjskiej przyrody, a nade wszystko niesamowita gościnność i otwartość Polonii pozostaną w pamięci i w sercu. Warto było podjąć trud tego pielgrzymowania. Patrząc na ŚDM z perspektywy, dostrzegam, jak wielką łaską Pan Bóg obdarzył mnie i mojego męża, dając nam możliwość uczestnictwa w tych spotkaniach młodych. Żegnając się z nowymi przyjaciółmi już umawialiśmy się na następny Światowy Dzień Młodzieży w Niemczech.

Marta Boniśniak

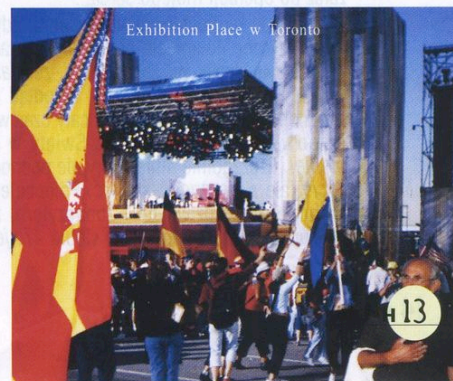
zdjęcia z archiwum autorki



Autorka przed Mszą na Exhibition Place

odbył się koncert dedykowany Ojcu Świętemu, na którym wystąpili artyści z całego świata. Specjalnie na tegoroczny Światowy Dzień Młodzieży wydano podwójny album płytowy zatytułowany „Light of the world” prezentujący muzykę chrześcijańską z różnych stron świata. Muzycy, których utwory znalazły się na tym albumie, przyjechali do Toronto specjalnie po to, by wykonać je przed kilkunastotysięczną widownią, a Ojciec Święty obejrzał ten spektakl za pośrednictwem telewizji. Niezwykłym dla mnie przeżyciem był widok artystów z Wietnamu występujących wspólnie z Hawajczykiem czy hymn ŚDM wykonany przez artystów z całego świata, również z Polski.

Czwartek przyniósł oczekiwaną Mszę św. dla pielgrzymów z udziałem Jana Pawła II, która odbyła się na Exhibition Place. Od samego rana pielgrzymi ścigali z całego Toronto, by zająć miejsca jak najbliższej ołtarza. Jak zawsze owacyjnie przyjęty Ojciec Święty,



Exhibition Place w Toronto

Co Litza powiedział W Rytychbłotach

W poprzednim numerze RUaH zamieściliśmy relację z X Ogólnopolskich Spotkań Muzyków Chrześcijan, które odbyły się w wakacje w Rytychbłotach na Pojezierzu Brodnickim. Są one kontynuacją spotkań w Ludźmierzu. Wśród uczestników znalazł się Robert Friedrich Litza (2 Tm 2,3, Arka Noego), którego wypowiedź (fragmenty) zamieszczamy poniżej.



O Spotkaniach Muzyków w Ludźmierzu:

To, co zrobił *Ludźmierz* z moim życiem jest niesamowite. Przyjechałem tam popatrzeć na *wariatów*, to było w 1994 roku, zaraz po operacji mojego serca...

Na oddziale kardiologii w Poznaniu, gdy umierałem, przeżyłem jakby fizyczne dotknięcie przez Pana Boga. Wtedy zaczęło się dla mnie Nowe Życie, bo zobaczyłem, że *ciałko* to nie wszystko, że jednak jest Coś *Więcej*. Mimo, że odtąd chodziłem na Mszę, że wróciłem do Kościoła, Pan Bóg cały czas wzywał mnie do tego, do czego wzywa ostatnio Ojciec Święty w słowach - *Wypłyni na głębię!*. Szczególnie mnie, który nie pochodziłem z ruchu *Światło-Życie*, ale z *ciemność-śmierć*. Pojechałem do Ludźmierza, żeby zobaczyć ludzi dziwnych i zobaczyłem, że tańczą, podskakują, ktoś upada... Zapytałem wtedy siebie - *To jest Kościół, do którego*

ja mam wracać? To są ludzie, których ja nie rozumiem!. Na szczęście w Ludźmierzu Pan Bóg dotknął mnie tak mocno, że wkrótce ja też leżałem i powiedziałem - *Ja się nie zgadzam, ja będę sam decydował, czy wierzę w Ciebie, Panie Boże, czy nie!*. Ale Pan Bóg miał na mnie sposób i od tego czasu zaczęła się moja *przygoda* z Nim, mimo że byłem już we wspólnocie neokatechumenalnej. Od tamtego momentu, kiedy z moją żoną patrzyliśmy na Roberta Cudzicha, Andrzeja Dziewitę, o. Bujnowskiego i jego brata, na wszystkich - podejrzliwie, nagle okazało się, że to, co wtedy *odpaliliśmy*, do dzisiaj jest jakoś dla nas ważne. Wdzięczność ogromna za *Ludźmierz*. Mimo, że nie wszyscy z Tymoteusza brali w nim czynny udział, to jednak jak od świcy tutaj *odpaliliśmy* i przenosiliśmy ten płomień dalej.

O 2 Tm 2,3:

Chcę powiedzieć, że właściwie nie wiadomo, kto założył 2 Tm 2,3... Były rozmowy ludzi, którzy są we wspólnotach neokatechumenalnych, Marcin Pospieszalski też gdzieś w tym wszystkim brał udział... I nagle powstał zespół. Zresztą pierwszy raz zagraliśmy - w Ludźmierzu! A potem przyszedł lęk przed koncertami... Mówiłem - *Na każdym koncercie muszą być ze dwie karetki, bo na pewno będą nas zabijać!*. Później okazało się, że są inne problemy, że długa droga przed nami... Żanim zaczął zabijać nas, najpierw my sami w zespole możemy się *pozabijać*. Dzięki Ludźmierzowi zrozumiałem, nie boję się tak tego nazwać, że jestem *liderem* w zespole. Na katechezie usłyszałem, żeby nie bać się *liderstwa*, żeby je realizować. Zauważyłem, że w Tymoteuszu pojawiło się pełno *liderów*, każdy miał wizję, tyle że w innym kierunku. I płyty powstawały tylko dzięki Duchowi Świętemu...

Potem pojawiły się koncerty, a jeszcze później Tymoteusz tzw. *zastępczy*, bo niektórzy *liderzy* nie zawsze mogli grać po parafiach. Znacze historię Tymoteusza - ci, co mogli, to jeździli. Natomiast, co dla nas było mocnym doświadczeniem Ludźmierza - to, że zawsze znalazła się grupa ludzi, która stała jak armia i modliła się za nas.

Na początku *Ludźmierz* dał nam ostrego kopa. Wylecieliśmy, zaczęliśmy mówić i moralizować wszystkich w całej Polsce. Jest ogromna przepaść między *moralizowaniem*, a *ewangelizowaniem*. Dzisiaj uczymy się ewangelizować. Ale cośmy tam *namoralizowali* - to nasze. Wypraw krzyżackich nie robiliśmy, Pan Bóg nas uratował!

To, że z Tymoteuszem ruszyliśmy głosić słowo, było potrzebne nam samym. Dzisiaj to wszyscy widzimy. Kiedyś między każdą piosenką (o ile tu można mówić o piosenkach, bo wszystkie teksty są z Pisma Świętego) każdy z nas chciał coś powiedzieć. Dzisiaj w przerwie między utworami jest totalne milczenie. Czasem ktoś tam coś zapowie i to nawet nie po polsku... Widzę, że Tymoteusz jest dla nas ogromną pomocą w ciągłym nawracaniu się. Patrząc na zespół, widzimy, co Pan Bóg przez te lata dla nas zrobił. Że tej pychy jest już coraz mniej, teraz trzeba się jeszcze modlić o pokorę. Dlatego też prosimy wszystkich po koncertach o modlitwę, bo bez niej nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Artysta jest narażony na najbardziej podstępne zasadzki demona. Bez Ducha Świętego nikt nic nie powie. Jeżeli jest konflikt choćby z jednym z muzyków, przenosi się on na cały zespół.

O innych zespołach:

Trochę z przerażeniem patrzyliśmy ostatnio na młode zespoły, które powstają w Polsce jak grzyby po deszczu. Młodzi ludzie myślą w nich często - *Ja będę Budzym, ja będę udawał Litzę*. Myśleliśmy - *Co my zrobiliśmy?* Zaczęliśmy się bać - *Co to jest, za kim oni idą, za idolami?* Ale pociecha przyszła bardzo szybko, bo okazało się, że ci młodzi ludzie przestali do nas dzwonić z pytaniami - *A jaki kabel, jaka kostka, jaki fuzz, czy możesz mi pomóc wybrać wzmacniacz?* Telefony nagle się urwały i okazało się, że oni weszli do wspólnot. Ostatnio byli z nami na Eucharystii chłopcy z 3 Sióstr i okazało się, że działają we wspólnocie Ruchu Rodzin Nazaretańskich, Pnema - w neokatechumenacie, okazuje się, że ci ludzie mają źródło!

O odpowiedzialności:

Gdy grałem z Acid Drinkers, dostaliśmy kiedyś trzy minuty w telewizji, żeby puścić teledysk i w eter poleciała jakaś tam piosenka, po

prostu takie nic nie mówiące g... Ułożyliśmy ją w pośpiechu w studio. Czas antenowy jest bardzo drogi. Poczulem wtedy na sobie wielką odpowiedzialność - że zmarnowałem te trzy minuty, zamiast powiedzieć ludziom coś, co dałoby im nadzieję. I potem pojawiły się pragnienia... Gdy dowiedziałem się, że *Stuchaj Izraelu* Tymoteusza było śpiewane na pielgrzymce do Częstochowy, moje serce już było gorące, żeby pisać podobne piosenki. Może były w tym znowu jakieś ludzkie słabości, że chcę być doceniony, ale wiedziałem od razu, że chciałem je *robić*. Następną piosenką był hymn Festiwalu Song of Songs, który jest grany w Toruniu do dzisiaj. Kolejna piosenka, jego mutacja - *Nie boję się, gdy ciemno jest* Arki - nic innego nie umiałem! Był to dla mnie ogromny zaszczyt, że śpiewało się ją gdzieś na pielgrzymce, którą ja wiele lat osądzałem. I dzisiaj czuję, że nie marnuję czasu. Te trzy minuty w *Ziarnie*, czy gdziekolwiek, są wykorzystane, aby śpiewać o tym co głosi Kościół, co usłyszę we wspólnocie. Czuję na sobie totalną odpowiedzialność!



O pieniądzach:

Jako człowiek, który ma mało wspólnego z Panem Bogiem, z każdym rokiem zaczynam Go coraz bardziej poznawać. I jestem przerażony, jaką ma Potęgę, jaką Moc, jaką Siłę! Problemy finansowe to nie jest problem dla Boga. Kiedyś słyszałem - *Czemu nie masz? Bo się źle modlisz*. - Jak to źle się modlę? Dobrze się modlę. - *Źle się modlicie i nie macie*. I zobaczyłem jedno, że nie potrafię się modlić, traktuję Boga w sposób typowy dla religii naturalnej, to jest - *Ty, Boże, będziesz na moje posytki!*. Często spotykamy się z opinią, że zespoły chrześcijańskie mają pewną *ideę*. - *Wy grazie dla idei!* Jeżeli ktoś gra dla *idei*, to ja mu naprawdę współczuję. Jezus Chrystus nie jest żadną ideą! Chrześcijaństwo to nie religia w sensie naturalnym - złożymy ofiarę, żeby Bóg dał nam deszcz, dam Mu trzy krówki, bo potem muszę mieć ich dziesięć, dam cztery marchewki, ale żeby potem pole mi obrodziło... To jest pogaństwo, to jest wykorzystywanie Pana Boga do własnych interesów! Tak jest! Zbliża się sesja w szkole - jest piętn kościół i - *Boże, ja Cię proszę o szóstkę!* Módl się o sprawiedliwą ocenę!

Chrystus jest faktem w życiu człowieka. Być może robię z siebie dzisiaj *durnia* dlatego, że Jezus jest faktem w moim życiu. Gdy przestałem grać z zespołami (Acid Drinkers, Kazik na Żywo - przyp. red.), nie miałem przez pół roku ani złotówki. Moją rodzinę żywili bracia ze wspólnoty. Wyrzucono nas z domu, skradziono nam samochód, a bracia dawali nam obiady i byliśmy bardzo szczęśliwi. Jeżeli myślicie, że pieniądze dają szczęście, to uważajcie, bo może się zdarzyć, że te wasze marzenia o pieniądzach się spełnią. Doświadczenie braku pieniędzy, ubóstwa, jest dużo łatwiejsze niż doświadczenie posiadania pieniędzy. Naprawdę! Bo jak pieniądze raz przyjdą, to człowiek, który ich nigdy nie miał, nie wie, jak nimi operować.

O pomocy ze strony Kościoła:

Kościół otacza nas ogromną opieką. Co to znaczy? Kiedyś myślałem, że nadszedł czas, aby Episkopat dał pieniądze na najlepszy sprzęt nagłośnieniowy, na gitary, na struny. Niech Episkopat założy jakiś zespół - Narodowy Zespół Pieśni, Tańca i Ewangelizacji - 2 Tm 2,3! (śmiech). Rozmawiałem z biskupem Chrapkiem trzy dni przed jego śmiercią. Powiedziałem - *Mam świetny pomysł! Będziemy robić pomoc naukową dla dzieci do szkół! Arka Noego będzie pisać piosenki, będziemy pisać książki, bo księża sobie nie radzą, trzeba im pomóc!*. A biskup



Chrapek powiedział - *Chłopcze, ty się uspokój! Zaczynajcie pracować z tymi, którzy chcą z wami pracować!* I w ten sposób pokazał mi pewną rzecz. Że pomoc pochodzi od Chrystusa. Od Kościoła nie trzeba szukać wsparcia materialnego, ale wsparcia modlitewnego. Wsparcia polegającego na tym, że ja dzisiaj mogę siedzieć przy ołtarzu, mogę przystępować do Komunii, że Chrystus mi wszystko tłumaczy. Mnie w życiu nikt niczego nie tłumaczył. Mój tata nie był mi w stanie niczego wytłumaczyć, wielu braci nie może, nawet Budzy nie może mi niczego wytłumaczyć. Przychodzę na Liturgię zbuntowany, bo wielu rzeczy nie rozumiem i nie chcę zrozumieć. Ale Chrystus przychodzi w Eucharystii i tłumaczy wiele rzeczy.

Pan Bóg dał nam duże rodziny! To też jest pomoc ze strony Kościoła. Dzisiaj mam sześcioro dzieci. Nie *namówiłbym* na nie mojej żony, ale ona słucha Ewangelii i jest otwarta na życie. Znam moją żonę i wiem, że ona chciałaby, abym ja urodził połowę i ona połowę, żeby było po równo. Natomiast, z tego co pamiętam, ona urodziła wszystkie nasze dzieci i oddawała przez to swoje życie. A ja mówię ze sceny, że mam sześcioro dzieci. Sama przyjemność!

Mógłbym zrezygnować z zespołów, w których grałem, aby być z moją żoną i dziećmi. Jeżeli jedziemy na koncerty z Arką, to jedziemy całą rodziną! Jest to dla nas ogromny cud. Po wspomnianym Ludźmierzu jechałem na trasę z Acid Drinkers, potem z Kazikiem do Stanów i tak dalej... I wtedy mówiłem - *Tomek, jest niebo!*, a on - *Tak, niebo jest, ale w chacie nie ma cię osiem miesięcy w roku.* I to była prawda. Być muzykiem jest bardzo trudno, a tym trudniej - żoną muzyka. Jest to ogromny problem i można go rozwiązać tylko jeżdżąc w trasy całą rodziną. Z Arką zawsze modlimy się przed koncertami. Traktujemy trasę jako *całość*. Wpadliśmy na pomysł, żeby ostatnia trasa koncertowa Arki i Tymoteusza gromadziła nas wokół Eucharystii. Każdego dnia dziękujemy Bogu za to, że możemy przystępować do Komunii Świętej, że po czytaniach Ewangelii dzielimy się, robimy takie „*echo Słowa*”, pytając siebie, co to Słowo do nas mówi. Dzieci też się dzielą. Ostatnio mała Wiktoria mówiła, że nie rozumie krzyża, tego co to znaczy, że ma go nieść. I dla nas starszych było to pewne świadectwo...

O wspólnocie neokatechumenalnej:

Wsparcie modlitewne wspólnoty jest ogromną pomocą. Kiedy *wspaniały pan artysta Litza* wraca w glorii do wspólnoty, a jej ludzie byli na koncertach Arki, bracia mówią: *Ty jesteś taki, taki, taki..., twoja żona nawet tego nie widzi.* I ogromnie mi przez to pomagają. Dla tego typu ludzi trudną sytuacją jest pycha, którą artysta odczuwa na scenie, przez którą zawsze chce zwyciężać, brylować, triumfować, a nie umie umierać, nie umie przyjąć krzyża. Wspólnota pomaga nam cały czas w to wchodzić i może przyjdzie dzień, że nie będziemy w ogóle grali, a wtedy będziemy najbardziej ewangeli-zować.

O ambicjach i prawdziwej ewangelizacji:

Stucham wszystkiego dookoła i jest tak, jak kiedyś Mietek mówił w Ludźmierzu, że stu ludzi powie ci, że jest O.K., a jeden, że jest źle, i już myślisz, że jest syf. Ja mam to samo. Półtora miliona płyt pójdzie w ludzi, jeden list jest negatywny i ja leżę ciężko chory, gorączka, nieakceptacja. A ja chciałem dobrze! Okazuje się, że nic z tego nie rozumiem. Cierpię jak pies, kiedy ktoś mnie nawet lekko dotknie.

Wielu z was, tak jak ja, boi się o opinię. Bo nie jest mi przyjemnie, kiedy czytam w prasie o sobie złe rzeczy. Mówię - *Panie, moje serce płacze, bo Ty wiesz, jakie są moje intencje, a do mojej żony - Dobrochna, albo my zwariowaliśmy, albo o co tu chodzi?* A ona - *Ale ty jesteś głupi. Ewangelizacja to przecież umieranie. Powinieneś się cieszyć!* Ale ja nie umiem, bo jestem artysta i nie chcę umierać, ja chcę brylować.

Trzeba mówić ludziom o Chrystusie Zmartwychwstałym i trzeba się dużo uczyć! Kiedyś graliśmy z No Longer Music i zobaczyłem, że David Pierce i jego ludzie z *pierwszej linii frontu* tak samo sprząkali po sobie po koncercie, jak ci, którzy są ich *technicznymi*. Oczywiście wychodzili na wierzch! To dla nas, dla Tymoteusza, była ogromna szkoła! Bo są na scenie tacy, którzy po koncercie mogą iść do domu, ale są też biedni perkusiści, którzy te swoje śrubki odkręcają półtorej godziny. I zobaczyliśmy, na czym tak naprawdę polega ewangelizacja. Ci ludzie, kiedy przyjeżdżają do nas z Zachodu, aby grać, nie pytają o pieniądze. Pytają - *Możemy zagrać? Za darmo?* - *Nie!* - *A możemy dopłacić?* - *Dobra!* To jest ewangelizacja!

zdjęcia: Krzysztof Raczyński



Ponad rok temu odkryłem potrzebę dość systematycznego opisywania sceny chrześcijańskiej, projekt ten przyjął nazwę **Abecadło Muzyków Chrześcijańskich (A.M.C.)**. Jest to próba zbudowania leksykonu muzyków sceny chrześcijańskiej działających w naszym kraju. Konieczność precyzyjnego opisu ludzi i formacji zajmujących się taką działalnością była spowodowana prośbami ze strony innych. Praca nad **Abecadłem** z różnym nasileniem trwa. Są już efekty. Notatki ukazywały się w „Niedzieli”, a obecnie w krakowskiej „Drodze” i, oczywiście, w Internecie na www.ruah.pl. Były i są wykorzystywane przy różnych okazjach jako materiały informacyjne i promocyjne. Przy okazji tworzenia **Abecadła** zauważyłem kilka problemów, na które chciałbym zwrócić uwagę.



Beata Kozak

A.M.C. czyli abecadło muzyków chrześcijan

Komu na tym zależy?

Opisywanie sceny chrześcijańskiej nieodłącznie wiąże się z potrzebą kontaktów z ludźmi, którzy coś na tym rynku robią. Są one zazwyczaj serdeczne i bardzo mile. Problem stanowi jednak co innego. Niektóre zespoły mają swoje materiały promocyjne w postaci solidnie zredagowanych informacji mówiących o ich historii i teraźniejszości, muzykach, dyskografii itp. Pojawiają się jednak i takie, które nie mają jakichkolwiek materiałów promocyjnych i dopiero wielokrotne prośby skutkują, często - skąpą i mało wiarygodną informacją na ich temat. Do tego niektórzy sprawiają wrażenie, jakby na przekazaniu tych informacji zupełnie im nie zależało. Tak się przynajmniej może wydawać. (Z góry przepraszam tych, którzy czują się urażeni. Piszę to tylko dla naszego wspólnego dobra). Kontaktując się z konkretnym muzykiem czy zespołem, proszę zazwyczaj o wypełnienie ankiety **A.M.C.**, zawierającej kilka podstawowych pytań. Odpowiedzi służą mi do konstrukcji notatki o zespole. Oczywiście nie ograniczam się tylko do tego, co dostanę. Przeglądam wszystko, co się da, a ma związek z tematem (strony internetowe, udzielone wywiady, recenzje, itp.). Wiadomo jednak, że najważniejsze i najbardziej wiarygodne są informacje pochodzące od samych zainteresowanych.

Drugi problem dotyczy zdjęć. Tylko nieliczne formacje posiadają profesjonalne zdjęcia. Przykłady pozytywne to na przykład grupy i muzycy związani z wrocławskim MIX Studio Dźwięku. Zespoły nie posiadają też często jakiegoś oficjalnego swego logo (znak rozpoznawczy jeszcze przez wielu jest niedoceniany, a szkoda!). Bardzo często nie posiadają też swojego plakatu reklamowego (nad tym najbardziej boją organizatorzy koncertów). No i jak się okazuje, w XXI wieku dla niektórych problem stanowi elektroniczna forma wyz/wym. materiałów. Wracając do zdjęć... Standardowy materiał fotograficzny, który trafia do redakcji wielu katolickich gazet, jest naprawdę kiepskiej jakości. „Wujek Marian zrobił nam na koncercie takie zdjęcie, no i... takie mamy”. Są to zdjęcia, które zazwyczaj nie nadają się do publikacji prasowej. Powody takiego stanu rzeczy są różnorodne: zdjęcia fatalne technicznie, brak pomysłu, przypadkowe ujęcia (najbardziej typowe są fotki źle skadrowane z kiepsko oświetlonych koncertów), itp. Można by długo narzekać. Znow to samo pytanie: komu na tym powinno zależeć? Wiem, że można wszystko zrzucić na brak pieniędzy, ale czy na pewno? Każdy ma jakiegoś fotografika w okolicy, warto pokusić się o odrobinę szaleństwa i zorganizować profesjonalną sesję. Zdjęcia muszą być ciekawe i powinny pozytywnie się kojarzyć. Przykład: Good Religion na motocyklach (warto naśladować!).

Trzecia sprawa dotyczy Internetu. Muzycy, zespoły, czy raczej ich managerowie (sprawa managerów to temat na osobny felieton) powinni się troszczyć o interesujące i aktualne strony internetowe. Bez Internetu nie ruszymy. Możemy narzekać na to, że nie chcą nas w TVP, ale nikogo nie musimy się pytać o wejście w Internet. Skąd więc taka skromność i „przedpotopowość” niektórych stron? Popatrzcie sobie, jak się „zabawiają” Internetem wrogowie chrześcijaństwa. Nie możemy przegrać Internetu. Komu ma na tym zależeć? Pewnie znow posypią się głosy, że to nasza wina (redakcji RUaH). Bo nie chcemy o kimś napisać, albo że wciąż pokazujemy te same osoby. Nasza zasada jest bardzo prosta - piszemy o tych, którzy robią coś ciekawego i

działają profesjonalnie! Wracając do Internetu... Tam macie tyle miejsca, że można umieścić wszystko, co potrzebne. Na pewno macie wokół siebie jakiegoś specjalistę od stron internetowych. Poproście go o pomoc, by ciekawie zagospodarować wirtualną przestrzeń.

Kampania profesjonalizmu zamiast dziadostwa...

Na konferencji prasowej przed Festiwałem Muzyki Dobrej w Warszawie Michał Kulenty wspominał, że zespoły wydając płytę rozsyłają ją do wszystkich katolickich stacji radiowych (jeśli płyta dobra, to może wystać ją także do stacji świeckich - np. Polskiego Radia?). Mam tu wątpliwość, czy tak się dzieje. Zresztą ta sprawa dotyczy także osób, które z racji dziennikarskich zajmują się prezentacją muzyki chrześcijan w prasie katolickiej. Niektórzy może myślą, że wysłanie płyty dziennikarzowi to robienie jakichś kosztownych prezentów. Ale jak mamy o nich pisać, jeśli nie słyszymy tego, co robicie? Pomyślmy też szczerze: ile jest osób w Polsce, które mają dziennikarsko coś do powiedzenia na ten temat? (Tu znow najlepsze doświadczenia mam z wrocławskim MIX-em. Oni zabiegają o to, żeby produkcje płytowe były zauważone. Wiedzą, jak to zrobić). Wracając do radia... Wiem, że stacji radiowych jest sporo, ale wydawcę musi być stać na dostarczenie rozgłośniom przynajmniej singla zapowiadającego płytę. To taki mały rys profesjonalizmu.

Na wspomnianej konferencji Grzegorz Sadurski zauważył, że na tzw. rynku świeckim wydanie płyty to nie tylko ich nagranie, zmiksowanie i wytłoczenie. Standardem wydawniczym jest sesja fotograficzna dla członków zespołu (fotografia prasowa i reklamowa), konferencja dla mediów, materiały promocyjne, teledysk itp. Oczywiście wielu znow powie, że nie ma na to funduszy... Mam jednak wrażenie, że ktoś albo zrobił kiepską płytę (po co takie wydawać?), albo nie wierzy, że udało mu się zrobić coś dobrego... Dlatego milczy i nie zależy mu na jakiejś specjalnej reklamie. Wracając do teledysków... Zamiast narzekać, że nie możemy wejść z tą muzyką do TV, można przecież umieszczać teledyski w Internecie (patrz: strona New Life 'M), albo dotaczać do swoich płyt (np. Chili My). Teledyski potrafi robić nie tylko G. Sadurski (choć ma do tego rękę - Bogu niech będą dzięki!). Są też inni, którzy prostymi środkami montują kawałki ciekawej wizji, na zwykłym PC-cie. Zanim się wyda płytę, warto pomyśleć jak „zilustrować” ją dobrym clipem. Jak dotąd teledysków chrześcijańskich nie ma za dużo. Mogliśmy się o tym przekonać przy okazji wydania płyty do ostatniego numeru RUaH.

Głównym założeniem mojego tekstu jest apel o profesjonalizm! Chcę to mocno wyartykułować! Apel dotyczy nie tylko muzyki, bardziej kampanii i atmosfery, która jej towarzyszy. Wiem, że tylko dotykam spraw, które powinny być poważnie przepracowane. Kiedyś do tego wrócę. Na razie zapraszam do dyskusji internetowej lub listowej. Muzyków i zespoły, które chciałyby się znaleźć w leksykonie A.M.C. proszę o kontakt.

ks. Grzegorz Ułamek
e-mail: giovanni@trustnet.pl

Warszawa doczekała się wreszcie swojego festiwalu muzyki chrześcijan. Po wielu latach oczekiwania w samym sercu stolicy zabrzmiała dobra muzyka z dobrym przesłaniem. Imprezę zorganizowano trochę na wariata, jakby wbrew zdrowemu rozsądkowi, o dziwnej porze roku i w rekordowo krótkim czasie. Gdyby ktoś popatrzył na to wszystko z boku, mógłby postukać się w głowę i powiedzieć: „To nie może się udać”. A jednak... Pierwszy Festiwal Muzyki Dobrej - jakby na przekór wszystkiemu - zaprezentował się całkiem nieźle.

Dobra Muzyka w stolicy

3Siostry

I ogólnopolski FESTIWAL Muzyki Dobrej



Każdy organizator dużej imprezy na pytanie o to, kiedy należy rozpocząć przygotowania do festiwalu, odpowie, że rok lub przynajmniej pół roku wcześniej. Ale żeby zorganizować duży festiwal plenerowy w trzy miesiące? Nie, to niemożliwe...

Ks. Andrzej Chibowski z Radia Warszawa Praga, organizator imprezy, jakoś nie przejął się tymi uwagami. Chciał w Warszawie festiwalu i był gotowy na wszystko, byle tylko go zrobić. Na początku wakacji pojechał do Torunia i tam podglądał twórców Festiwalu Song of Songs. Dowiedział się wszystkiego, co powinien wiedzieć organizator tak dużej imprezy.

Po powrocie do stolicy rozpoczęły się prace nad organizacją Festiwalu Muzyki Dobrej. Pomocą służyła ekipa internetowego Klubu Dobrej Muzyki. Udało się pozyskać sponsorów, którzy wyłożyli pieniądze. Zaproszono artystów, z których wielu dla warszawskiej imprezy odwołało wcześniej zaplanowane koncerty. Nagrano specjalną płytę CD, na której zaprezentowano twórczość festiwalowych zespołów. Wydrukowano plakaty, przygotowano spot radiowy, założono stronę w Internecie. www.festiwalmuzykidobrej.pl.

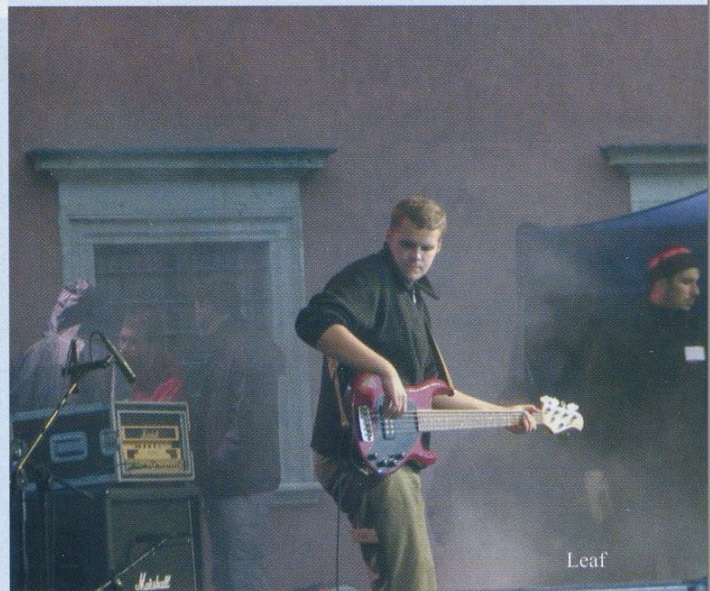
Wysitek optacit się. Na dwa dni, 5-6 października 2002 r., Warszawa stała się polskim centrum muzyki chrześcijańskiej. Festiwalowa scena stanęła w głębi Placu Zamkowego, naprzeciw Kolumny Zygmunta. Z boku placu umieszczono telebim. Przy wejściu na plac rozbito namioty, gdzie sprzedawano płyty i kasyety wykonawców chrześcijańskich oraz koszulki ewangelizacyjne.

Na scenie można było zobaczyć i usłyszeć przekrój wszystkich stylów muzycznych, wykonywanych obecnie przez muzykujących chrześcijańskich. Mocne i ciężkie granie zaprezentowały 3Siostry oraz Anastasis. Oryginalną mieszankę folku i poezji

śpiewanej pokazała grupa 40+30/70. Magda Anioł oraz zespół Chili My poruszyli publiczność melodyjnym pop-rockiem z domieszką folku. Intrygującą mieszankę bluesa, rocka i jazzu zaprezentowała Kapela Przyjaciela. Melodyjny rock, przypominający wczesne piosenki irlandzkiego U2, zagrały grupy Euangelion oraz Leaf. Rapowane teksty o Bogu wykonał 3miel. Zmarzniętą publiczność rozgrzały jazzowo-soulowo-funkowe utwory pierwszego profesjonalnego chrześcijańskiego zespołu w Polsce - New Life M z Natalią Niemen.

W czasie sobotniego wieczoru, gdy zaczęło się ściemniać, na scenie pojawiła się Viola Brzezińska z Saruela oraz Mate.O, którzy zapowiedzieli „wieczór uwielbienia”. Występ każdego kolejnego artysty był zachętą do modlitwy i wspólnego uwielbienia Boga. Tak było w przypadku New Life M, którego muzycy dali ze sceny świadectwo o swoim nawróceniu. Atmosferę modlitwy wprowadził Saruel, czyli część Salezjańskiego Ruchu Ewangelizacyjnego. Mate.O, wielki fan irlandzkiego U2, rozruszał publiczność melodyjnymi gitarowymi piosenkami. Zwieńczeniem wieczoru był występ popularnej Trzeciej Godziny Dnia. Natomiast niedzielny koncert zakończyły występy gwiazd: zaśpiewała między innymi Edyta Geppert, Stanisław Soyka i Mietek Szcześniak.

- *Warszawa jest miastem o wielkim potencjale artystycznym. Pomyśleliśmy, że dobrze by było, żeby odbywał się tu festiwal, który*



będzie promował muzykę „dobrą” - tłumaczy RUaH ks. Andrzej Chibowski. Jego zdaniem zaproszeni muzycy taką muzykę wykonywali. - *Chodzi o dobrą muzykę w podwójnym znaczeniu. Po pierwsze wykonawcy muszą prezentować profesjonalny warsztat artystyczny. Po drugie, muzyka ta musi nieść pozytywne przesłanie: w sensie ogólnoludzkim, humanistycznym a także chrześcijańskim. Te dwie sprawy określają muzykę „dobrą” - podkreśla.*

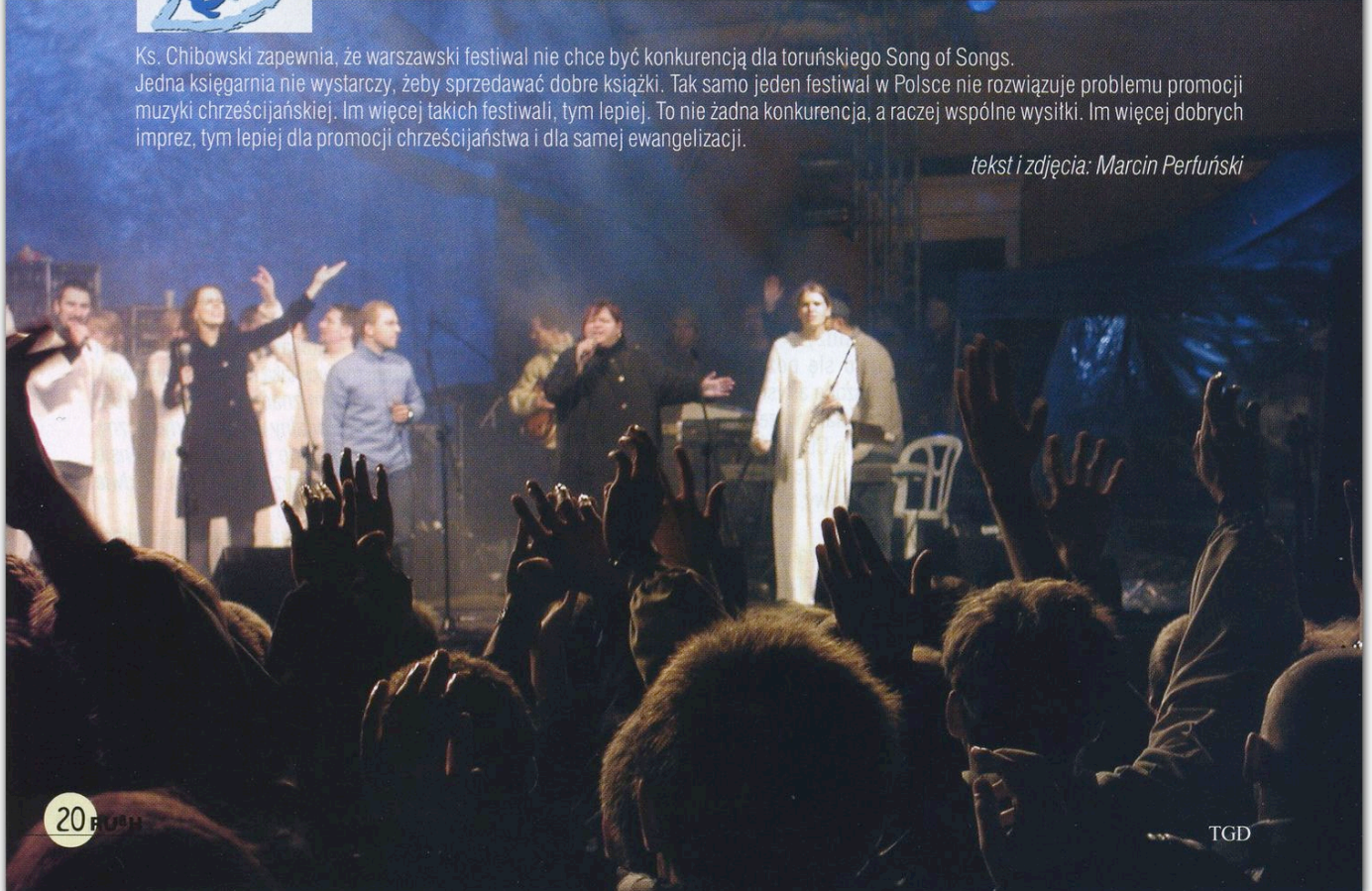
Organizatorzy liczyli, że mieszkańcy miasta oraz turyści spacerujący po Starówce choć na chwilę zatrzymają się, posłuchają i zastanowią nad tym, co usłyszeli. Rzeczywiście tak było. Jednak ogólna frekwencja nie była imponująca. Pod sceną bawito się zwykle od tysiąca do 2-3 tys. osób. Niesprzyjająca pogoda, siąpiący deszcz, nieprzyjemny chłód i denerwujący wiatr skutecznie skłaniały ludzi do pozostania w domach. Na szczęście organizatorzy chcą zmienić termin festiwalu. Ma on odbywać się cyklicznie na wiosnę, prawdopodobnie w maju lub czerwcu. Mają to być studenckie juwenalia z dobrym przesłaniem.



NLM

Ks. Chibowski zapewnia, że warszawski festiwal nie chce być konkurencją dla toruńskiego Song of Songs. Jedna księgarnia nie wystarczy, żeby sprzedawać dobre książki. Tak samo jeden festiwal w Polsce nie rozwiązuje problemu promocji muzyki chrześcijańskiej. Im więcej takich festiwali, tym lepiej. To nie żadna konkurencja, a raczej wspólne wysiłki. Im więcej dobrych imprez, tym lepiej dla promocji chrześcijaństwa i dla samej ewangelizacji.

tekst i zdjęcia: Marcin Perłowski



piszą Adam Szewczyk & Magda Aniol

Anioł w Toronto



fol. Paweł Dziedziczak

Kiedy zaproponowano nam udział na Światowych Dniach Młodych w Toronto, spotkanie z Ojcem Świętym i zagranie tam dla młodzieży z całego świata, wydawało nam się to równie piękne, co nierealne. Reprezentowanie naszego kraju w tak ważnym momencie i miejscu odebraliśmy jako zaskakujące wyróżnienie, na które nie wiedzieć czym sobie zasłużyliśmy. Cóż, wszak Bóg lubi wybierać tych najszabszych na swoich świadków. Nadrzędnym problemem były, jak zwykle w takich przypadkach, fundusze. Wszelkie próby pozyskania sponsora, który zechciałby sfinansować nasz udział na ŚDM, nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Ostatecznie, po wielu wahaniach i trudnościach, do Toronto poleciliśmy praktycznie za własne pieniądze. I chyba dobrze się stało, bo przynajmniej wiadomo, że naprawdę nam na tym zależało. Przecież za darmo na taką imprezę to i ateista chętnie by się wybrał.

Wreszcie nadszedł dzień wylotu. Okęcie - Frankfurt - Toronto. Bagatela. Zaledwie 12 godzin lotu na wysokości dochodzącej czasami do 12 km z prędkością około 1000 km/h. Na zewnątrz mały mroziak: - 50 stopni Celsjusza. A pod nami ocean. Trudno nie być pod wrażeniem. Myśmy byli. W takich miejscach słowa „Zaufaj Panu już dziś” wydają się być bardziej aktualne niż tam, na dole. Ale myślę, że to tylko złudzenie.

Toronto nocą wygląda jak... Toronto nocą. Zmęczeni, obławowani, nieumyjni, niedospani, a jednak szczęśliwi i podekscytowani. Szkolny, żółty autobus, który wioził nas do St. Thomas, wyglądał dokładnie tak samo, jak na amerykańskich filmach typu „Cudowne lata”. I pewnie był tak samo niewygodny. St. Thomas to niewielka miejscowość położona ok. 200 km od Toronto. To właśnie tam mieliśmy spędzić pierwsze dni naszego pobytu w Kanadzie. To od St. Thomas zaczęło się nasze poznanie realiów życia w tym oddalonym od naszego o tysiące kilometrów kraju. Wszechobecna klimatyzacja, ciche i spokojne uliczki obsypane po obu stronach charakterystycznymi, niskimi domkami oraz wyjątkowa gościnność kanadyjskich, katolickich rodzin. Dla tych z nas, którym język angielski był

napisać. Fenomen Jana Pawła II jest szczególnie mocno zauważalny w takich właśnie miejscach. To niesamowite, że jeden człowiek potrafi gromadzić wokół siebie taką ilość ludzi. Ojciec Święty nie jest bohaterem żadnych skandali, nie robi niczego ekscentrycznego, niczym nie szokuje, nie nagrywa hitowych płyt, nie jest gwiazdą show businessu. A jednak na spotkania z nim przychodzą setki tysięcy, a nawet miliony osób. Jak on to robi? Myślę, że trafia do serc ludzi tak, jak chyba nikt na świecie. Konsekwentnie od lat głosi prawdę o Jezusie, o człowieku i jego godności. Jest wielki i pokorny zarazem, szanuje każdego, jednocześnie nieugięty stoi na straży ewangelicznej prawdy. Jest obdarzony niesamowitym charyzmatem. Papież kocha ludzi. Ludzie to czują i odwzajemniają, się tym samym. Pierwsze spotkanie Ojca Świętego z uczestnikami ŚDM w Toronto miało miejsce na Exhibition Place. Atmosfera oczekiwania, pojawienia się i wreszcie - spotkania z papieżem jest tak wyjątkowa, że trzeba to przeżyć, aby zrozumieć. Potem było nocne czuwanie i Msza św. na lotnisku. Ojciec Święty przejeżdżał obok nas swoim papamobile. Spaliśmy pod gołym niebem. Nad ranem spadł ulewny deszcz. Masakra. Wcześniej, razem z zespołami z całego świata, graliśmy dla tych wszystkich ludzi. Początek Mszy św. to burza i ulewa. Ludzie z instrumentami zaczęli uciekać ze sceny. Wydawało się, że pogoda poważnie pokrzyżuje plany. A jednak. Po chwili wiatr i deszcz ustał, wyjrzało słońce. Skąd my to znamy? Podczas Mszy doszło do międzynarodowego wykonania hymnu ŚDM (polską kwestię wykonali: niżej podpisana i Tomek Kamiński). I tak można by wymieniać bez końca. Przyznam, że nie wiemy, jak o tym wszystkim pisać. To dla nas za trudne. Będąc tam wiedzieliśmy, że uczestniczymy w czymś niezwykle i ważnym.

Ostatni tydzień naszego pobytu w Kanadzie to już takie małe decrescendo. Małe zakupy, bilardzik, spotkania towarzyskie, no i oczywiście Niagara. Cóż, tam naprawdę jest sporo wody. A poza tym jest bardzo pięknie. Bajkowo. Kanada jest ładnym krajem, ludzie są gościnni, mili, uśmiechnięci. Gdybym miał się do czegoś przyczepić, to do jedzenia. Wygląda wspaniale. Gorzej z resztą. 17 sierpnia, Kraków. Papież znów jest w Polsce. Znowu podchodzi do okna w Pałacu Prymasowskim, by porozmawiać z czekającymi na niego pielgrzymami. Papież mówi. Po polsku. Mój Boże, jakie to szczęście rozumieć, co mówi Ojciec Święty!

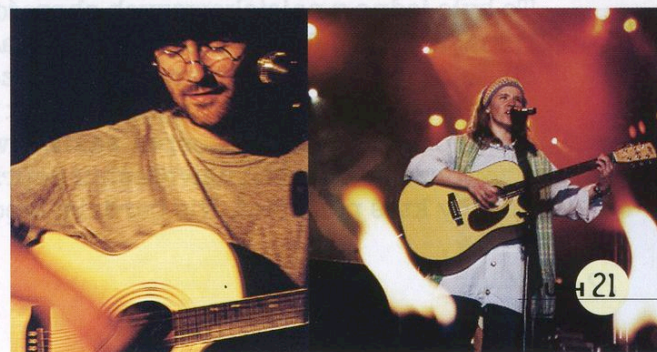
fol. Krzysztof Raczynski

choć trochę znany, sytuacja nie była tragiczna. W przeciwnym razie pozostawało porozumiewanie się systemem migowo-universalnym. Niemniej jednak, pomijając drobne niedogodności, cztery spędzone w St. Thomas dni były dla nas wspaniałym okresem, wypełnionym licznymi spotkaniami hotdogowo-hamburgerowymi, modlitwą, szaleństwami dyskotekowymi, muzykowaniem oraz, co warto zaznaczyć, kąpielami w basenie dziadka. Finałem tych kilku dni było spotkanie na olbrzymim, dopiero co ściętym polu kukurydzy. Tutaj po raz pierwszy odczuliśmy klimat tego, co w najbliższych dniach miało się wydarzyć - kilkaset tysięcy młodych ludzi z całego świata, gigantyczne sceny, celebry, przybycie biskupa, liturgia Słowa, występy różnych kapel. Potem już prosto do Toronto. No i zaczęło się. Małe problemy z zakwaterowaniem zostały szybko rozwiązane przez opiekujących się nami księży. My trafiliśmy do polskiej rodziny państwa Kaczmarek. Panie i panowie, to był knock-out gościnności. To, jak bardzo ci ludzie nam pomogli i jak wiele nam dali, nadaje się na oddzielne opracowanie. Dlatego poprzestaniemy na odnotowaniu faktu, że czuliśmy się u nich jak u najbliższej rodziny, a czasami jak u siebie w domu. Bóg zapałć Wam za to! Zresztą cała Polonia kanadyjska jest fantastyczna. Oni są bardziej polscy niż my. Spotykaliśmy się z nimi, graliśmy dla nich i wiemy coś na ten temat.

ŚDM to naprawdę wielka impreza. Tak wielka, że nie wiedzieliśmy, że aż tak wielka. Tak wielka, że nie wiadomo jak pisać, żeby dobrze



fol. Paweł Dziedziczak



DZIEŃ PAPIESKI 2002 - koncert w Warszawie



fol. Marcin Perjuński

Multimedialny koncert dla Papieża



To było jedno z najciekawszych chrześcijańskich wydarzeń artystycznych w tym roku. W niedzielę, 13 października na scenie Teatru Narodowego w Warszawie stanęło ponad 140 wykonawców reprezentujących różne, czasem bardzo od siebie odległe style i kultury muzyczne. Obok braci dominikanów śpiewał zespół ludowy z Biłgoraja, muzyka gospel sąsiadowała z gorącymi zambijskimi rytmami, a wzruszająca pieśń o nawróceniu poprzedzał hard-rock. „Nieskładna kakofonia” - mógłby ktoś pomyśleć. Nic bardziej błędnego.

Ubiegłoroczny koncert z okazji Dnia Papieskiego wywindował poprzeczkę artystycznego poziomu bardzo wysoko. Wielką sztuką byłoby samo dorównanie mu, a co dopiero jego przekroczenie. A jednak, twórcom koncertu - braciom Pospieszalskim - ta sztuka udało się. I to jak!

Do wspólnego śpiewania zaprosili bardzo różnych artystów, wykonujących bardzo różną muzykę z bardzo różnych krajów. Był w tym gronie muzyk z Armeni, chór z Londynu, zespół z Zambii, śpiewaczki z Biłgoraja, perkusista z Kuby, a także chóry młodzieżowe ze Szczecina i warszawskiego Ursynowa.

Koncert rozpoczął chór braci dominikanów z warszawskiego klasztoru na Służewiu, którzy wyśpiewali proste słowa: „Jezu, ufam Tobie” (kompozycja Pawła Bębenka). Dołączyły do nich połączone siły dwóch chórów: szczecińskiego Deus Meus oraz scholi od św. Tomasza Apostoła z warszawskiego Ursynowa. W chwilę potem Anna Maria Jopek wniosła na scenę wielki bochen chleba - symbol i przewodni „temat” widowiska - i zaintonowała pieśń Jana Kochanowskiego „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?”. Kolejną zwrotkę zaśpiewała góralka Bogusława Kudasik, a także oba chóry młodzieżowe.

Dalej było „folkowo”. Starsze panie z Biłgoraja wykonały pieśń ludową, a na flecie przygrywał im Mateusz Pospieszalski. Swoje „pięć minut” miała góralka kapela Sebastiana Karpieła Bulecki z Zakopanego. Nie zabrakło piosenki „O miłości”, która od początku towarzyszy obchodom Dnia Papieskiego. „Jeśli podasz chleb głodnemu i nakarmisz jego duszę, światło twe zabłyśnie w mroku, ciemność stanie się południem” - śpiewali dominikanie, a wraz z nimi Robert Amirian oraz Mateusz Pospieszalski.

W programie koncertu znalazło się także miejsce na ciężkie hard-rockowe brzmienia. Gitarzysta 2 Tm 2,3 oraz Deus Meus, Robert Drzęk, szarpał struny, Piotr „Stopa” Żyżelewicz walił w perkusję, bas Marcina Pospieszalskiego pulsował w skroniach, a z klawisza dobiegały industrialne dźwięki. Tej prawie „szatańskiej” muzyce towarzyszył wstrząsający teledysk, wyświetlany na ogromnym telebimie na tyłach sceny. W zawrotnym tempie pokazano obrazy, będące symbolem współczesnej cywilizacji konsumpcyjnej: stopy jedzenia, pieniądze i... sterty śmieci. Skontrastowano je z wizją głodu, wojny i zniszczenia. Mateusz Pospieszalski krzyczał „Taka była wina...”, a chór dokrzykiwał: „...Sodomy!!!”. Ostre cięcie, głęboki pogłos („Sodomy... Sodomy... Sodomy...”) i delikatnym dźwiękiem klawisza rozpoczęła się przepiękna pieśń chóru Deus Meus o nawróceniu - „Do mnie wróć”.

Końcówka koncertu to eksplozja radości i zabawy. Gorącą atmosferę wprowadził zambijski zespół The Sakala Brothers, który wraz z chórem i Mietkiem Szcześniakiem wykonał piosenkę „Śpiewajmy Alleluja Barankowi”. Atmosfera radości i bezstronki udzieliła się widzowi, gdy na scenie pojawiły się dzieci z Arki Noego. Finałowym utworem widowiska była pieśń „Abba, Ojce”, w czasie której wszyscy chwycili się za ręce.

W koncercie wziął także udział wykonujący muzykę gospel Visual Ministry Choir z Londynu. Czarnoskórzy wokaliści zaśpiewali m.in. piosenkę „I Believe I Can Fly” z repertuaru amerykańskiego wokalisty R.Kelly. Kapela Sebastiana Karpieła Bulecki oraz lider zespołu De Press, Andrzej Dziubek, wykonali piosenkę „Cy



fot. Marcin Perfuński



fot. Marcin Perfuński

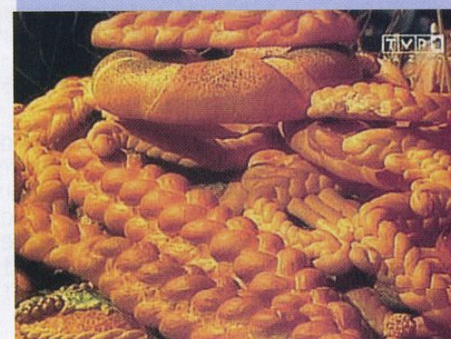


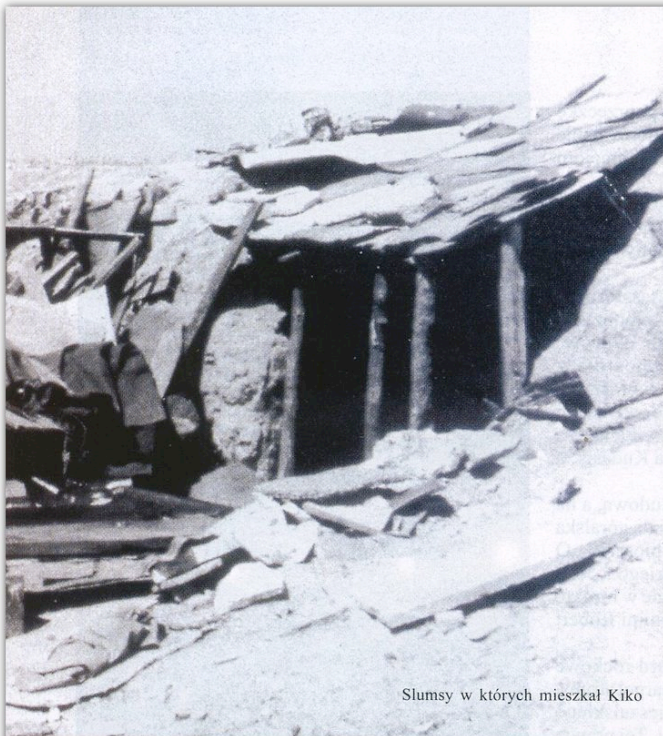
bocycie Świnty Ojce”, a Anna Maria Jopek ulubioną pieśń Jana Pawła II - „Barkę”. Niezwykłym momentem było odtworzenie specjalnego przesłania Papieża do rodaków. Cała sala słuchała w skupieniu, gdy główny „bohater” koncertu mówił z Watykanu: „Wierzę, że różnorakie celebracje religijne i wydarzenia artystyczne, jakie odbywają się w tym dniu, przyczynią się do głębszego poznania Ewangelii”. Większość wykonywanych pieśni była ilustrowana fragmentami filmów, których bohaterem był przeważnie Karol Wojtyła. Często emitowano również fragmenty jego wypowiedzi.

Po koncercie wszyscy widzowie otrzymali małe chlebki, a później mogli obejrzeć, a nawet kupić chleby pochodzące z różnych części świata. Koncert transmitowała na żywo TVP1. Galę prowadziła Grażyna Torbicka z Janem Pospieszalskim. Ten ostatni był wraz z reżyserem spektaklu Jerzym Bielunasem (z Wrocławia), autorem jego scenariusza.

Koncert był rejestrowany, niewykluczone więc, że pojawi się na płycie. Już teraz dostępny jest album „Barka”, który jest zapisem ubiegłorocznego koncertu.

Marcin Perfuński





Slumsy w których mieszkał Kiko

Niestety - mecenas płaci, mecenas wymaga - mówią słowa popularnej piosenki, i tak oto musialem się zmierzyć z tym niewygodnym tematem. Dlaczego niewygodnym? Ano dlatego, że został on może niezbyt fortunnie sformułowany, tak jakby dla nawróconych („nawróconych“?) muzyków rockowych nie było miejsca w innych wspólnotach, lub jakby nigdzie indziej w obrębie Kościoła nie występowali. Dlaczego nie napisać o nawróconych ginekologach czy ślusarzach? - przecież tacy też są we wspólnotach.

Na samym początku warto więc napisać parę słów o samej Drodze i jej historii, nie wszystkim przecież znanej, co pozwoli nam lepiej zrozumieć istotę tematu.

Za twórcę Drogi Neokatechumenalnej uważany jest hiszpański malarz, Kiko Arguello. Uważany, albowiem wszyscy zdajemy sobie chyba sprawę z tego, że jedynym Twórcą wszystkiego, co powstaje w obrębie Kościoła, jest Duch Święty. Tak więc Kiko, który pochodził z dobrej rodziny,

Radykalni - nawróceni?

***Staliśmy się
aż do tej chwili
jakby głównym tego świata***

To nie jest kolejna prowokacja w moim stylu. To cytaty, w miarę dokładny ze św. Pawła jaki przytaczam za Septuagintą (*pros kai os tu kosmu egenomenen - o ile dobrze pamiętam transkrypcję*). Taki bowiem cytat widniał na ścianie baraku w podmadryckich slumsach, gdzie zaczyna się historia wspólnoty, do której należy część (i to spora, jak się wydaje) muzyków - chrześcijan. Baraków, dodajmy, wielokrotnie burzonych przez Guardia Civil (formacja municypalna, coś na kształt hiszpańskiej Straży Miejskiej), ponieważ dla statecznych obywateli były siedliskiem nierządu, rozpusty i wszeteczeństwa. Wegetowali w nich odrzuceni przez społeczeństwo, skazani na zapomnienie i spisani na straty. Ludzkie odpady. Śmieci tego świata, jak podaje „Tysiącłatka” w swoim tłumaczeniu.

Miałem pisać ten artykuł o tym, dlaczego Droga Neokatechumenalna jest szkołą życia dla nawróconych („nawróconych“?) muzyków rockowych, a tu mi się dziecko urodziło. Na dodatek syn, i jak niektórzy wiedzą, jest to mój pierwszy syn, więc miałbym raczej ochotę napisać o czymś zupełnie innym.

będąc znanym i cenionym artystą (laureat nagród państwowych), dzięki jednej z kucharek w domu rodziców spotyka się z rzeczywistością skrajnej nędzy i ubóstwa, cierpienia i brudu. Trafia do podmadryckiego osiedla baraków i lepiarek, gdzie widzi tyle cierpienia i upokorzenia, co nigdy wcześniej w całym swoim życiu. Postanawia zostawić wszystko i zamieszkać z nędzaczami, bo widzi, że potrzebują Chrystusa, że tylko On, zbity, zelżony i dogorywający na krzyżu może być odpowiedzią na życie tych ludzi, będących dosłownie na samym dnie. Zaczął sobie zadawać pytanie o to, jakie grzechy musieli popełnić ci ludzie, że zasłużyli sobie na takie życie? Czy Boga nie ma, czy też jest i nic nie robi, bo jest zły? I gdy tak się zastanawiał, zdumiony zobaczył, że takie stawianie pytań niesie w sobie truciznę, kłamstwo. Dane mu było w tych ludziach zobaczyć Chrystusa Ukrzyżowanego.

W wielkim zaskoczeniu zdał sobie sprawę z tajemnicy Krzyża Chrystusa, która wywarła na nim wielkie wrażenie. Doszedł do wniosku, że gdyby miała nadejść Paruzja, to jedynym miejscem, w którym chciałby się wtedy znaleźć, byłoby miejsce u stóp Ukrzyżowanego Chrystusa. A gdzie jest Chrystus Ukrzyżowany? W tych, którzy najbardziej cierpią na skutek grzechów innych. I tak oto zamieszkał w baraku zbitym z desek, który służył za schronienie psom. Miał tylko Biblię,

gitarę i siennik na podłodze. Zimą grzały go psy, dopóki ci biedacy sami nie przyszli i nie zainteresowali się nim. Powiedzieli - masz tu piecyk, bo marzniesz.

Został nie tylko zauważony, ale też jego pobyt wśród tych odrzuconych stał się dla nich wielkim znakiem zapytania. Niektórzy brali go za protestanta, z racji tego, że nie rozstawał się z Biblią. Cyganów z kolei przyciągała jego gitara. Chcąc przywrócić ich Chrystusowi, wprowadzić ich do Kościoła, zebrał pewnego dnia całą grupę i przyprowadził na mszę. Kiedy pobożni katolicy zobaczyli, jak do kościoła wchodzi Cyganie, prostytutki, złodzieje, żebracy i przestępcy - odsuwali się w swoich ławkach jak najdalej od nich.

Kiko zaczął więc szukać formy przepowiadania, która mogłaby być przez owych braci przyjęta. Postawiony wobec faktu tak wielkiego cierpienia nie mógł i nigdy nie znalazłby słów odpowiedzi na sytuację, w której się oni znaleźli: mogło by się wydawać, że Boga nie ma, nie ma miłości! Ale jeśli jest ktoś, kto ci towarzyszy, jeśli sam Bóg staje się człowiekiem i z miłości do człowieka jest z nim, to może oznaczać tylko jedno - jest miłość. A jeśli jest miłość, to i Bóg musi istnieć! Jeśli istnieje Bóg, który jest miłością, to życie i śmierć nabierają sensu. Jeśli jestem kochany, mogę umierać!

Carmen - kobieta prowadząca wcześniej grupę wsparcia dla prostitutek, pomagającą im znaleźć pracę i porzucić profesję, pociągnięta przykładem Kiko i wstrząśnięta sytuacją panującą w slumsach Palomeras Altas, zdecydowała się także żyć pośród owych braci.

Tak powstała pierwsza wspólnota, w której uwidaczniała się miłość Chrystusa. W barakach Pan pozwolił im odkryć trójnog, na którym później oparli całą „Drogę Neokatechumenalną”: Słowo, Liturgię i Wspólnotę. Dzięki ówczesnemu biskupowi Madrytu, Casimiro Morcillo, „Droga” znalazła swoje miejsce w innych parafiach Madrytu, Rzymu i innych krajów... Papież powiedział, że „Droga” jest dziełem, które ma być wykorzystywane przez biskupów. Do czego? Ano do tego, żeby wprowadzić do Kościoła człowieka ześwieczonego, nierzadko nie ochrzczonego, dla którego coś takiego jak życie sakramentalne, w najlepszym przypadku po prostu nie istnieje. Narodziła się nowa Ewangelizacja, duszpasterstwo ochrzczonych, ale nie praktykujących, dla których Bóg jest co najwyżej pseudofrojdowskim mitem, a nie żywą osobą. Żeby móc adorować Najświętszy Sakrament, trzeba najpierw uwierzyć, że to naprawdę jest Jezus Chrystus. Aby uwierzyć, że tak jest, potrzebna jest wiara. Najtrudniej

jest uwierzyć w Boga widząc żebraków, biedaków i cierpiących bez winy - można łatwo uwierzyć, że Boga nie ma i stać się bojownikiem o ich prawa na wzór Che Guevary.

Kto nie ma wiary, nigdy nie wejdzie do Kościoła, drażnić go będzie widok księdza w sutannie, będzie gadał o mitycznych skarbach w Watykanie i o Inkwizycji. Nie pomodli się przed tabernakulum, bo dla niego to jest po



Ikona namalowana przez Kiko

prostu pudełko na opłatki. Czy istnieje więc taka obecność Boga, która mogłaby być zauważona bez wymaganego depozytu wiary?

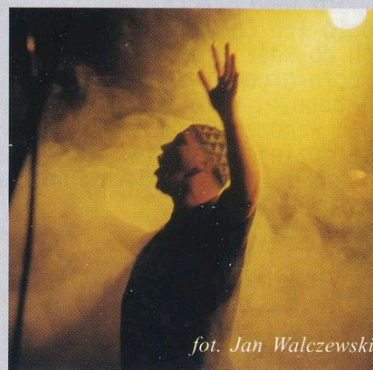
Jezus mówi w Ewangelii, byśmy się tak miłowali, jak On nas umiłowal (na krzyżu - kiedy my Go lżyliśmy, zabijali, sztydzili z Niego i sprawiali mu ból - on nas kochał, bo ofiarował za nas swoje cierpienie Ojcu i tym samym nas

uratował, zbawił). Jeśli będziecie się tak miłować, to widząc, samą miłość jaka jest między wami, ludzie uwierzą we Mnie, bo taka miłość bez Boga nie jest możliwa. Miłość bez zobowiązań, darmowa i dla każdego. Patrzcie, jak oni się kochają! Muszę przestać pisać, bo zamiast artykułu o tym, dlaczego Droga Neokatechumenalna jest taką szkołą życia dla muzyków, napiszę reklamarską apoteozę Drogi i teologiczną wykładnię jej funkcjonowania. Obierając ziemniaki na obiad uświadomiłem sobie dwie rzeczy: po pierwsze Droga była obecna w Polsce na wiele lat przed tym, jak Marcin Jakimowicz rozślawił „Świątą czwórce” nawróconych („nawróconych”?) w swoich „Radykalnych” i już wtedy przynosiła owoce. Po drugie, my wszyscy (Radykalni, he he he) rozpoczęliśmy naszą „karierę” od Odnowy Charyzmatycznej. Byliśmy we wspólnotach Odnowy w Duchu Św., chodziliśmy na czuwania, braliśmy udział w Reo (rekolekcje Odnowy). Potem o. Krzysztof (można powiedzieć - nasz kierownik duchowy w owym czasie) kazał nam iść do Neo. Wiedział bowiem, że specyfika Drogi opartej na poznaniu najpierw własnej grzeszności, drogi w dół, pozwoli nam zobaczyć, jacy jesteśmy naprawdę, że nie mamy w sobie ani wiary, ani miłości. Nie tylko dla innych, ale także dla siebie. Warto też zwrócić uwagę na fakt, że umiłowanie Słowa i stawianie go w centrum liturgii, zaowocowało tym, że Tymoteusz (2 Tm 2,3), kiedy już powstał, nie wysiłał się na pisanie religijnych tekstów, ale brał je żywcem z Księgi (nomen omen) Życia, wprost ze źródła. Doświadczenie, jakiego człowiek nabiera podczas trwania we wspólnocie, kiedy jest mu proklamowane Słowo Boże, kiedy może zobaczyć fakty swego życia w świetle Słowa i podzielić się nimi z innymi braćmi (swoiste echo słowa, wydarzenia mówiące o tym, co Słowo zdziało w życiu, czego za pomocą Słowa dokonał w moim życiu Bóg) sprawia, że człowiek nawiązuje intymną relację z Bogiem (może więc w Niego uwierzyć). Dlatego też na Drodze ludzie mówią tylko o sobie, w pierwszej osobie. Nie wiemy wszak nic o drugim człowieku, to wie tylko Bóg, który patrzy w serce danego człowieka. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że ten, który na scenie błyszczy w świetle reflektorów, we wspólnocie jest redukowany do poziomu brudu pod paznokciami - wszystko po to, by pokazać mu, że choć w pewnych sytuacjach stanowi centrum wydarzeń (scena - koncert - studio), to w jego życiu i w życiu w ogóle kto inny jest najważniejszy. Amen.

Postanowiłem więc w dalszej części oddać głos samym muzykom, bez komentarza i bez ingerowania w ich wypowiedzi. Niestety, są to wypowiedzi tylko tych, którzy zdołali

mi odpowiedzieć przed terminem oddania niniejszego tekstu (co wypadło chyba w ten sam dzień, gdy numer szedł do drukarni - ooops!).

„Jest to przeświadczenie, że nareszcie ktoś traktuje mnie poważnie. Nie jest to lanie wody, ani czcze obiecanki - cacanki. Poza tym Droga cały czas mnie zaskakuje, jest to fascynująca przygoda. Na tej Drodze, co chyba bardzo ważne, nie jestem nareszcie



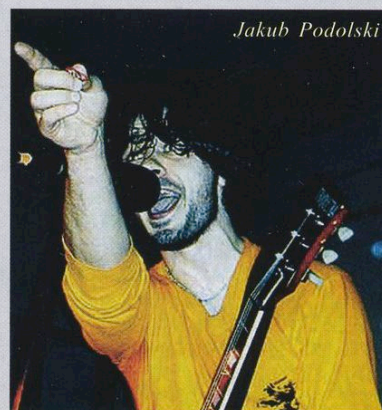
fot. Jan Walczewski

wielkim artystą chrześcijańskim - Tomaszem Budzyńskim, nikt na to nie zwraca uwagi, a to może bardzo pomóc mojemu nawróceniu (podkreślenie moje). Ta Droga nie jest

wiastnie specjalnym miejscem dla zbuntowanych muzyków i tym podobnych, a właśnie jest drogą dla każdego. I jest to dla mnie lepsze niż nawiedzone getto „muzyków chrześcijańskich”. Jest to dziwna i tajemnicza droga, na którą czekałem całe życie.”

Tomasz Budzyński

„Katechumenat pochrzcielny - Droga Neokatechumenalna - to sprawa bardzo poważna. To nie jest nawet gra. Nikomu nie zależy na tym, abym miał dobry dzień czy wieczór, abym doraźnie poczuł się lepiej. Że z trzy-



Jakub Podolski

dziestoma osobami idę w podróży przez życie, często bez wody, przez piach, przez kilka - dziesiąt lat, jak lud Izraelski. I wiadomo, że będą trudności, że będą wkurwiony nie jeden

raz! Co jednak mogę zrobić? Mogę zostać na pustyni sam, bardzo proszę, ale tam czeka na mnie śmierć! I droga Neokatechumenalna to pokazuje, że niezbyt kocham, słabo wybaczam, niechętnie się dzielę, co więcej - krytykuję i chcę zabić Mojżesza. Jednak także dzięki niej wiem, że poza Kościołem jest śmierć. To jest olbrzymia lekcja pokory, aby nie tylko mówić, ale tak naprawdę zobaczyć swoje ubóstwo i wejść w posłuszeństwo. Wielu braci (na Drodze wszyscy są dla siebie braćmi - niezależnie od wieku i pozycji

społecznej mówią sobie po imieniu) odrzuca tę trudną dla siebie prawdę o sobie, nie mogąc jej zaakceptować. Do tego potrzebny jest cały proces - dla Izraela trwał on czterdzieści lat, w katechumenacie pierwszych chrześcijan około pięć, a mój - nie wiem... Może całe życie, modłę się jednak, abym wytrwał. Często mam pokusę, aby myśleć, że właśnie to, czego pragnę, przyniesie mi szczęście i będzie dla mnie najlepsze. Jednak gdybym rzeczywiście tak wybierał, wybrałbym egoizm, karierę, seks. Najlepsze zaś jest to, co daje Pan, On daje życie, wolność, Kościół, wspólnotę. Prawdą jest, że aby mnie zaprosić na katechezy neokatechumenalne, Pan posłużył się ludźmi i ich świadectwem, jednak to On wybrał tę drogę dla mnie, i skoro pochodzi ona od Niego, to jest najlepsza dla mnie."

Podol z zespołu Triquetra

"Jeśli jesteś na Drodze, to ci nie odbija. To normalne, że ludzie idealizują muzyków, patrzą na nich jak na świętych. To może zepsuć człowieka. Człowiek, który jest we wspólnocie, cały czas słyszy o sobie prawdę, co sprowadza go na ziemię i pozwala normalnie funkcjonować."

Angelika Korszyńska-Górny

"Na pewno ludzie mego pokroju narażeni są na różne pokusy (problemy z małżeństwem), a we wspólnocie ma miejsce formacja szczególnie uwzględniająca problemy małżeńskie. Przekazywana jest nauka Kościoła na temat życia w rodzinie w ramach ogólnej formacji chrześcijańskiej. Poza tym dużo uwagi poświęca się dzieciom, ich wychowaniu do życia chrześcijańskiego, co procentuje potem gdy dorastają. We wspólnotach ma miejsce konkretna formacja, która prowadzi człowieka od zawiązania wspólnoty aż do momentu osiągnięcia dojrzałości chrześcijańskiej. Odczuwa się dynamikę Ducha Świętego, który prowadzi, daje życie. Dla mnie to jedyne miejsce, w którym mogę przetrwać napór atakującego mnie świata. Jako muzyk znajduję się w bezustannym stresie związanym z osiągnięciem sukcesu, „utrzymywaniem się na powierzchni”. Mam więc do czynienia z ostrą rywalizacją, do czego dochodzi jeszcze syndrom Piotrusia Pana - wiecznego chłopca, który nie chce dorosnąć, i który próbuje przejść przez życie bez zobowiązań. Droga z chłopca robi mężczyznę."

Darek Malejonek

"Neo jako jedyna wspólnota nie zakłada, że człowiek ma wiarę. Nie wstąpiłbym do żadnej innej wspólnoty, bo nie mam wiary. Gdybym na początku Drogi nie usłyszał, że nie muszę mieć wiary, aby wejść na Drogę, to bym

nie wszedł na nią. Po tych wszystkich operacjach serca nie chciało mi się udawać nawet przed sobą samym, że w cokolwiek wierzę. Co ciekawe, to właśnie tu można wiarę otrzymać (podczas tzw. pierwszego „skrutinium” katechisci pytają się braci: czego oczekujesz od Kościoła? Odpowiedź brzmi: Wiary!). Na Drodze nie ma spiny - buźka ci się z czasem wygładza. Jak robisz Drogę, wygładzają Ci się rysy twarzy. No i zawsze jeszcze pozostaje pytanie: jaki jest sens życia? Na pewno nie sukces na scenie i tysiące sprzedanych płyt, o czym przekonuje nas przypadek wokalisty INXS, który otaczając się najpiękniejszymi modelkami i drogimi samochodami wiesz się na pasku w hotelu."

Robert Friedrich

"Droga rzuca światło na wiele rzeczy w życiu: na to, co jest czarne, a co białe, na relacje z drugim człowiekiem, z żoną, najbliższymi. To próby wejścia do środka, jak najgłębiej. Relacje we wspólnocie rzutują na te w domu czy w zespole. Na Drodze możesz poznać pryncypia i zobaczyć, czy jest to relacja miłości, czy też oszukujesz i udajesz kogoś innego niż jesteś. Dzięki patrzeniu na krzyż („pierwsze skrutinium”) i czując, że w momentach śmierci (choroba, poniżenie) Pan Bóg daje Ci życie, widzisz, że cierpienie będące dla świata przekleństwem, dla Ciebie staje się błogosławieństwem. Ty tracisz życie, a Jezus Chrystus Ci je zwraca. Dokładnie w tym momencie, gdy umierasz, On daje Ci życie. I wtedy możesz w Niego uwierzyć."

Gonek - ex Good Religion

Wszystkich chcących się dowiedzieć więcej, odsyłam do dwóch wydawnictw, którymi się posiłkowałem pisząc niniejszy artykuł. Są to: „Nowa ewangelizacja i Trzecie Millenium - Konwienca w Nowym Jorku 253 biskupów z obu Ameryk na temat „Ewangelizacja i Droga Neokatechumenalna”", oraz „Droga Neokatechumenalna w wypowiedziach Pawła VI i Jana Pawła II."

Grzegorz Wacław a.k.a. dziki

Warszawa, 09/11/2002



Mamy już IDOLA a jest Nim Pan Jezus!



o. Andrzej Bujnowski OP
rozmawia

z Beata Bednarz

Dlaczego mieszkasz w Bielsku-Białej? Aby śpiewać i być „zauważonym” trzeba dziś żyć w Warszawie.

Cieszę się, że nie jest tak zawsze! Na pewno jest łatwiej o nawiązanie kontaktów zawodowych tym wokalistom, muzykom, którzy mieszkają w dużych aglomeracjach. To też jest często powód ich bezrobocia, spowodowany „zagęszczeniem” zainteresowanych..., niestety. Moje kontakty, a raczej przyjaźnie zawodowe powstawały podczas długoletniej działalności na tzw. „rynku”. A potem ktoś gdzieś komuś powiedział, polecił, a jeszcze inny usłyszał lub zobaczył... I tak bez agenta, menagera, działałam sobie już od tych kilkunastu lat. A dlaczego mieszkam nadal w Bielsku-Białej? Bo lubię to miasto i dobrze mi tutaj. Do stolicy stąd to wprawdzie kilkaset kilometrów, ale to żadna przeszkoda, żeby od czasu do czasu pojechać tam do pracy. A propos: czasem z Bielska do centrum Warszawy dojeżdżam szybciej niż moi koledzy z jednego jej końca na drugi.

Śpiewanie zaczęłaś od razu od pieśni i piosenek religijnych....

Tak jakoś na moje szczęście się stało. Trafiłam do grupy ludzi, którzy zafascynowani Panem Bogiem z wielką pasją śpiewali dla Niego. Wiedziałam od dziecka, że muzyka i śpiew to dla mnie wszystko. Ale dopiero wtedy, kiedy przeżyłam spotkanie z Ewangelią i narodziłam się na nowo, odkryłam sens mojego działania. I tak zaczęłam śpiewać o tym, co dla mnie najcenniejsze i najważniejsze.

Czy był moment, który można uznać za początek Twojej piosenkarskiej kariery?

Bardzo nie lubię słowa „kariera”, bo co ono właściwie znaczy? W moim przypadku chodzi chyba o początek drogi zawodowej. Zaczynałam od muzykowania w zespołach amatorskich. Tu, współpracując z wieloma fantastycznymi ludźmi, dojrzywałam muzycznie. Trudno mi odszukać w pamięci

moment, kiedy śpiewanie przestało być już tylko pasją, a stało się też pracą. Nie odnotowuję w moim życiorysie też jakiegoś szczególnego wydarzenia, które nagle coś w nim odmieniło.

W latach dziewięćdziesiątych zaczęła się Twoja współpraca ze znakomitymi muzykami, jak: Mirek Kałużny, Andrzej Cudzych, Paweł Zarecki.... Czy to oni zaprosili Cię do współpracy, czy raczej Ty szukałaś kontaktu z nimi?

A to różnie się działo i dzieje. Z Mirkiem już w latach osiemdziesiątych byliśmy członkami pewnej formacji muzycznej. Przedsięwzięcie to się rozwiązało, a my podjęliśmy dalsze wspólne działania. Z Andrzejem poznałam się na benefisie naszego wspólnego kolegi, Janka Budziaszka. Andrzej zaprosił mnie do wzięcia udziału w nagraniach. Nie miałam wtedy pojęcia, że fakt ten zaowocuje kilkuletnią współpracą. Paweł zaś to przedstawiciel młodego i prężnego pokolenia. Jak wiesz, to producent i muzyk uczestniczący w wielu projektach. Jednym z nich jest chór TGD. I to do współpracy z chórem zostałam zaproszona przez Pawła Zareckiego i Piotra Nazaruka.

W brzmieniu Twego głosu i sposobie śpiewania czuje się wpływy czarnego gospel i soul. Na ile jest Ci bliska ta muzyka?

Jeśli to komplement, to dzięki! Moja fascynacja „czarną muzyką” trwa i trwa. Czarni wykonawcy, poza niepowtarzalną, pełną barwą głosu, mają porywającą dla mnie ekspresję. Środki wyrazu, którymi się posługują, ich muzykalność, poczucie rytmu i tzw. „kołysanie” po prostu mnie przekonują, poruszając czułe struny mojej wrażliwości. Słucham tej muzyki z największą przyjemnością od wielu lat. No i chyba trochę nią sama przesiałam.

Czy masz jakieś swoje ulubione wokalistki, śpiewaków? Czego najchętniej słuchasz?

Może zacznę od drugiej części pytania.



foto. z archiwum BB

Słucham bardzo różnorodnej muzyki. Nie zamykam się w jakimś jednym nurcie czy gatunku. Sięgam po soul, jazz, pop czy klasykę. Po nagrania stare dobrze mi znane, jak i nowe, młodych i może jeszcze nieznanymi artystów. To, czego słucham w danej chwili, zależy od mojego nastroju. Zdarza mi się też, że po intensywnej pracy w studio czy koncertach robię sobie dzień lub dwa dni ciszy. Myślę, że nie jestem w tej materii kimś wyjątkowym. Co do moich faworytów czy ulubieńców to jest ich wielu. Ale górę bierze tu moja słabość do „czarnego brzmienia”. Wymienię solistów i zespoły, piękne panie i wspaniałych panów: Aretha Franklin, Chaka Khan, Patti LaBelle, Patti Austin, Ron Kenoly, Anita Baker, Take 6, TLC, Eternal, Oleta Adams, Paul Carrack, Bebe & Cece Winans, Michael Bolton, Sting, Boyz II Men.

Czy sądzisz, że w naszym kraju jest możliwa popularność, jeśli śpiewa się głównie piosenki o treściach religijnych?

To bardzo ciekawe i złożone pytanie. Trudno być w Polsce artystą dostrzeganym przez media, śpiewającym muzykę gospel. Ludzie, którzy mają w tej kwestii głos decydujący, uważają, że ta muzyka nie znajduje odbiorcy. Dlatego też nie są zainteresowani promowaniem takich artystów i ich twórczości. Zaprzecza temu jednak rosnąca ilość festiwali, przeglądów i wydawanych płyt z tego rodzaju muzyką. Podobnie też całe rzesze młodzieży zapełniającej duże sale koncertowe, aby

słuchać wykonawców tego nurtu. I dzieje się tak bez udziału i ogromnych nakładów finansowych największych wytwórni i wydawnictw muzycznych, które to nie lubią ryzykować. A tzw. „rynek chrześcijański”, jakby na przekór, rozwija się i jest coraz bardziej widoczny. Na szczęście nie najważniejsza jest tu popularność.

Dlaczego właściwie śpiewasz o Bogu?

Mówiłam ci już na początku tej rozmowy, że wydarzyło się w moim życiu coś bardzo ważnego. Konfrontując swoje życie ze Słowem Bożym, zrozumiałam, jak bardzo potrzebuję Łaski, przebaczenia i zmiany. Odpowiedziałam na miłość Boga moją miłością. Od tamtej pory jestem Jego dzieckiem i szczęśliwym człowiekiem! Wiem, jak bardzo można być samotnym i nieszczęśliwym, dlatego niosę „dobrą nowinę” do tych, którzy jej tak samo potrzebują.

Gdzie cię ostatnio można zobaczyć i usłyszeć?

Do tej pory stałą współpracą związana byłam z Mietkiem Szczęśniakiem, TGD i Gaude Band. Teraz w związku z moim udziałem w nagraniu najnowszej płyty Maryli Rodowicz prawdopodobnie dołączę do jej zespołu w promocyjnych koncertach.

Na czym polega twoje doświadczenie współpracy z TGD?

Bardzo cenię sobie tę współpracę! Wszystko zaczęło się od programu



fot. z archiwum BB

Wielkanocnego realizowanego dla TVP w roku ubiegłym. Zostałam zaproszona wraz z innymi wykonawcami do gościnnego udziału w nim. Entuzjazm, świeżość i szczerłość tych młodych ludzi porwała mnie od pierwszego kontaktu. Ta energia, którą mają w sobie jako zespół, udzieliła się nam wszystkim. Zawsze marzyła mi się współpraca z chórem, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo może mnie to ubogacić. Powiedzenie „czuć się jak ryba w wodzie” będzie bliskie temu, co czuję, kiedy razem śpiewamy naszemu Panu. Od pewnego czasu w TGD jestem już na stałe. Wspólny cel, modlitwa, radość ze wspólnego bycia razem, to jest to!

Czy myślisz o kolejnej własnej płycie solowej?

Oczywiście! Od wydania mojej ostatniej płyty „Co jest grane” upłynęło już przecież sporo czasu. O nowej płycie na razie tylko dość dużo myślę. Trudno mi się jednak za to zabrać konkretnie przy wielu innych moich działaniach. Zebranie piosenek, znalezienie środków finansowych i wydawcy... oj oj oj! Jaką długą drogę trzeba przejść... ale „wszystko ma swój czas”. Póki co, jestem dobrej myśli! Może coś „urodzi się” z wiosną.

Czy nie warto byłoby wydać płyty z Twoimi największymi hitami z płyt: „Pelengator”, „Wierna”, „Co jest grane?” czy nagranych razem z AmenBandem, Deus Meus i TGD?

Do tego też jest potrzebny czas i ktoś, kto ogarnie to wszystko. Ale jest chyba taka potrzeba, bo nie jesteś pierwszą osobą, która mi podsuwa ten pomysł. Mogą być jednak trudności z zebraniem piosenek, ponieważ każdą z tych płyt wydało inne wydawnictwo. Nie ukrywam, że byłoby miło, gdyby mogły się odkurzyć już chyba trochę zapomniane piosenki. Dla wielu młodych ludzi będą może jak nowe, bo usłyszą je po raz pierwszy. Wiesz, wtedy kiedy nagrywałam „Pelengatora” czy „Wierną”, rynek muzyki chrześcijańskiej w Polsce wyglądał zupełnie inaczej.

Śpiewasz czasem w chórkach, które towarzyszą Mietkowi Szcześniakowi, „Piaskowi”, Edycie Górniak czy ostatnio - wspomnianej Maryli Rodowicz. Niektórzy traktują to jedynie jako rodzaj pracy zarobkowej osób potrafiących śpiewać. Czy można się z tym zgodzić?

Chyba tak. Jestem przecież muzykiem sesyjnym. Co to znaczy? Przyjmuję zaproszenia artystów nagrywających swoje płyty, aby zaśpiewać tzw. chórki. Bardzo często się zdarza, że artysta ten ponawia zaproszenie, kiedy promuje już swój album. Wyczuwam w Twoim pytaniu podtekst. Czy to, że śpiewam „chórki” nie przynosi mi ujmę? Nie. Wielu wspaniałych wokalistów wykonywało tę pracę. U nas w Polsce np. Kayah. To mój wybór. Mam pewne predyspozycje głosowe, które ułatwiają mi dopasowywanie się do innych głosów. Potrzebna jest też tu maksymalna koncentracja, opanowanie, no i ucho. Przydaje się też duża średnica głosu, co ułatwia swobodne poruszanie się zarówno na „górach”, jak i na „dołach”. Czas w studio liczy się na godziny, a każda z nich sporo kosztuje. Stawia się więc na sprawność muzyka. Wierz mi, praca ta nauczyła mnie kilku ważnych rzeczy, np. pokory i zdrowego samokrytycyzmu. Poza tym zmusza mnie do utrzymywania się w dobrej kondycji wokalne. Zatrzymanie się w miejscu to w rzeczywistości cofanie się. Jest też przyjemniejszy aspekt - poznaje się przy takich okazjach znakomitości „świata muzyki”.

Co myślisz o obecnym rynku muzyki chrześcijańskiej w Polsce?

Już powiedziałam wcześniej zdanie czy dwa na ten temat. Co mogłabym dodać? Coraz częściej można zobaczyć i usłyszeć fajnych i zdolnych ludzi. Wykonawców solowych i zespoły, które całkiem nieźle sobie radzą. Mają coraz lepsze piosenki i dobrze brzmią na koncertach, na żywo. Jest coraz więcej tej muzyki na płytach i to bardzo różnej stylowo. Może nam daleko do Zachodu, ale robi się coraz ciekawiej.

Jakich wskazówek udzieliłabyś młodym, którzy chcą wykonywać tę muzykę?

Trudno jest dawać wskazówki. Mogę podzielić się jedynie swoim doświadczeniem i powiedzieć, co dla mnie jest najważniejsze. Przede wszystkim nie zapominać, komu dedykuje się tę muzykę. Kochać ludzi, dla których się gra! I najważniejsze. Mam nadzieję, że „chrześcijańska scena muzyczna” nigdy w niczym nie będzie przypominać np. programu „Idol”, gdzie kreuje się kogoś na „gwiazdę”. My mamy już IDOLA, a jest nim Pan Jezus! I jeżeli to tylko „moda na granie” zaprowadziła kogoś tutaj, to niech nie marnuje swojego czasu.

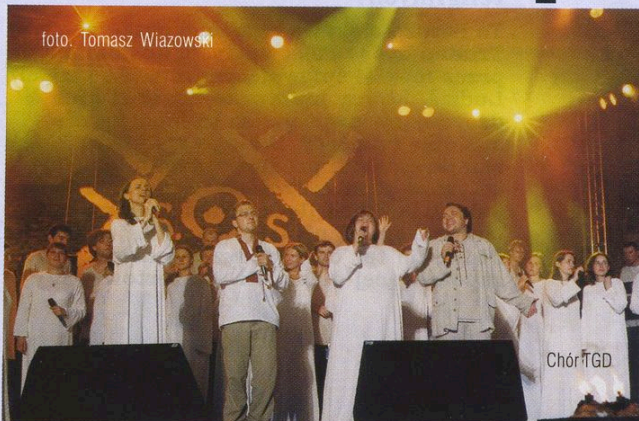


foto. Tomasz Wiazowski

Chór TGD

ŚWIĘTY SPOKÓJ

muz., sl. Adam Szewczyk

A B A B A
 1. Odkąd Ciebie znam święty spokój mam
 A B A B A
 Nic nie goni mnie, wiem już czego chcę.
 A B A B A
 2. Odkąd Ciebie znam dobry humor mam
 A B A B A
 Serce cieszy się, przecież kochasz mnie.
 d7 G C d E7 a A7
 ref. Święty spokój mam odkąd Ciebie znam
 d7 G C F d E7 a
 Święty spokój mam odkąd Ciebie znam.

3. Odkąd Ciebie znam święty spokój mam
 Mówią o mnie źle, a ja śmieję się.
 4. Odkąd Ciebie znam śmiało w życie gram
 Już nie boję się, przecież kochasz mnie.

ref. Święty spokój mam...

6. Odkąd Ciebie znam święty spokój mam
 Nic nie goni mnie, wiem już czego chcę.
 7. Odkąd Ciebie znam prostą drogę mam
 Świat zachęca mnie, a ja mówię nie!

ref. Święty spokój mam...

5. Odkąd Ciebie znam święty spokój mam
 Spokój - święta rzecz, dobrze jest go mieć.
 (instr.)

ref. Święty spokój mam...

ŚPIEWA IZRAEL

tradycyjne

Musical score for the song "ŚPIEWA IZRAEL". The score is written in G minor (one flat) and 4/4 time. It consists of three staves of music with lyrics underneath. Chord markings (Gm, D, Es) are placed above the notes. The lyrics are: "Śpie-wa I - zra - el swe-mu Pa-nu dziś. Śpie-wa I - zra - el swe-mu Pa-nu dziś. Śpie - wa, śpie - wa I - zra - el, śpie - wa, śpie - wa I - zra - el, śpie - wa, śpie - wa I - zra - el, śpie - wa swe-mu Pa-nu dziś."

g *D*
Śpie-wa Izrael swemu Panu dziś.
g
Śpie-wa Izrael swemu Panu dziś.
D *g*
Śpie-wa, śpie-wa Izrael, śpie-wa, śpie-wa Izrael.
Es *D* *g*
Śpie-wa, śpie-wa Izrael, śpie-wa swemu Panu dziś!



Polska pieśń bohaterska

pisze Jacek Kowalski

19/20

Na pieczęciach poznańskich książąt Przemysławów (czy raczej Przemysłów, bo tak powinno się mówić) majestat Boży złączył się z książęcym. Władcy stoją w pełnym rynsztunku, ukazują piastowskiego orła na tarczy, ponad nimi wychyla się z niebios błogosławiąca Boża prawica, a po bokach pachołkowie dmą w rogi stojąc na szczytach wież. Tak pewnie było: dźwięki rogów należały najwyraźniej do dworskiego ceremoniału. We wieżach widnieją przeźrocza pałacowej sali. Rogi brzmiały pewnie i tam, wewnątrz niej. To tam muzykowano, tam wnikała w kamienie opowieść o przodkach i heroicznym czynach, które uobecniał głos pieśniarza. Pieśń i pałac - „malowany dwór”, jak go później nazwie ludowa piosenka, czy „kamienna sala”, jak go już wcześniej nazwała francuska epopeja - wzajemnie udzielały sobie splendoru. Urastały do kosmicznej potęgi, przynajmniej w odczuciu uczujących na sali.

Jednakże takie wielkie, prostokątne, kamienne sale były w Polsce rzadkimi tworamami „z innego świata”, które z początku naznaczały tylko najważniejsze stolice kraju: Gniezno, Ostrów Lednicki, Kraków, Poznań, Giecz, Płock, Wrocław, Łęczyca, Wiślica - i stolice zdobyte: Przemysł. Czas płynął, a ilość murowanych pałaców rosła. Wrocławski Henryk Brodaty wybudował sobie w Legnicy siedzibę najpotężniejszą w Polsce i jedną z największych w środkowej Europie, długą na sześćdziesiąt metrów, postawioną pomiędzy dwiema potężnymi wieżami, tuż obok kaplicy wykwintnie ozdobionej przez rzeźbiarzy przybyłych z Bambergu. Do głównego wnętrza owego palatium prowadziły dwa portale otwierające się na drugim piętrze. Wielka sala miała potężny kominek i sześć metrów wysokości; nakrywał ją strop albo otwarta wieżba dachu, podobnie jak wszystkie nasze ówczesne świątynie; muzyka brzmiała w niej na pewno nie gorzej niż w kościele. Niemal w takim samym palatium urządził się w Poznaniu książę Przemysław. Gdzieś tam - przy tronie? naprzeciwko tronu? przy wejściu? - stali wesołkowie, muzycy i śpiewacy.

Śpiewali ballady i pieśni bohaterskie o najzjazdach, wojnach, triumfach i tragediach; na przykład o tym, jak książę poznański kazał zamordować swoją żonę, księżnę Ludgardę, która przed śmiercią błagała go, żeby ją choć w jednej koszuli puścił do domu. Jej „lament” śpiewano jeszcze po stu pięćdziesięciu latach, za czasów Długosza. Ryby uduszone z nadmiaru krwi, która spłynęła do rzeki i nieprzeliczone stosy trupów pod Zawichostem wzięły się w tegoż dziejopisa pewnie nie z żadnych pisemnych źródeł, ale właśnie z zasłyszanej starej pieśni bohaterskiej. To on zresztą zanotował, że zwycięstwo Polaków nad Rusinami:

było tak głośne i słynne, że u sąsiednich narodów sławiono je, często o nim mówiąc. Polacy, którym ono przypadło i których sława wyniosła dzięki bogactwom i zaszczytom, opiewali je i jego przebieg w różnych

pieśniach, które po dziś dzień słyszymy śpiewane dźwięcznymi głosami na widowiskach.

Na dworze księcia bawiono się po słowiańsku, ale dwór był po części także i uczony i wymagał czasem bardziej uczonej, dostojnej rozrywki. Zazwyczaj na sali książęcej słowiańskie „głosy powszechnej uciechy wzbijają się aż pod niebo”, ale i tam, zamiast uczestniczyć w uciechach, książę Kazimierz Sprawiedliwy, „ta osobliwa gwiazda ojczyzny... zadawał pewne pytania biskupom o zbawienie duszy”. A kiedy „na ziemię się osunął i ducha wyzował”, usłyszeliśmy - może właśnie na tej samej, książęcej sali - uczone pieśni, w których Żal, Radość, Roztropność, Sprawiedliwość i Proporcja prowadziły przejmującą, dialogowaną dysputę, którą błogosławiony Wincenty Kadłubek zapisał w czwartej księdze swojej „Kroniki Polskiej”. Bo to bardzo prawdopodobne, że wierszowane fragmenty kronik Kadłubka i Galla były uczenie śpiewane - tak się przypuszcza, choć potwierdzili to na razie tylko Ewa Demarczyk i Czesław Niemen...



POMOGŁA MI SIŁA WYŻSZA,

α potwierdził to kolega Budziaszek

Janusz Muniak

świadcetwo

Po raz pierwszy zakosztowałem tego „szczęścia” na kolonii letniej, kiedy miałem około 13 lat. Siedzieliśmy w grupie nad strumieniem i ktoś starszy, kto wykombinował alkohol ze sklepu GS-u, zaproponował, żeby z nim wypić. Pamiętam tę karuzelę w głowie, uczucie dziwności: „ale wiruje!”. Trochę było mi niedobrze, ale trzymałem fason. Był to jednak epizod.

Prawdziwy początek uzależnienia wiąże się z moimi pasjami muzycznymi. Dość wcześnie zacząłem się interesować jazzem, który pod koniec lat 50. wciąż pozostawał w katakumbach – granie go wiązało się z postawą buntowniczą wobec narzucanej odgórnie kultury socrealistycznej. Kiedy zacząłem pojawiać się w klubach jazzowych, okazało się, że nie stroni się tam od alkoholu. Ludzie dodawali sobie animuszu. Inna rzecz, że w tamtych czasach alkohol urzędował niemal wszędzie. Musiały być jednak we mnie pewne inklinacje do picia, co jest o tyle dziwne, że w mojej rodzinie zupełnie nie używano się alkoholu.

Mojemu uzależnieniu sprzyjało także to, że dość wcześnie wyrwałem się spod opieki rodziców. Mój ojciec wskutek medycznego zaniedbania przez czternaście lat był przykuty do łóżka. Mama co prawda pracowała, ale dobrze było, kiedy mogłem na siebie zarobić. Uniezależniałem się finansowo i coraz trudniej było upilnować małego Januszka. A ponieważ granie jazzu dość powszechnie towarzyszył alkohol, więc szybko się przyzwyczaiłem. Panowało wtedy tragicznie niemądre przeświadczenie, że jazz wymaga tego, żeby się „rozluźnić”, że rausz to tyle co jazzowy feeling. Dziś już wiem, że tego, kto nie potrafi sobie poradzić bez używek, prędzej czy później spotka tragedia. Tylko że ta świadomość przychodzi za późno. W konsekwencji już na początku lat 60. byłem dobrze zaawansowany w nałogu.

Wielu ludzi mówi, że alkohol pod jakimś względem bywa dobrem. To nieprawda – ten, kto twierdzi, że mu to pomaga, popełnia błąd w rozumieniu siebie. To jest doraźne znieczulenie polegające na uspianiu pewnej czujności. Wtedy rośnie odwaga, która jednak na dłuższą metę okazuje się samobójcza. Co się dzieje z pijanym kierowcą? On jedzie brawurowo, tylko krócej...



zdjęcie z archiwum RŁaH

Często powtarzaną brednią jest przekonanie, że używki sprzyjają rozwojowi sztuki, że po alkoholu czy narkotykach w człowieku wyzwala się jakiś szczególnie artystyczny zmysł. Nie przeczę, że tak się zdarza, bo można dać przykłady bardzo wybitnych ludzi, którzy tak właśnie tworzyli. Ale czy któryś z tych wielkich powiedział kiedykolwiek, że nałóg mu rzeczywiście pomaga? Miles Davis, który sam borykał się z alkoholem i narkotykami, mówił swoim uczniom: jak chcecie grać, nie waście się zaczynać z używkami. Właśnie ci ludzie, którzy sami byli dotknięci uzależnieniem, dobrze to wiedzą. Podziwiamy tych genialnych twórców, którzy tkwili w rozmaitych nałogach, ale nie wiemy o tym, ile stracili za sprawą alkoholu czy narkotyków.

Alkohol sprzyja nawiązywaniu kontaktów, wzmaga wesołość i towarzyskość. Ale tylko w pewnych dawkach, bo ten, kto porządnie się napije, robi się agresywny i szuka zaczepki. Problem polega na tym, iż wbrew temu, co mówi się w telewizji, że jesteśmy tacy radośni, weseli i w ogóle „naj” – ludzie są po prostu smutni. Ja sam pod wpływem alkoholu stawałem się duszą towarzystwa, przychodziły mi do głowy różne wariackie pomysły i dowcipy, których na trzeźwo bym nie wymyślił, ale byłem jakby wesoły ze smutku, z bezbronności, żeby nie dać się zwariować... Uciekając w sztuczne rozbowienie, szybko gubiłem miarę w pić. Nie oznacza to jednak, że musi to spotkać każdego. Mam takie przekorne powiedzonko – ten, kto nie pije, może pić. Kiedyś w programie „Wódka, pozwól żyć” ujął to jeszcze ostrzej mój kolega Tomasz Stańko, który powiedział: „Alkohol? To jest piękna sprawa...” Bo przecież to jest również dar Boży – taki paperek lakmusowy Pana Boga, który chce zobaczyć, jak człowiek sobie z nim poradzi.

Po kilkunastu latach picia zaczęło mi być coraz ciężej. Dotychczasowe dawki okazywały się niewystarczające, coraz krócej trwały to doraźne znieczulenie. Zaczęły zdarzać się jakieś niemiłe przypadki: pierwsze objawy zapomnienia (najpierw wylatywały z głowy fragmenty, potem większe całości). Przyszła chwila, że byłem rozszedrgany nerwowo, niezdolny do grania. W pewnym momencie, a było to w połowie lat 70., postanowiłem z tym skończyć. Mieszkałem wtedy w Warszawie. Po miesiącu abstynencji pomyślałem, że jednak radzę sobie i w życiu, i w pracy, chociaż troszeczkę jest nie za wesoło... Ale można. Po trzech miesiącach pomyślałem, że jestem gościem i przyszła mi do głowy taka myśl: czy taki gość, który nie potrzebuje alkoholu, to on tak w ogóle – ani lyczka, ani kropelki? Przecież taki gość, którego nie ciągnie w ogóle do alkoholu, może swobodnie wypić lampkę wina. Środowiskowym miejscem spotkań była wtedy piwnica u Wandy Warskiej, gdzie przesiadywałem ze śp. Andrzejem Trzaskowskim i towarzystwem... Wandzia wiedziała już, że zrobiłem stop, ale po tych swoich rozmyśleniach podszedłem do baru i mówię: „Wandeczko, poproszę lampkę wina”. „Tak, Jasieńku... Na pewno się nie zapomniałeś?” – pyta. „Nie – odpowiadam – w ogóle mnie nie ciągnie, ale wiesz, jedną lampkę uważam, że każdy może wypić”. A Wandzia: „A jaką chcesz: małą czy dużą?” Jakoś samo mi się powiedziało, że dużą. Wypitem tę szklankę wina i zastanawiam się: ciągnie mnie czy nie ciągnie? No, w ogóle mnie nie ciągnie. Skoro tak, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby taki gość, który nie pije, wypił sobie dwie lampki wina. Zamówiłem więc drugą lampkę i w tym momencie zadziałał diabelski impuls i było już po przerwie.

Potem z Warszawy przenieśliśmy się z powrotem do Krakowa. Następny etap okazał się jeszcze trudniejszy, bo w miarę upływu lat może już być tylko coraz gorzej. W moim życiu, w domu, w małżeństwie działało się bardzo źle. Najfatalniejsze w przypadku picia jest to, że człowiek uzależniony po prostu nie dostrzega cierpienia drugiego człowieka. On odbiera na zupełnie innych falach i jest przeważnie sam ze swoim wiecznym pragnieniem, choć bardzo potrzebuje innych – rodziny, przyjaciół – bo największą dla niego udręką jest zupełna samotność. Alkohol sprawia, że człowiek łatwo popada w skrajności – albo jest zły na otoczenie, bo z chęcią by się z niego w pewnym momencie wyrwał (dzwoneczek w głowie już dzwoni), a tu – to musi, tamto musi, albo też staje się zanadto wylewny, nienaturalny, nadmiernie przyjazny. Dopóki alkohol służył mi tylko do przezycięcia smutku, nie było tak źle, ale kiedy zaczął stawać się lekarstwem na problemy, to była już zupełna klęska. Sęk w tym, że człowiek słyszy głosy mądrych ludzi, ale jak dziecko, dopóki się nie poparzy, na nic nie zważa.

Pod koniec lat 70. po raz kolejny postanowiłem skończyć z pić, ale wytrzymałem już tylko 2 tygodnie. Pamiętałem o tych poprzednich 3 miesiącach i znów pomyślałem sobie: „Dobrze, nie będę pił, ale czy tak ma być już do końca? No jak to? Nie wyobrażam sobie tego. Ale jeśli nie do końca, to po co ja się męczę? Po co ja się oszukuję?” I znów pierwszy bał i było po wszystkim.

Przełomowy okazał się dzień 13 stycznia 1986. Dokładnie pamiętam tę datę. To była jedna sekunda... Wracałem z jakiejś trasy koncertowej pociągiem i nagle w jednym błysku wyobraziłem sobie potężną górę zła i szkód związanych z pić. Poczulem, że wszystko to zostało tam za mną, a ja wraz z moim pociągiem oddalałem się od tej góry. W przypadku wcześniejszych przerw zawsze zostawiałem sobie gdzieś na odległym horyzoncie takie światełko – mały kieliszek. A w tym momencie zorientowałem się, że go już nie ma, że zniknął i pomyślałem sobie – choćbym żył jeszcze dwa dni, tydzień, miesiąc, będzie to sukces. Przyjechałem do domu. Żona popatrzyła na mnie, nie mogąc ukryć niezadowolenia, ale jak zwykle była wyrozumiała i gotowa przyjąć kolejne kłamstwa: że to ostatni raz, że nigdy... Ale ja stanąłem przed nią: „Haniu, mam to już za sobą”. Oświadczyłem to normalnie, nic nie obiecując, nie wpadając w euforię. Coś w tym musiało być, bo żona po raz pierwszy w życiu powiedziała: „To dzięki Bogu”. Od tamtego czasu do dziś mam już spokój.

W tym doświadczeniu nie było nic euforycznego czy mistycznego, ale czułem wyraźnie, że otrzymałem dar od Boga, bo mnie to nic nie kosztowało. O ile wcześniej miotalem się, a wysiłek walki z sobą to ogromna męka, o tyle teraz przyszło to zupełnie bezboleśnie. Tego momentu nie poprzedziła bezpośrednio taka udręka, zmaganie ze sobą. Dlatego był tak wyjątkowy. Nie pojawiły się też wtedy żadne nowe argumenty, które miałyby mnie utwierdzić w postanowieniu, by zerwać z alkoholem – wiedziałem tyle samo co wcześniej. Z drugiej strony jednak niemal fizycznie poczułem, że się unoszę. Jakby mi zdjęto z ramion jakiś makabryczny ciężar. Co ciekawe, zdrowieniu nie towarzyszyły żadne uboczne dolegliwości – większość teoretyków przestrzega, że w momencie odstawienia alkoholu cały organizm zaczyna się buntować, pojawiają się rozmaite choroby... Ja nie takiego nie odczułem. Mało tego, nie przeżyłem nawet ostatniego kaca, który mi się przecież należał.

Po paru dniach spotkałem na krakowskim Rynku mojego przyjaciela – Jana Budziaszka. Swego czasu on także miał spore „osiągnięcia” alkoholowe, ale dzięki wspólnocie u o. Dominikanów wyszedł z nałogu. Mówi do mnie: „Cześć, Janeczku. Muszę ci coś powiedzieć, ale możesz to źle odebrać. Może się nawet na mnie pogniewasz, ale coś mi kazalo tak właśnie zrobić. Wiesz, mieliśmy spotkanie naszej wspólnoty, w sumie było nas kilkaset osób. Poczulem nagle impuls i zawolałem: A wście co, ludzie kochani? Pomódlmy się chwileczkę, żeby Janek Muniak przestał pić”. Zamurowało mnie. Powiedziałem mu wtedy, że właśnie kilka dni temu przestałem pić. Dopytałem go o szczegóły i jestem pewien, że ta modlitwa nastąpiła dokładnie w tym momencie, kiedy jechałem pociągiem. Wynika z tego, że decyzja, którą podjąłem, nie była wyłącznie moja własna – najwidoczniej zapadła wyżej. Szczerze czuję, że pomogła mi Siła Wyższa. A że potwierdził to kolega Budziaszek, więc nie wypada mi nic innego, tylko w to wierzyć. Od tego czasu nie mam już zupełnie żadnych pokus. Owszem, przychodzi do głowy myśl o alkoholu, ale jest już odsuwana jakby w załżku. I nic mnie to nie kosztuje. Pytam tylko siebie: „Aha, tu przede mną stoi butelka. Czy ja tego chcę? Nie”. Jestem pewien, że mógłbym wypić toast i nie spowodowałoby to nawrotu, ale z drugiej strony jestem tak obrażony na ten plyn, że go po prostu nie tknę.

Życzę wszystkim obarczonym, żeby doznali takiego momentu ośnienia, ale temu trzeba pomóc. Mówi się o silnej woli, ale z mojego doświadczenia wynika, że właśnie nie należy się zmagać, bo tu nie ma bohaterów. Trzeba skończyć z tym ciężkim problemem. Porównuję zerwanie z nałogiem do gaszenia światła. Człowiek zarzeka się, że nie będzie już pił, ale to światełko ciągle się tli. Tymczasem każdy ma dostęp do wyłącznika i należy po prostu zgasić to światełko. To, że nie jest tak wesoło jak dawniej, wcale nie jest ważne. Wszelkie przyjemności związane z pić alkoholu przestały być dla mnie atrakcyjne. Jedyne, co mi pozostaje, to dziękować Panu Bogu i odczuwać to permanentnie.

JANUSZ MUNIAK, ur. 1941 w Krakowie, saksofonista jazzowy, niegdyś członek zespołów Andrzeja Trzaskowskiego (m.in. płyty: „Andrzej Trzaskowski Quintet” i „Andrzej Trzaskowski Sextet”), Tomasza Stańki (m.in. płyty: „Music for K.” oraz „Jazz Message from Poland”) i solista Studio Jazzowego Polskiego Radia prowadzonego przez Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego. Od połowy lat 70. jest liderem własnych zespołów, przez które przewinęli się najzdolniejsi muzycy młodszego pokolenia (m.in. płyty: „Not So Fast”, „One and Four”). Prowadzi w Krakowie klub jazzowy „U Muniaka”, gdzie regularnie koncertuje.

Text ukazał się pierwotnie w majowym numerze miesięcznika „Znak” 5/2002 (564) poświęconym w całości uzależnieniom.

Leaf



Nie chcemy być jakimś Don Kichotem

z Tomkiem Bednarkiem z grupy Leaf rozmawia Andrzej Bujnowski OP

AB: Skąd u Ciebie zainteresowanie rockiem gitarowym, właśnie takim, jaki gracie?

TB: Zainteresowanie muzyką gitarową wzięto się na początku ze słuchania radia. Pamiętam, jak w niedzielę wstawałem około czwartej nad ranem, potem szło się do kościoła... Słuchałem „Metalowych tortur”, to była kiedyś jedyna mocniejsza audycja w radio, no i trochę „Rozgłośni harcerskiej”. Pierwszą polską gitarę kupiła mi kiedyś moja mama. Mocno ją wybrałem, potem odpracowałem... Na początku słuchałem zespołów punkowych, takich jak Dead Kennedys, The Exploited itd. Byłem wtedy bardzo młody, nosiłem wojskowe buty. Potem muzyka ewoluowała w zupełnie inną stronę: Metallica, Iron Maiden etc. Byłem zaskoczony, że ktoś może zagrać takie solówki na gitarze, jakie słyszałem u tych wykonawców. Stamtąd bardzo krótka droga do korzeni muzyki rockowej, do Led Zeppelin, Black Sabbath itd, skąd może nie czerpałem inspiracji, aczkolwiek jest to muzyka, na bazie której zbudowane są wszelkie rockowe rify. Natomiast później największą „rewolucję” sprawił w moim muzycznym życiu ruch „grunge” – zespoły takie jak Nirvana, Soundgarden, Pearl Jam, Smashing Pumpkins itp. To one wywróciły całe moje myślenie o muzyce do góry nogami.

W końcu sam zacząłeś grać w zespole...

Od początku chciałem robić muzykę, która będzie oryginalna. Z moim pierwszym profesjonalnym zespołem o dumnej nazwie „Rainforest” graliśmy muzykę rockową z dodatkiem brzmienia fletu, natomiast później, po pięciu latach naszej wspólnej przygody, kiedy Rainforest się skończyło, moje gusta zupełnie się zmieniły, zacząłem fascynować się muzyką, której korzenie tkwią na wyspach brytyjskich. Mnóstwo emocji a technika ograniczona do minimum. Te emocje płyną z instrumentów, z całej muzyki... Zainteresowały mnie zespoły - Radiohead, Coldplay, Placebo, angielska „zimna fala”, bardziej szorstka, rockowa, „alternatywna” niż popowa, z muzyką raczej hafaśliwą niż „ładną”.

I tej muzyki wciąż słuchasz?

Bardzo lubię tę muzykę, choć muszę przyznać, że w domu częściej słucham jazzu niż mocnego grania (mam półrocznego synka, więc wiadomo, o co chodzi). Z grup rockowych - na pewno Radiohead, Coldplay, Mogwai, kapitalne Placebo! Podobają mi się rzeczy, które są bardzo emocjonalne, gdzie muzyka jest jakby tłem, chociaż bardzo ciekawym i dobrze dobranym do przekazu emocji.

Stuchasz brit popu, grup Blur lub Oasis?

Tego może trochę mniej, bo mniej czuję tę muzykę. Wolę raczej – bardziej alternatywną muzykę adresowaną nie tyle do grupy „docelowej” na rynku muzycznym, co do ludzi, którzy po prostu robią to, co czują.

Wspomniałeś o grupie Rainforest, która istniała już chyba dziesięć lat temu...

Powstałiśmy w dziewięćdziesiątym... oj, już nie pamiętam, w którym.

Czy ten zespół też ty założyłeś?

Nie, nie! To był wspólny projekt kilku bliskich sobie klimatami i poglądami na życie osób. Chcieliśmy robić muzykę z czymś więcej niż tylko z „przekazem”. Na początku w zasadzie za bardzo nie umieliśmy grać. Byliśmy wtedy „wolni”, to znaczy – nie musieliśmy pracować, więc dużo ćwiczyliśmy, no i tak powstał zespół. Efektem tych spotkań było mnóstwo koncertów. Przez pięć lat „zaliczyliśmy” sporo tras koncertowych tutaj, w Polsce, i za granicą. Wydałiśmy płytę w Niemczech, Holandii, Belgii, graliśmy koncerty w Jugosławii, w różnych ciekawych miejscach.

Wasze częste granie to zasługa managera zespołu, czy też zapraszało was tak wiele środowisk, klubów?

Na pewno jedno i drugie. Mieliśmy bardzo dobrego managera, Sebastiana Pawłowskiego, byliśmy razem jakby jednym organizmem. My graliśmy, on załatwiał koncerty. Uważam, że muzyka też bardzo dobrze się bronila. Wystaliśmy na przykład kasętę z pierwszym naszym demo na Festiwal „Flevo” w Holandii. Dostaliśmy list, zaprosili nas i graliśmy przed bardzo dużą publicznością na jednym z najbardziej prestiżowych festiwali w Europie.

Już w Rainforest teksty piosenek miały quasi-religijny charakter?

„Quasi-religijny” to dobre określenie. Teksty w Rainforest i w Leafie są mojego pióra. Jeżeli chodzi o stylistykę wyrazu, to najbardziej odpowiadają mi teksty Kasi Nosowskiej czy Wojtka Waglewskiego. Teksty, które mają poetycki charakter, nie „kładą prosto do głowy”, ale mają „klimat”, nad którym trzeba się chwilę zatrzymać.

Chciałbym, żeby teksty na naszej płycie, którą mamy zamiar wkrótce nagrywać, były właśnie takie. Nie chcę mówić o wartościach religijnych wprost, myślę jednak, że każdy, kto choć trochę zetknął się z Bogiem, będzie czuł, o co chodzi. I może głębiej je zrozumie.

A skąd się wzięła angielska nazwa Leaf, która oznacza płatek śniegu? ...liść?

Liść, liść! Skąd? W zasadzie nie wiem. Dzisiaj chyba nie nazwałbym zespołu – Leaf, bo nikt nie umie tego czytać. Pisze się Leaf, a ludzie używają różnych nazw – Life, Lyw, Lew itd.

Czy nazwa ta ma jakieś szczególne znaczenie dla Waszego zespołu?

Trochę tak. Kiedyś było – „Rainforest”, co po angielsku znaczy – „deszczowy las”. Projekt Leaf powstał już dawno, ale w tej formie, z perkusistą Adamem Zapałem, który grał również w Rainforest, wyklarował się w lutym tego roku. Leaf jest jakby „częścią lasu”, częścią czegoś co było – czyli liściem. No i taka analogia...

Grupie Rainforest charakterystyczne brzmienie nadawał flet. Czy w Leaf chcesz powtórzyć ten „pomysł”?

Nie, na pewno nie! Leaf to zupełnie inna muzyka! W Rainforest była ostra, mocna jazda. Leaf jest bardziej łagodny, „przyjazny ludziom”. W Rainforest graliśmy utwory, można powiedzieć – „polifoniczne”. Nie były one piosenkami, które można byłoby zagrać na gitarze akustycznej. W Leaf są to piosenki!

Kto aktualnie tworzy zespół?

Obecny skład zespołu Leaf jest na pewno stały, można powiedzieć, że w tej chwili jesteśmy ze sobą zgrani i zyci. Mamy wspólną wizję grania. O perkusistacie już wspominałem: Adam Zapał, gitarzysta – Piotr Trojanowski, grał wcześniej w kilku mniejszych i większych formacjach, jest bardzo doświadczonym muzykiem. Basista – Przemek Mrozek, także grał już w różnych zespołach, między innymi w Obsession. Dla każdego z nich Leaf jest pewnym priorytetem w życiu.

Czy wszyscy w zespole czują potrzebę grania muzyki z dobrym przestaniem?

Myślę, że tak. Leaf jest zespołem, który ma ludziom coś do przekazania, więcej niż tylko muzykę. Chcielibyśmy powiedzieć o tym, że tak jak wyrażam to w jednym z tekstów – „jest jeszcze kilka takich miejsc, które warto zobaczyć razem”; że jest w życiu nadzieja, którą jest Bóg. On jest Kimś naprawdę realnym, potrafiącym niesamowicie zmienić życie, zmienić rzeczywistość.

Czy mówienie o tym jest głównym sensem istnienia zespołu?

Na pewno motorem jest dla nas to, że chcemy przekazać ludziom dobre wartości. Dla mnie i chłopaków granie to jednak przede wszystkim fajne

spędzanie czasu, bo każdy z nas ma też inne, ważne zajęcia. Mamy żony, dzieci i granie nie jest naszym źródłem utrzymania. Jesteśmy profesjonalnymi muzykami i chcemy, żeby nasza muzyka miała wysoki poziom. Traktujemy ją jednak jak zabawę. Nie chcemy być „zespołem-krucjata”, jakimś Don Kichotem... Cieszymy się, gdy ktoś przyjdzie na koncert i wyjdzie z niego ze światłokiem, z jakimś nowym, ciekawym uczuciem w środku, z nowym spokojem, i będzie szukał Prawdy w życiu.

Gdzie najczęściej gracie? We Wrocławiu, waszym rodzinnym mieście?

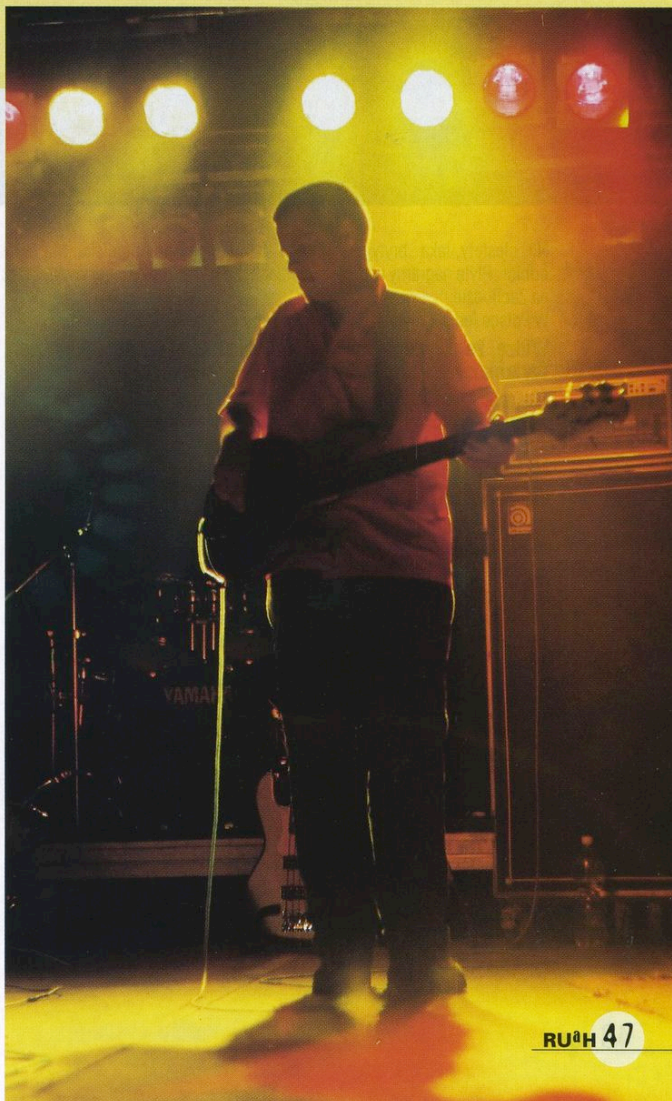
Nie. Gramy wiele koncertów w całej Polsce. W tym roku byliśmy gośćmi na prawie wszystkich ważniejszych chrześcijańskich festiwalach, najbardziej interesuje nas jednak granie w klubach. Tam, gdzie są ludzie, nastrój, fajna atmosfera, później można porozmawiać. We Wrocławiu gramy, ale nie często, ostatnio graliśmy w listopadzie z grupą Frühstück w jednym ze studenckich klubów... Nasze koncerty i informacje o nas można znaleźć na stronie internetowej www.leaf.art.pl

Jaki jest odbiór waszej muzyki? Macie jakąś stałą grupę fanów, którą spotykacie na koncertach?

Myślę, że tak, chociaż nie wiem, jak to jest... Jesteśmy zespołem, który ludzie odbierają bardzo sympatycznie. My bardzo dobrze bawimy się na scenie. Jakikolwiek stres jest wyeliminowany do zera (przynajmniej tak byśmy chcieli). Po prostu bardzo cieszymy się tym, że możemy grać, że jesteśmy razem, że możemy dać coś ludziom, i myślę, że ludzie to czują. Widzę, że się uśmiechają, że fajnie się bawią. To jest to, dla czego warto grać, to się dla nas liczy.

Myślę, że ludzie czekają szczególnie na wasze... polskie teksty.

70% naszych tekstów już jest w języku polskim. Wszystkie teksty angielskie kwituję pytaniem na koncercie: „rozumiecie coś?”, ludzie mówią – „nie”, wtedy mówię „ja też nie”, i dlatego wszystkie teksty będą teraz po polsku.





No, niestety, taka „brytyjska muzyka” fajnie brzmi po angielsku. Ma fajny odbiór. Płytę nagramy w dwóch wersjach, bo są możliwości jej wydania też na Zachodzie.

W Polsce jednak płyta będzie w całości po polsku.

Widzę, że „wydeptaliście sobie jakieś ścieżki” na Zachodzie... Czy to ma związek z Festiwałem „Flevo” w Holandii?

Niekoniecznie... Tam graliśmy jeden koncert. Bardzo dobrze nas przyjęto i zapamiętano, mamy natomiast przyjaciół w Niemczech, którzy dobrze wspominają Rainforest, i którym podoba się to, co robi w tej chwili Leaf. Muzyka, jaką gramy obecnie, jest dość popularna w Europie.

Jak powstają twoje piosenki?

Trudno powiedzieć. Jest coś takiego, że człowieka czasem „nosi”. Bywa, że nagle napiszę tekst i do tego melodię, i to jest dokładnie „to”. Poświęcam się temu przez kilka minut i wszystko się zgadza. To jest coś, co ludzie nazywają wena, natchnieniem. Innym razem można siedzieć godzinami i nic... Czasami warto mieć przy sobie kartkę, długopis czy gitarę, po prostu tyle. W zasadzie wszystkie moje piosenki tak powstały. Aranżowaliśmy je natomiast wspólnie z zespołem. Co cztery głowy, to nie jedna.

Skąd właściwie u ciebie inspiracja wiarą?

Mam już kilka lat na karku, trochę rzeczy w życiu przeżyłem. Widzę, że wiara jest naprawdę ogromną wartością w życiu człowieka. Nie wiem, gdzie byłbym dzisiaj, gdyby nie to, że pewnego dnia dotknął mnie Pan Bóg. Że dotknął mnie sam. Jestem i będę Mu do końca życia za to wdzięczny. Wiem, że mógłbym źle skończyć, a dziś mam naprawdę fajne życie i jestem szczęśliwy. Wszystkie obietnice, jakie Bóg zapisał w Biblii, są dla mnie realne, doświadczam tego i przy tym jestem normalnym człowiekiem.

Kiedy poczułeś to „dotknięcie” Boga?

To był proces... Zaczęło się od Spotkania Taize w Wrocławiu, stałem sobie zupełnie sam, gdzieś tam z tyłu, i nagle poczułem Bożą obecność, czułem, że wystarczyło wyciągnąć rękę...To przyszło zupełnie samo i odcisnęło

mocną pieczęć na moim życiu. Zacząłem szukać, czytać Biblię itd. Dzisiaj mam więcej wspólnego z Bogiem niż dziesięć lat temu i to mnie bardzo cieszy. Nie wyobrażam sobie życia bez Boga, a właściwie mogę powiedzieć, że to On jest moim życiem.

Słyszałem, że nie tylko grasz i śpiewasz, prowadzisz nie tylko firmę reklamową, ale pewną działalność społeczną...

Uczestniczę w ciekawym projekcie kontaktu „jeden na jeden” Fundacji „Youth for Christ” we Wrocławiu. Działa ona w „Trójkącie Bermudzkim”, czyli w najtrudniejszym rejonie miasta. Patologiczne rodziny, bieda i alkohol... Jestem opiekunem jednego z chłopaków z tej dzielnicy. Więcej wspólnego ma z tym moja żona, która pracuje tam na etat.

Na czym konkretnie polega ta resocjalizacja?

Spotykam się raz w tygodniu z tym chłopakiem-podopiecznym i mogę porozmawiać z nim o wielu rzeczach... Uczę go jeździć samochodem, pokazuję mu rzeczy, których on nie widzi na swoim szarym podwórku. Są tam zwykle tylko koledzy, którzy stają się podobni do swoich ojców, piją alkohol, biorą narkotyki i nie zdają sobie sprawy, że już niedługo będą takimi, brzydko powiem, żułami, z których dzisiaj sami się śmieją. Pokazuję mojemu koledze, że ja byłem kiedyś taki sam, a dzisiaj jestem normalnym człowiekiem, potrafię osiągnąć wiele rzeczy. I to jest coś, co daje takim ludziom, jak on, nadzieję na wyjście z „tunelu”, w jakim siedzą.

Na koniec powiedz coś o planowanej płycie.

Mamy plan, żeby do studia wejść w lutym 2003. Prawdopodobnie będziemy to robili z firmą i wydawnictwem MIX, która ma za sobą takie produkcje, jak TGD, Mate.O czy Nora Niemen. Chcemy, żeby płyta ukazała się na wiosnę przyszłego roku, około maja. Wcześniej planujemy wydać singiel promujący płytę. No i grać dużo koncertów.

Życzę twórczej pracy nad nią i udanej produkcji!

/zdjęcia z archiwum zespołu/

Byłem na koncercie Pneumy. Tak zwanym przypadkiem. Zespół grał na festynie w Rudzie Śląskiej-Wirku, a że moja żona, Dorota, ma tam rodzinę, pojechałem. Nie spodziewałem się wprawdzie atmosfery Metalmanii czy Woodstocku, ale to, co zobaczyłem, sprawiło, że włos zjeżył mi się na głowie.

Leniwe, ponure letnie popołudnie. Atmosfera festynu. Są jakieś kiełbaski i baloniki, ale giną na ogromnym, szarym targowym placu. Na środku scena. Przed nią kilkanaście ławek, na których zasiada... dwadzieścia, trzydzieści osób. Większość to staruszki z wnuczkami, które znużone ziewają i rozglądają się dokoła. I - dla pełnego szczęścia - ksiądz prowadzący całość ze sceny (dlaczego polscy kapłani muszą tańczyć, budować, rozśmieszać, śpiewać, dyrygować i opowiadać kawały?). *A teraz moi kochani, aby nam było weselej, zawołamy na trzy-cztery głośno: Ha, ha, ha.* I słychać nieśmiały chórek staruszek i maluchów: *Ha, ha, ha.* A teraz głośniej! Schowałem twarz w dłoniach... Za chwilę ma zagrać Pneuma. Przyjechała podobno jedynie za zwrot kosztów. Z Gdańska, czyli z końca świata. Czy nie żałują, że jechali taki kawał? Boże, dla kogo oni zagrają? Dla staruszek czy maluchów z balonikami? A może się wycofają? Co czują? Zniechęcenie, zażenowanie? A może czują się oszukani? - tysiące myśli przelatywało mi przez głowę. Przed sceną zaledwie kilka młodych osób. Na szczęście robi się ciemniej i z miasta przyplwają trochę „młodzieżówki”. Zespół wychodzi na scenę. *W takich warunkach na pewno odwalą kaszanę* - myślę. I jak zwykle się myślę.

reżkami w samym środku „młyna”, dał mi obraz: malutkie dziecko tańczyło przed Bożym ołtarzem. Boże, dziękuję Ci, że doczekałem takich czasów, że mogę Cię wielbić przez potężne gitarowe riffy i muzykę, której całe życie słuchałem. Jak to napisała w ostatnim numerze „jedna z Trzech Sióstr” - Marcin: *Chwalmy Pana ciężkim riffem.*

Koncert Pneumy: ludzka słabość i moc Boża. Wymieszane jak w tyglu. Wokalista grupy podchodzi do mikrofonu: *Jesteśmy słabi i mali. Ja czuję się grzeszny i słaby. Jestem dziś chory, a nasz gitarzysta, Artur, niespodziewanie stracił kilka dni temu przyjaciela. Został zamordowany. Ni stąd, ni zowąd. Człowiek nie wie, jak długo będzie żył, nie wie, co czeka go za rogiem.*

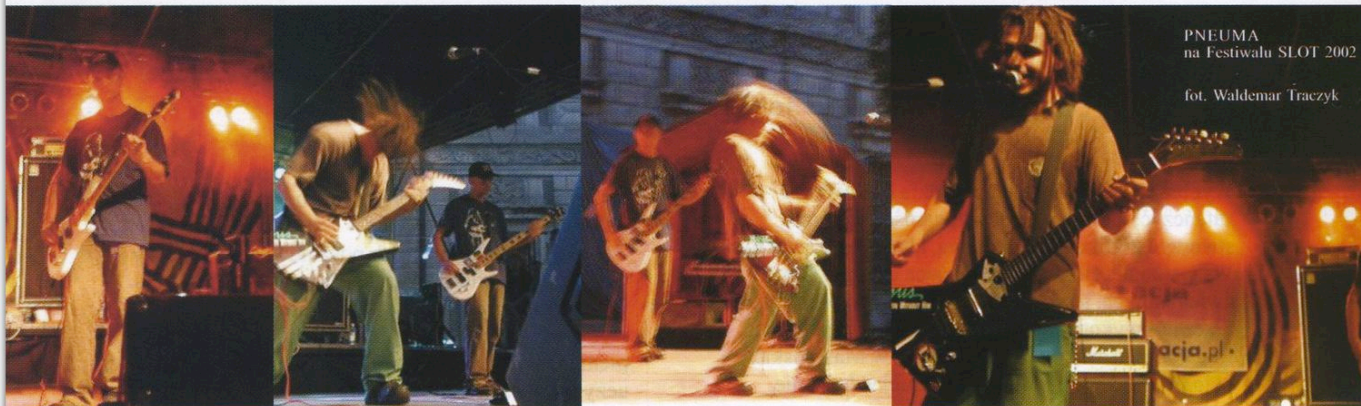
Dziękuję ci, Boże, za słabość Pneumy! Dziękuję za słabość muzyków New Life M, którzy w ostatnim RUAH przyznali się do błędów i nieprzebaczenia, które ukrywali w sercu. Byłem poruszony i wdzięczny. Bo co tak naprawdę możemy zrobić dobrze? Nic! Wszystko psujemy. Bóg daje nam tyle łask, a my marnujemy wszystkie. Pozostaje jedynie przyznanie się do słabości.

Boli mnie i to bardzo

Adam Szewczyk, gitarzysta i kompozytor zespołu Magdy Anioł, zasmucony opowiadał mi ostatnio: *Boli mnie jedna rzecz i to bardzo. Jest obszar w moim życiu, na którym poniosłem klęskę. Rozbita rodzina, wiele łez, nieprawdopodobne cierpienie... Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać. Ale też nie czuję się lepszy od złodziei, morderców, narkomanów, czy innych życiowych połamańców. A do*

Niech żyje słabość!

czyli Marcin Jakimowicz chce coś powiedzieć



PNEUMA
na Festiwalu SLOT 2002

foto. Waldemar Traczyk

Wcisnęło mnie w ławkę

Zdumiałem się. I w takim zdumieniu pozostałem aż do końca. Nawet dziś, pisząc z perspektywy kilku miesięcy, nie chce mi się uwierzyć w to, co widziałem i słyszałem. Pneuma zagrała doskonały koncert. Święty Tomasz na pytanie o to, jak czynić dobro, odpowiadał: „dobrze”. I tak właśnie było. Ściana dźwięku, oparte na Słowie teksty i... szczerze świadectwo. Żadnej ironii, schematu. A na koniec grupa... ukloniła się nisko ze słowami: *Chcemy wam podziękować za to, że nas przyjęliście.* Nie mnie oceniać pokorę muzyków, ale chcę powiedzieć jedno: widziałem już w życiu kilkaset koncertów, ale coś takiego przeżyłem po raz pierwszy. Przekonałem się do kapeli. Pierwsza płyta mnie odstraszyła, druga zafascynowała, ale po tym, co zobaczyłem, mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem: na koncercie w Rudzie chłopczy byli świadkami Jezusa ukrzyżowanego. Nie wiem, jak jest na co dzień, bo ich nie znam. Gdy Kuba, lider kapeli, poprosił pogującą (coraz liczniejszą w miarę trwania koncertu) grupę: *Podejdźcie pod scenę - mamy dla was prezent*, podeszli prawie wszyscy. Prezentem była wspólna modlitwa i błogosławieństwo. Pan Bóg znowu mnie zaskoczył. Gdy stałem spocony, ze wzniesionymi

takich przecież ludzi przyszedł Jezus! I tacy bywają wiernymi świadkami Jego wielkiej miłości. Dlatego mimo ogromnego bólu, który trwa cały czas, mogę stanąć na scenie i powiedzieć: *Jezus jest moim Panem.* A sama Magda też przecież przeżywała okres, gdy beztrojski śmiech zamarł jej na ustach. *Kilka lat temu w moim życiu pojawiły się potężne problemy i dramaty, a nad chaosem, który wdarł się w moje życie, nie potrafiłam już zapanować. Życiowe problemy, jak burza gradowa, spadały na mnie: jeden po drugim. Myślałam, że już nigdy nie wstanę. Wstałam. Zmartwych - wstałam. To Jezus podał mi rękę. Przetarłam oczy ze zdumienia. Spojrzałam wstecz. Przez dwanaście lat żyłam tak, jakby nie było żadnego Boga. Granica między dobrem a złem była rozmyta. Boże, przecież ja żyłam tak, jakbym była martwa. Ty, Panie możesz jednak wszystko, a kiedy wlałeś w me serce miłość, poczułam, że chcę Ci dziękować za wszystko: nawet za to, co boli! Im gorzej, tym lepiej - śmieje się znajomy zakonnik. Łatwiej mi pisać te słowa niż przerobić je na własnej skórze.*

Słaba Pneuma, słaby New Life M, słaby Szewczyk z Aniołem. Moc Boża się doskonali. Oby tak dalej!

Marcin Jakimowicz

Uwielbienie według Sue Rinaldi

Jak wyglądają spotkania modlitewne, na które przychodzisz co tydzień? Wydają ci się monotonne i schematyczne? A może chciałbyś zatańczyć, tylko boisz się „wygłupić”? Na ile jesteś wolny w twojej modlitwie?

Boży chaos

Wyobraź sobie takie miejsce, gdzie każdy może zatańczyć, namalować obraz, napisać wiersz, stworzyć grafikę komputerową, albo ulepić coś z gliny. Wszystko dla Boga. Takie miejsca istnieją. O tych i wielu innych, jeszcze bardziej twórczych (tak rzadko przez nas wykorzystywanych) formach uwielbienia Boga opowiadała na początku maja w Masłowski koło Częstochowy, i kilka dni później w Lublinie, Sue Rinaldi.

Pochodzi z Anglii, podróżuje, daje koncerty, prowadzi konferencje, audycje radiowe i telewizyjne na temat współczesnej kultury. Przez większą część roku posługuje na spotkaniach modlitewnych na całym świecie. Jest zaangażowana w niewielkim charyzmatycznym Kościele domowym.

To pudełko jest do rozpakowania

Gdyby zapytać, z czym kojarzy się nam uwielbienie, większość z nas odpowiedziałaby: ze spotkaniem modlitewnym. Jest w tym wiele prawdy. Niestety, to niepełny obraz uwielbienia. Ludzka skłonność do porządkowania sprawiła, że włożyliśmy je do pudełka, wyznaczając tam odpowiednią przegrodę dla Boga. Sami zaś na czas spotkania nakładamy specjalnie przygotowaną na tę okazję maskę. Dzisiaj, jak mówi Sue, nadszedł czas, aby wrócić do korzeni

uwielbienia. Wtedy dopiero zaczniemy je odkrywać.

Żeby się nie zgubić w tych poszukiwaniach, należy rozpocząć od własnego życia: naszych myśli, wyobraźni, relacji, zachowań seksualnych, wyborów moralnych, tego, co robimy z naszymi pieniędzmi, jak się uczymy i pracujemy, czy się uczymy i pracujemy, jakie oglądamy filmy i co robimy ze swoim czasem (!). Skoro wszystko może być uwielbieniem, coraz mniej chodzi tu o jakiś wybrany czas. Uwielbienie jest więc czymś więcej, niż spotkaniem modlitewnym, na którym można pośpiewać „fajne” piosenki. Tu chodzi o to, jak żyjemy, czyli co tworzymy.

Sue nazywa to środowiskiem uwielbienia.

To środowisko może się zdarzyć gdziekolwiek: na plaży, w centrum handlowym, w kościele, w klubie, w restauracji. Jest wszędzie tam, gdzie się zbieramy. „Wiele podróżowałam - mówi Sue - i zauważyłam, że ludzie, którzy wchodzą na uwielbienie, żywi i radośni, w momencie, kiedy rozpoczyna się modlitwa, stają się zupełnie inni, tak, jakby tracili swoją osobowość. To, jacy są na zewnątrz, zostawiają za drzwiami. Na czas

spotkania wkładają „spotkaniowy płaszcz”. Kiedy spotkanie się kończy, znowu stają się sobą”. Środowisko uwielbienia, to środowisko ludzi wolnych. Takie środowisko może być nieprzewidywalne (Duch Święty wieje, kędy chce). W nim ludzie mogą nauczyć się być szczerymi, spontanicznymi. Są oczywiście pewne spotkania, jak np. liturgie, w których obowiązują formy. Spotkania modlitewne stanowią czystą kartę, nie ma tu porządku, jaki panuje podczas liturgii, jest więcej wolności i więcej czasu dla Pana. W obu spotkaniach działa ten sam Duch, oba są potrzebne, ale mają różny charakter. Są to środowiska, do których każdy może przynieść siebie i swoją rzeczywistość.

Kto śpiewa, ten dwa razy się modli, tylko po co Bóg mi dał ręce?

Tym, do czego jesteśmy przyzwyczajeni podczas modlitwy, są muzyczne ekspresje. Trudno sobie wyobrazić spotkanie modlitewne bez śpiewu. Niestety, najczęściej na tym kończy się nasza twórczość. A przecież Bóg stworzył więcej tych wszystkich cudownych talentów. Dlaczego więc boimy się z nich korzystać i ograniczamy się tylko do śpiewu? W swoich podróżach Sue spotkała się z wieloma alternatywnymi sposobami uwielbienia, np. oprócz muzyków, w miejscu spotkania znajdują się wielkie białe płótna z farbami i kredkami. Dla wielu osób te miejsca są szansą, aby wyrazić swoje



uwielbienie o wiele pełniej, niż tylko przez śpiew. „Widziałam ludzi - mówi Sue - którzy na spotkanie przynosili swoje koła garncarskie. Przez ich ręce Bóg przekazywał nam proroctwa. Inną formą uwielbienia jest to, co nazywamy gezibą: wielki namiot modlitwy

osobistej, w którym są świece, papier, ołówki, wszystko, co czyni tę przestrzeń wyjątkową. Podczas uwielbienia cisza stanowi bardzo ważny element. Posługujemy się również wielkimi ekranami, na których graficy komputerowi „wyczarowują” cytaty i obrazy. Wydzielamy również przestrzeń do tańca. Cały budynek staje się jednym wielkim środowiskiem uwielbienia. Poezja, pantomima, światło, fotografia to kolejne formy. Wszyscy tworzymy to środowisko - taki Boży chaos”.

Weźmy się i zróbcie

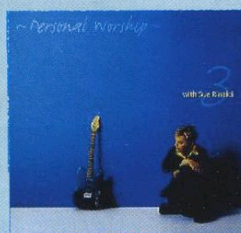
Istnieją tysiące talentów, ale z pewnych powodów nie korzystamy z nich. Jeśli myślisz, że nie ma w twojej grupie artystów - mówi Sue - spójrz jeszcze raz. Są ludzie, których może znasz od zawsze, a nigdy nie wiedziałeś, że są poetami, świetnie fotografują czy tańczą. Ci twórcy, zarówno wierzący, jak i niewierzący, nie pozwalają uzewnętrznić się swoim

talentom. Pomysły przychodzą z góry, my możemy je tylko realizować. Ich odkrycie wymaga wysiłku i pewnie dlatego wolimy pozostawić uwielbienie muzykom. Patrzymy na lidera i pytamy: „co teraz, co będzie za chwilę?” Biblia mówi, że jesteśmy częścią układanki, do której każdy z nas coś wnosi. „Za chwilę” zależy od tego, co ty przyniosłeś. Ty możesz być tym, co będzie za chwilę. To jest wspólna odpowiedzialność, która jest częścią uwielbienia. Razem tworzymy środowisko, które jest niesamowicie przyciągające dla ludzi nie mających żywej wiary. Te miejsca stają się doskonałymi miejscami do ewangelizacji. „Wiem, że może się to wydawać na początku trudne - mówi Sue. Dlatego zacznij od siebie, bo im bardziej ty się zmieniasz, tym bardziej zmieniać się będzie świat wokół ciebie: szkoły, sklepy, uniwersytety, kina. Zobaczysz przebudzenie na ulicach”. Jest jeden warunek. Trzeba wyjść ze swoich stref bezpieczeństwa na obszary nie odkryte, w miejsca, o których chciałbyś zapomnieć, bo się ich zwyczajnie boisz. Być może dopiero, kiedy z nich wyjdiesz, odkryjesz, czym jest wolność.

A potrzeba tak niewiele

Przekroczenie stref bezpieczeństwa pozwala znaleźć nowe sposoby wyrażania miłości do Boga. Życie uwielbieniem, to życie twórczo, kreatywnie. Po co to wszystko? Aby móc poznawać Tego, który nam to wszystko dał, aby móc patrzeć Jego oczami. Do nas należy znaleźć czas i przestrzeń dla Boga w naszym życiu. To komunikacja, która zachodzi w obie strony. Świat ma wiedzę o Bogu, ale nie zna Go osobiście. Czyjaś twórczość może inspirować innych do odkrycia własnej twórczości i do poznania Boga. Kreatywnie może być zarówno gotowanie, jak i zarządzanie firmą. Twórcze życie zakłada wolność. Zdaniem Sue, bardzo często nie żyjemy w wolności, ponieważ coś nas blokuje: potrzeba dopasowania do pewnych standardów, tradycji, strach przed wyśmianiem, zażenowanie, lenistwo przed podjęciem odpowiedzialności, czy strach przed popełnieniem błędu. „Zamiast analizować swoje życie - mówi Sue - odkrywaj wolność. Nie definiuj jej, bo jest większa od pudełka, do którego chcesz je włożyć”. Żyjemy w wieku wielowymiarowym i wizualnym. Informacje są przekazywane nie przez słowa, ale przez obraz, muzykę, smak. Bóg nie stworzył tak bogatego świata bez powodu. On jest wielowymiarowy, tak jak uwielbienie, do którego zaprasza każdego człowieka. Ciebie też.

Barbara Pycel



ZRANIONY PASTERZ

musical

grupy teatralnej

DROGA

przygotowała Monika Bień

Przedstawienie ukazuje materię i ducha. Widzialne i niewidzialne. Ziemię i Niebo. Dwie rzeczywistości tego samego świata, tak jak ciało i serce, nierozdzielalne części człowieka.*

Scenariusz napisany został w oparciu o książkę o. Daniela Ange'a. To historia współczesnego młodego człowieka - narkomana, buntującego się przeciwko życiu. Człowieka pozbawionego nadziei i tak bardzo potrzebnej miłości. Jest to także opowieść o Jezusie - Pasterzu, wędrującym przez miasta, ulice, w poszukiwaniu zagubionych, blakających się wśród upadków i przepaści owiec. Przedstawienie za pomocą muzyki, tańca i światła przenosi widza do świata myśli, uczuć i wewnętrznych przeżyć bohaterów. Mówi o przemianach nie tylko fizycznym, ale przede wszystkim duchowym. W słowach i piosenkach podkreśla, że nikt nie jest stracony na zawsze, że każdy jest wiele wart, że jest ważny dla Boga.

Scenariusz i teksty piosenek napisała oraz wyreżyserowała przedstawienie Helena Sperska-Abbe, muzykę skomponował Grzegorz Kopala, choreografię opracowała Roma Jakubowska.



Helena Sperska-Abbe mówi o spektaklu:

Któregoś dnia moja przyjaciółka, siostra zakonna, dała mi książkę o. Daniela Ange'a „Zraniony Pasterz” i powiedziała: rób teatr! Minęło około dwóch lat, kiedy podzieliłam się tym pomysłem z Poldkiem. Powiedziałam, że jest taka książka, która się świetnie nadaje na scenariusz. Można by także napisać piosenki i muzykę. Zapalił się do tego i ogłosiliśmy nabór do teatru ewangelizacyjnego. Zaprosiłam Alę, Agnieszkę, Dorotę, z którą jesteśmy razem we wspólnocie, i Poldka do komisji. Chodziło, o to aby sprawdzić, czy zgłaszające się osoby umieją mówić, śpiewać. Przesłuchania odbyły w kategorii wokalne i aktorskiej. Wysłałam też list do Grzesia Kopali i jego żony Julii. Julia zgodziła się zagrać Miriam. Grześ, na początku mówił, że może udałoby mu się napisać muzykę do jakiejś piosenki. On właśnie odchodził z Just5 i mówił, że chce tworzyć muzykę chrześcijańską. Wtedy nie myślałam, że to właśnie on napisze muzykę. Myślałam, że może Poldek, może Grażyna... ale Grześ zadeklarował się i powiedział, że skomponuje muzykę do całości, bo to wtedy będzie miało jednolity charakter. Bardzo dużo wniosła muzyka napisana przez niego. Jest taka poruszająca w niektórych momentach i określa charakter sztuki.

Monika Bień: Proszę powiedzieć parę słów o zespole.

Trzon grupy stanowią wokaliści: Poldek Twardowski, który gra Pasterza, Julia Kopala - Miriam i Ewa Nawrot. To są zawodowcy, którzy dyrygują chórkami, kształcą wokalnie resztę. Jest Roma Jakubowska - instruktor tańca i choreograf, wykładowca w Studium Piosenkarskim i na Akademii Fizycznej. Jest Beatka, która właśnie dostała się do Studium Piosenkarskiego. Poza tym są informatycy, ochroniarz, studenci, młodzież pracująca, licealiści i dzieci.

Jest to teatr amatorski wsparty o profesjonalistów, którzy uczą pozostałych. Co pewien czas organizujemy dla grupy warsztaty. Ostatnio mieliśmy warsztaty głównie ruchowe, a wcześniej zajęcia z pantomimy. Każdy, kto posiada jakiś talent, który można wykorzystać, dzieli się nim. Każdy ma wpływ na kształt przedstawienia. Te osoby, które - jak się wydawało na początku - nie przejawiały uzdolnień aktorskich, ale miały wielkie pragnienie ewangelizacji w takiej formie teatralnej, zrobiły bardzo duże postępy. Uczą i rozwijają się, coraz lepiej sobie radzą na scenie. Grupa bardzo się zżyła. Wynika to z pragnienia bycia razem. Zżyła się dzięki warsztatom, wspólnej grze, wyjazdom, przeżyciom. Ta praca bardzo nas łączy ze sobą, powoli stajemy się wspólnotą, rodziną, potrzebujemy się nawzajem. Tak jak w rodzinie, są zupełnie młodzi, trochę starsi i rodzice.

Pracujemy takim systemem, że robimy dublurę nie tylko głównych ról, ale też tych matych, żebyśmy w każdej chwili, gdy dostaniemy zaproszenie, mogli pojechać. Bo czasem zdarza się, że ktoś nie może jechać, bo ma szkołę, chore dziecko. To wtedy są zastępcy i w ten sposób udaje się nam wiele osób zatrudnić w wielu różniących się od siebie postaciach. Ja myślę, że ma to też charakter duchowy. Uczymy się bycia gotowym do zagrania prawie wszystkich postaci, poznajemy postacie od strony wewnętrznej.

Skąd się wzięły pomysły sznurków jako symbolu zniewolenia, strzał raniących serce, które potem zamieniały się w kwiaty?

To wynikało ze scenariusza. Myślałam na początku, że bardziej wyeksponujemy kamienie, które wrzuca się Emanuelowi do serca, by go mocno obciążały, ale wymyśliśmy także wspomniane strzały, które po uzdrowieniu przez Pasterza zamieniały się w kwiaty i przy tym już zostaliśmy.

Jaka jest wizja tego teatru? Podróżowanie? Ewangelizowanie?

Na pewno tak. W przedstawieniu pojawia się problem narkomanii. Zdecydowaliśmy się chodzić na spotkania anonimowych narkomanów

i tam dużo dowiedzieliśmy się o nich, o ich walce, cierpieniu. To nam bardzo pomogło w pracy nad tym, aby Emanuel stał się bardziej wiarygodny, prawdziwy. Myślę, że właściwie musical powinien dotrzeć do ośrodków Monaru w Polsce, do tych ludzi, którzy na pewno bardzo cierpią, a Pasterz może im pomóc. Myślę, także o więzieniach i różnych innych miejscach, gdzie ludzie potrzebują pocieszenia. Jako grupa powinniśmy rozwijać się duchowo i jako wspólnota - jednoczyć.

Musical ten to duże przedsięwzięcie. Jak poradziliście sobie z przeciwnościami? Czy grupa ma jakieś szczególne potrzeby?

Dzięki Bogu i poświęceniu wielu wspaniałych ludzi udało nam się postawić pierwsze kroki i przedstawienie zostało bardzo dobrze odebrane, a co najważniejsze, są dobre owoce w nas samych i w tych, którzy widzieli „Zranionego Pasterza”. Jednak nie da się ukryć, że potrzebne są środki finansowe, gdyż jako teatr potrzebujemy wiele sprzętu np. reflektory, które teraz są pożyczane, aparaturę, nagłaśniającą. Własnymi środkami przygotowaliśmy kostiumy i rekwizyty. Jednak zależy nam, aby docierać do ludzi, którzy nie mają ani sprzętu, ani środków (np. więzienia). Chciałabym też z czasem mieć możliwość wsparcia tych, którzy dużo wnoszą do teatru, a sami niewiele mają. Myśląc o rozwoju grupy ważne są warsztaty, które także związane są z finansami. Jednak cieszymy się z tego, co udało nam się zrobić do tej pory i wierzymy, że Pan Bóg zatroszczy się, abyśmy mogli służyć coraz lepiej.

Leopold „Poldek” Twardowski mówi o roli Pasterza:

Helenka zaproponowała, żebym zagrał Pasterza. Na początku trochę wymigiwałem się, bo nie miałem czasu, wydawało mi się, że nie będę mieć czasu chociażby na to, by nauczyć się całej roli, ale gdzieś w głębi duszy chciałem zagrać. Ta rola jest dużym wyzwaniem. Mobilizuje do stawania się lepszym. Czasami jak stoję na scenie, to mam takie myśli, że tu gram Pasterza, a w życiu nie świecę przykładem tak jak On. No i czuję czasami taki zgrzyt, wyrzut sumienia, ale i dążenie do tego, by się zmieniać na lepsze. To jest taka fajna formacja i to wymagająca.

Ten pierwszy etap Zranionego Pasterza jest bardziej dla nas niż dla ludzi. To jest nasza formacja. Jezus nas przez to przemienia. I chyba to widać. Najważniejsze, aby być autentycznym. A bez Jezusa to się nie udaje. Nie można tylko grać, bo to ma krótkie nogi, ludzie zobaczą, że ty grasz, że to nie jest prawdziwe. W tej sztuce nie da się oddzielić sceny od życia. To w nas trwa, bo zostaliśmy do tego zaproszeni.





Bardzo się cieszę, że w ramach tego teatru pojawia się muzyka i że mogę się w tym realizować, śpiewać, bo to jest to, co najlepiej potrafię robić, to mi przychodzi najłatwiej. Śpiewając jestem naprawdę sobą. Przekazuję tekst przez muzykę, piosenkę, całą swoją osobą, całym swoim talentem, głosem, tym, co mam, uczuciami, aranżacją. Nadmienię, że innym cennym owocem „Pasterza” jest też nasze comiesięczne muzyczne uwielbienie w Poznaniu. Jego trzon tworzą ludzie, którzy wywodzą się z tego teatru.

Jak widzowie odbierają przedstawienie? Oto wypowiedź Kasi:

Przedstawienie zrobiło na mnie duże wrażenie. Znając książkę D. Ange’a, wiedziałam, że podejmuje ona trudne problemy. Aby pokazać prawdę o narkomanii - nie da się uniknąć brutalności. Zniwolenie i degradacja życia człowieka uzależnionego pokazane zostały prostymi, a jednak mocnymi środkami. Cenne wydaje mi się ujawnienie, iż prawdziwe wyjście z uzależnienia nie jest zabiegiem detoksykacji (co pewnie daje tylko chwilowe oczyszczenie organizmu), ale odbywa się przez schodzenie w głąb psychiki i ducha człowieka uzależnionego, poprzez uzdrawiające dotykanie przyczyn nałogu: zranień, przykrych doświadczeń, poczucia odrzucenia, braku nadziei. Wskazanie na Pasterza - Jezusa i Maryję, poprzez których dokonuje się uzdrowienie głównego bohatera, ma wymiar ewangelizacyjny i daje prawdziwą nadzieję każdemu potrzebującemu pomocy.

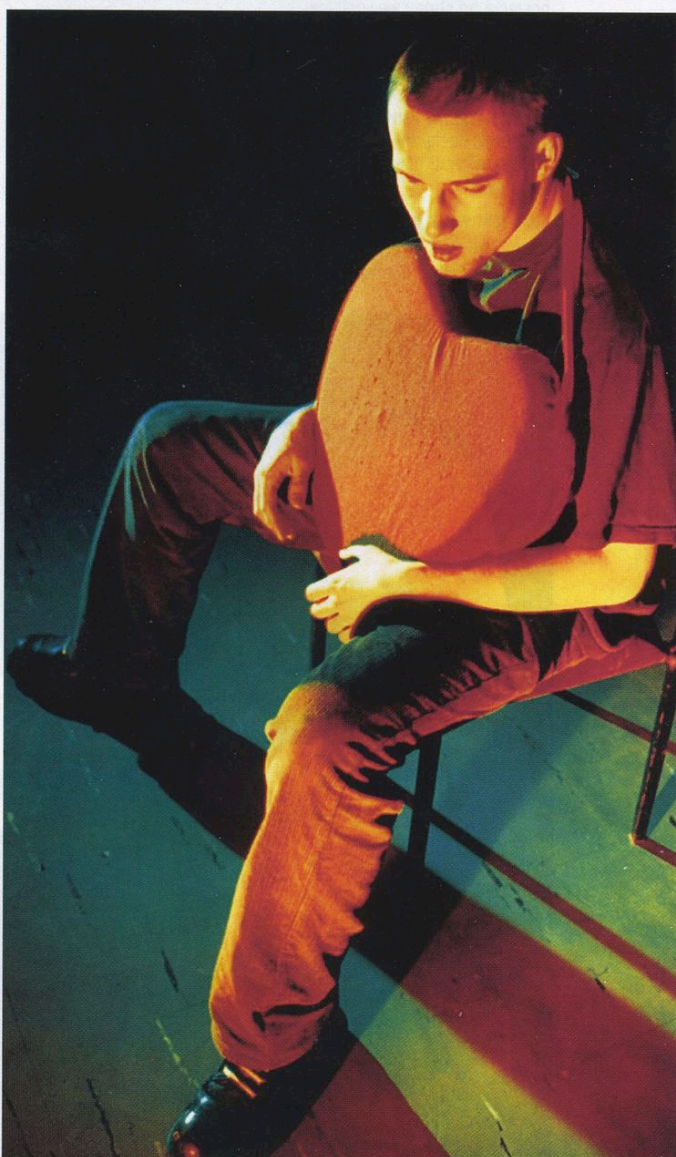
Sugestywne było pokazanie uzdrawiania Emanuela z różnych zniewalających go spraw i przeżyć. Przekonujące były osoby grające: w gestach modlitwy i czulego przygarniania nie było żadnej sztuczności ani przesady - to wszystko musiało wypłynąć z osobistego doświadczenia aktorów. Siła młodości - to kolejny atut tego przedstawienia. Zapowiadająca spektakl dziewczyna uprzedziła, że nie jest to popis umiejętności aktorskich. Tego akurat nie potrafię ocenić; wiem jednak, że w kilku fragmentach spektaklu nie wiedziałam, czy jest to jeszcze przedstawienie, czy modlitwa (...).

Po spektaklu usłyszałam stwierdzenie: To było lepsze niż „Metro”. Piosenki do tego przedstawienia (opracowane muzycznie przez Grzegorza Kopalę) poznałam już w trakcie transmisji z koncertu „Poznań 2000”. Przyznam, że w trakcie przedstawienia nabrały dla mnie dodatkowej mocy.

Według mnie to przedstawienie jest owocem pracy artystycznej i modlitwy.

Grupa teatralna DROGA działa w Poznaniu, ale jak sama nazwa grupy wskazuje, chce ona być w drodze do miejsc, gdzie trzeba opowiedzieć, wytańczyć i wyspiewać Nadzieję - Dobrą Nowinę.

* fragment pochodzi z książki D. Ange’a pt. „Zraniony pasterz”.



Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w 20. numerze RUaH tekst Tomka Wienke o Radiu Plus. Uruchomił on we mnie całą serię wspomnień i skojarzeń, a przede wszystkim zmusił mnie do poszukania odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje, że radio, które jest powołane do ewangelizacji, nie ewangelizuje.



R



A



D



I



O

Katolickie tabu, czyli o ewangelizacji przez media

Powstrzymam się jednak od oceny bieżącego programu Radia Plus, gdyż go nie słucham. Był czas, gdy słuchałem niektórych audycji tej stacji, np. wywiadów Piotra Semki albo „Pocieszenia i strapienia” Roberta Tekielego, potem jednak pogubiłem się w kolejnych jego reformach i tak już zostało. Moje rozważanie będzie zatem poświęcone raczej mechanizmom, które mogłem zaobserwować, gdy uczestniczyłem przy narodzinach pewnej niedużej katolickiej rozgłośni, a które - jak mi się zdaje - działają i dziś w wielu mediach.

Uczulenie na pobożność

Była pierwsza połowa lat 90. Radio ruszyło rano i z zapartym tchem słuchaliśmy pierwszych zapowiedzi księdza redaktora. Tego dnia w wynajętym studio uczestniczyłem w montażu mojego pierwszego wywiadu. Pani z SLD (o czym świadczył znaczek na tablicy korkowej w jej pokoju) cięta taśmę na kawałki i pracownicy ją sklejała w jedną całość (nikt z nas nie marzył jeszcze wtedy o montażu cyfrowym). Skończyliśmy pół godziny przed planowaną emisją i na własny koszt zawiozłem materiał do siedziby Radia. Takie to były pionierskie czasy... Wspomniana montażyстка dojechała później do rozgłośni i powitała wszystkich tradycyjnym: - Pochwalony! Na co odpowiedziały jej porozumiewawcze uśmiechy. Nie było w tym nic dziwnego, bowiem większość pracowników trafiła do Radia z dyskoteki, trudno bowiem było znaleźć gdzie indziej ludzi, którzy potrafiliby np. obsługiwać konsolę...

Od początku zatem w Radio istniały dwa środowiska: zaangażowanych katolików oraz reszta pracowników - katolików nominalnych, którzy odznaczali się dużą niechęcią do tematyki religijnej. Pomijam w tym momencie dość częsty wówczas brak profesjonalizmu tych pierwszych, lub ich zbytnią niekiedy egzaltację religijną, chcę jedynie zwrócić uwagę na to, że - paradoksalnie - trudno było przebić się z Ewangelią w rozgłośni katolickiej, w której duża część pracowników właściwie miała uczulenie na wszelkie przejawy pobożności.

Pamiętajmy, że w tamtych czasach Kościół często postrzegany był jako zagrożenie dla demokracji i sporo opiniotwórczych środowisk wprost przestrzegało przed nową dyktaturą „czarnych”. To również miało duży wpływ na klimat panujący wokół tematów religijnych. Tamte lansowane złowrogie scenariusze nie sprawdziły się, a zdystansowanie się Kościoła do polityki, powstanie silnego środowiska muzyków chrześcijan oraz kolejne pielgrzymki papieskie w dużej mierze przyczyniły się do zmiany atmosfery.

W szponach komercji

Zwykle koronnym argumentem przeciwko programom ewangelizacyjnym była obawa, że zbyt częste mówienie o Panu Bogu będzie odstraszać potencjalnych reklamodawców, a tym samym podcinać korzenie finansowania Radia. Niepostrzeżenie zatem w dyskusje programowe zaczął się wkradać nowy rodzaj ideologii, która zaczęła wypierać z Radia tematykę religijną. Wprawdzie nie w taki sposób, jak za komuny, kiedy - jak to opowiadał mi pewien realizator dawnej radiowej Trójki - trzeba było pod naciskiem cenzury usuwać słowo: „Pan Bóg” z komentarzy dotyczących „Mesjasza” Haendla,

czy też „Pasji św. Mateusza” Bacha. Teraz autocenzura następowała z powodów bardziej „nowoczesnych” i „cywilizowanych”.

Oczywiście nie jestem zwolennikiem tego, by program radia katolickiego ograniczał się wyłącznie do tematyki religijnej. Zdaję też sobie sprawę z tego, że radio jako środek do głoszenia Ewangelii wymaga dużych nakładów finansowych, źle się jednak dzieje, gdy w ich poszukiwaniu całkowicie zatracą się podstawową misję radia. Rozgłośnia katolicka, w której religia jest tematem tabu, wydaje się rdzennie polskim wynalazkiem.

Homo sovieticus ciągle żywy

Główną przyczyną istniejącego stanu rzeczy są obciążenia z czasów komuny, kiedy to religijność była w mediach zupełnie nieobecna. Po uzyskaniu wolności w wielu środowiskach długi czas - siłą inercji - panowały dawne przyzwyczajenia. Widoczne to było w wielu dziedzinach życia, np. w księgarniach świeckich do niedawna trudno było kupić książkę religijną, a w prasie tematy religijne raczej przemilczano, chyba że dotyczyły jakiegoś skandalu. Mało kto uważał, że religijność jest zwyczajną sferą życia i że również ona domaga się proporcjonalnego odzwierciedlenia w mediach.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze pewien kompleks katolików, który wyrażał się dużą wstydlivością w mówieniu o własnej pobożności. Dla kontrastu można wspomnieć o aktorach amerykańskich, którzy podczas odbierania Oskarów bez zażenowania publicznie dziękują Bogu za otrzymane talenty. W Polskich realiach jeszcze do niedawna takie postawy budziłyby uśmiechy politowania. Zachęta George'a Busha do modlitwy po tragedii 11 września do niedawna uchodziłaby u nas albo za zbyt ekshibicjonizm religijny, albo za koniunkturalną pozę. Dziś na szczęście dawny klimat medialny wokół religijności zaczyna się nieco ocieplać.

Jaskółki zmian

Wielu świeckich dziennikarzy, m.in. dzięki pielgrzymkom papieskim, coraz lepiej uczy się języka przekazu religijnego i - co ważne - do suchych informacji potrafi dopuszczać świat emocji. Konsolidacja środowiska muzyków chrześcijan oraz ich czytelne świadectwo sprawiły, że ich inspirowana Ewangelią twórczość coraz lepiej przebiła się do powszechnej świadomości. Z kolei oszałamiający sukces Arki Noego sprawił, że świecki rynek muzyczny nie mógł już dłużej ignorować muzyki chrześcijańskiej. Ostatnio zaś dużą niespodzianką był dla mnie wielki koncert pieśni gospel w tłumaczeniu Jacka Cygana, który uświetnił 10-lecie Polskiej Rady Businessu.

W mediach świeckich tematyka religijna coraz częściej zaczyna być podejmowana bez uprzedzeń i kompleksów. Prym wiedzie tu „Newsweek”, który w tym roku wielokrotnie podejmował tę problematykę.

Paradoksalnie niektóre środowiska katolickie zaczynają odstawać od tych ogólnych tendencji. - W sprawach promocji naszych książek łatwiej mi się dogadywać z dziennikarzami mediów świeckich niż religijnych - usłyszałem niedawno od pewnego wydawcy i wydaje się, że ta opinia nie jest wcale odosobniona. Byłoby to swoistym kuriozum, gdyby szeroko pojęta kultura chrześcijańska była lepiej promowana w mediach świeckich niż kościelnych. Znowu sprawdziłoby się przysłowie, że kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym. Czy jednak o to właśnie chodzi?

Cezary Sękowski



WIENER
SÄNGER
KNABEN

Augartenpalais, A-1020 Wien
Tel +43 1 216 39 42
Fax +43 1 216 39 42-53
Bürozeiten: Mo - Fr 9 bis 17 Uhr
E-Mail: office@wsk.at

Wiener Sängerknaben

O tym, jakiego figla może spłacać los, przekonałem się niedawno. W pewnym sensie przekonałem się na własnej skórze, jak wiele jest prawdy w stwierdzeniu, że życiem artysty kieruje w znacznej mierze przypadek. Dzięki takiemu spłotowi pozornie mało spójnych przypadków przez tydzień grałem z zespołem, który był dla mnie żywą legendą nie tylko mozartowskiej sztuki, ale muzyki w ogóle. To była wielka, wspaniała lekcja.

Warszawa

Od wielu lat, za sprawą niezwykle prężnego organisty i animatora muzycznego życia w świątyniach Stolicy, Przemysława Kapituły, odbywa się w Warszawie Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej. Niegdyś miała to być impreza incydentalna, cykl przygotowany z okazji pielgrzymki Ojca Świętego do ojczyzny. Jak to często bywa, coś okazjonalnego stało się tradycją. Przez świątynie Warszawy przewinęły się najznamienitsze zespoły muzyczne ze słynną Kapelą Sykstyńską na czele. Ich występ można rozpatrywać wyłącznie w kategoriach sensacji, bowiem Watykan i Rzym opuszczają bardzo rzadko po uzyskaniu licznych zgód, z papieską na czele. Ich powinnością jest oprawa liturgii śpiewem, a tradycja liczy sobie setki lat. Podobnie jak tradycja nie mniej słynnego Wiener Sängerknaben, zespołu który gościł nad Wisłą w maju. Wówczas to w Kościele Św. Krzyża wysłuchaliśmy „Stabat Mater” Giovanniego Battisty Pergolesiego oraz słynną „Mszę koronacyjną” Wolfganga Amadeusza Mozarta. Stałem i słuchałem zauroczony. Nie mogłem nawet przypuszczać, że za trzy miesiące wystąpię z nimi trzykrotnie w Niemczech.

Niemcy

Wiener Sängerknaben to najświetniejsza instytucja kultywująca wychowanie młodych chłopców według tzw. dworskiej metody kształcenia i wychowywania. Polegało to na przekazywaniu małych chłopców przez rodziców pod opiekę pedagogów i wychowawców, gdzie pod kuratelą fachowców uczono ich śpiewu bądź wręcz przeciwnie, szkolono w szermierce i wojennym kunszcie. Pierwsi mieli bawić panów, drudzy walczyć w ich imieniu. Tym samym na dworze Maksymiliana I, zgodnie z wielowiekową tradycją, działał chór chłopięcy, który miał za zadanie uświetnianie uroczystości oraz udział w liturgii w czasie dworskich mszy. Wspomniany Maksymilian I przeniósł stolicę Austrii z Innsbrucku do Wiednia. Był rok 1498, zaś z sześciu chłopców (knabów) przewiezionych nad Dunaj, uczyniono podwaliny zespołu, który przetrwał do naszych czasów i jest najświetniejszym chórem chłopięcym na świecie. Świetnie znamy ich z telewizyjnych ekranów, bo to oni wspierają słynnych Wiedeńskich Filharmoników w czasie bożonarodzeniowych gali i koncertów noworocznych. To oni nagrali dziesiątki płyt pod batutami takich sław, jak Karajan i Bernstein. To w końcu oni, a ściślej ich poprzednicy



Opera
Wiedeńska

śpiewający w tym samym chórze przed wiekami, spotykali się na co dzień na scenie z Wolfgangiem Amadeuszem Mozartem i jego adwersarzem, Antonio Salierim, Christophem Willibaldem Gluckiem, Heinrichem Ignazem Franzem Biberem oraz Antonem Brucknerem. Byli dworskim chórem, owi wielcy zaś byli nadwornymi kompozytorami. To były czasy dworskiego mecenatu, coś o czym dzisiaj artyści mogą tylko marzyć.

Dzisiaj czynnie koncertują cztery chóry, w skład każdego wchodzi 24 chłopców w wieku od 10 do 14 lat (kres nauce kładzie mutacja). Tym samym koncertujących knabów jest 96-ciu. Pozostali, bywa że jeszcze ponad 150 kolejnych, doskonalą swój warsztat w specjalnej muzycznej szkole w jednym z wiedeńskich pałaców położonych w parku. Nadal uświetniają msze, współdziałając wówczas z Hofburgkapelle. Występują na całym świecie, a fakt umieszczenia dziecka w tak elitarnej szkole, to zaszczyt dla wielu rodzin, nie tylko austriackich. Wśród chłopców znajdują się dzieci pracowników korpusu dyplomatycznego, osiadłego we Wiedniu, oraz dzieci specjalnie przybyłe z całego świata. To najwyczejniej nie tylko chór, ale i bardzo surowa szkoła życia.

Chłopcy, co widziałem koncertując z nimi, mieli precyzyjny plan dziennych zajęć. Nie miało znaczenia, czy są w hotelu, czy w szkole. Jak przystało na małych urwisów, czasami wyrastały im rogi. Jednak spontaniczne rozmowy w czasie próby w Johanniskirche w Plauen (X Festival Mitte Europa), dyrygent Gerald Wirth uciął dwoma słowami: Jezus słucha! Zresztą był to incydent – nigdy więcej nie musiał upominać dzieci.



zdjęcie z archiwum Piotra Iwickiego

Wiedeńskie knaby mają ustalony jadłospis, mogą przebywać dziennie określone specjalnymi regulaminami dystansy: koleją, samolotem, autokarem. Wszystko w trosce o ich zdrowie i kondycję. Mają specjalne stroje: podróżne i koncertowe, a i te posiadają różne barwy, od kremowych po marynarskie, niebieskie.

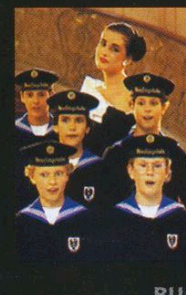
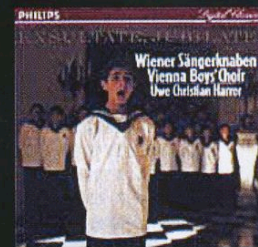
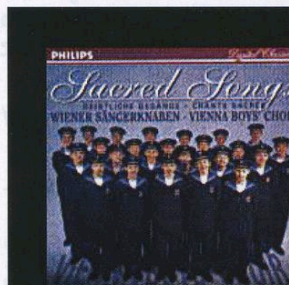
Tradycja

Wykonywanie określonego, koronnego repertuaru u boku gwiazd to znakomita lekcja. Po pierwsze, kształt i brzmienie tej interpretacji to wypadkowa wieków pracy, kamień szlifowany przez kilku fachowców, dzieło, na którym piętno odcisnęła cała muzyczna historia, doświadczenie pokoleń. Mozartowska „Msza koronacyjna” w interpretacji Wiener Sängerknaben donikąd się nie spieszy. Oczywiście wszystkie partie solowe wykonują wybrani chłopcy, z tym, że głosy chłopięce zostają uzupełnione męskimi, w tym wypadku członkami Chorus Viennensis, czyli mężczyźnami rekrutującymi się z grona niegdysiejszych wychowanków knabów. Jest w tym jakaś lekkość, głównie za sprawą dziecięcych głosów oraz kompletnego braku wibracji, tak charakterystycznej dla głosów żeńskich, zwłaszcza kształconych, operowych. To bardzo delikatne śpiewanie, szczególnie „Agus Dei”, w którym dźwięk zdaje się nie mieć początku i końca. Zapala się jak płomyk świeczki i gaśnie. Sacrum wpisane jest w każdą nutę tego dzieła. Pietyzm w realizacji poszczególnych nut i fraz to też jedna z pryncypialnych cech wiedeńskiego zespołu i jego chórmistrza. „Mszę...” wykonywaliśmy bez towarzyszenia puzonów (są dwie wersje, tradycja dopuszcza obie jako zgodne z duchem epoki, choć w rękopisie, na podstawie którego dokonano druku współczesnej partytury, widnieje reprint listu Mozarta, w którym nie wymienia on puzonów w składzie orkiestry), przez co interpretacja nie była tak mocna, jak gdy grywa się z puzonami. Warto wspomnieć, że puzony dublują w podobnej sytuacji głosy chóru. W takim wypadku puzony najnormalniej „przykryłyby” dziecięce głosy. Stąd rezygnacja z blachy, oczywiście trąbki z kotłami pozostają. Dziecięce głosy ponadto w sposób znacznie bardziej naturalny wpisują się w akustykę potężnych kubatur świątyni. W czasie kobiecego, wibrowanego śpiewu zachodzi „złanie się”, rozmycie fraz, nuty są mniej precyzyjne pod względem intonacji, słuchacz słyszy je czysto, jednak nie tak klarownie, jak wtedy, gdy dźwięk postawiony jest bez wibracji. Czasami na ten rodzaj śpiewu mówi się nie inaczej, jak „anielski”, i w podobnym tonie utrzymywały się recenzje po koncertach w Niemczech. Dziecięcy śpiew chłopców określano właśnie tym zwrotem.

Ciekawie też posadzono orkiestrę. Zazwyczaj trąbki i kotły siedzą po prawej stronie, jednak nie u wiedeńczyków. Zbyt wielki wolumen poszczególnych instrumentów skumulowanych po prawej stronie orkiestry (patrzac od strony publiczności) sprawia, że zachwiana zostaje proporcja, swoisty balans. Jednym słowem, z prawej jest zbyt głośno, cierpi dynamika lewej strony. Ot, coś jakbyśmy w naszym domowym sprzęcie stereo przestawili balans z pozycji godziny dwunastej na drugą. Karkołomne, stąd sztuczka wiedeńczyków. Nomen omen, wynikająca też z tradycji. Podobnie usadzone są wszystkie orkiestry austriackie, z Wiener Philharmoniker na czele.

Tak czy inaczej, gra i słucha się lepiej. I tak to zbieg okoliczności sprawił, że perkusista znad Wisły otarł się o kawałek historii muzyki. Jest to też dowód na to, że granice europejskiego podziału administracyjnego nie dotyczą sztuki. Tu zjednoczona Europa istnieje od zawsze, zaś Polska jest jej integralną, równie ważną, co inne, częścią.

Piotr Iwicki





fol. Jan Bujnowski

Zła muzyka w Kościele

sesja w Częstochowie
(5 maja 2002)

Grzech zaniedbania ze strony Kościoła, „prostytcja z antykulturą”, „bezwprawie uprawiane na liturgii” - tak wyrażają się specjaliści o stanie polskiej muzyki kościelnej. W Częstochowie podjęli dyskusję zorganizowaną w ramach festiwalu „Gaude Mater”. Wzięli w niej udział m.in. muzyk Jan Pospieszalski oraz muzykolog ks. Kazimierz Szymonik.

- *Gdyby ktoś podszedł do ołtarza Wita Stwosza i zaczął odrąbać kolejne figurki, to zostałby uznany za barbarzyńcę. Ale gdy na naszych oczach zanikają kolejne pieśni kościelne, to nie robimy prawie nic. A to przecież depozyt naszej kultury -* mówił Jan Pospieszalski.

Jego zdaniem, jesteśmy świadkami głębokiego kryzysu muzyki kościelnej, a zarazem pewnej schizofrenii. - *Z jednej strony mamy Pendereckiego, Kilara i Góreckiego, którzy tworzą kulturę światową i mają w swoim dorobku mnóstwo dzieł religijnych. Z drugiej strony, muzyka kościelna w ich ojczyźnie stoi na bardzo niskim poziomie -* zauważył. Według Pospieszalskiego, nie można mówić o ukochaniu Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, jeśli gra się przy Nim złą muzykę.

Słów krytyki nie szczędził również ks. prof. Kazimierz Szymonik, muzykolog z UKSW. - *Jest źle i widzimy to. Jak być powinno, to napisane jest w dokumentach kościelnych. Szkoda, że się tego nie realizuje.* Według niego, brak zainteresowania problemem ze strony władzy kościelnej to po prostu grzech zaniedbania.

Zdaniem ks. Szymonika w wielu polskich kościołach nie przestrzegano się podstawowych zasad, nakreślonych w oficjalnych dokumentach.

- *Wszystkie pieśni wykonywane podczas liturgii muszą mieć akceptację na poziomie Episkopatu lub przynajmniej diecezji. Dlatego uważam, że to, co się dzieje w polskich kościołach, to bezprawie -* zaznaczył.

Innym problemem jest nienajlepsza edukacja muzyczna kleryków w seminariach. - *Mają oni w sumie 160 godzin muzyki. Po studiach muzycznych to by im wystarczyło, ale dla tych, którzy z muzyką kościelną stykają się po raz pierwszy dopiero w seminarium, to stanowczo za mało. I tacy ludzie później decydują o kształcie muzyki kościelnej. To jest po prostu tragedia!* - mówił ks. Szymonik.

W niektórych seminariach dzieją się rzeczy skandaliczne. - *W Siedlcach przyszedł do seminarium na rok jako nauczyciel śpiewu ksiądz, który powiedział klerikom: Nienawidzę chóralu gregoriańskiego. Mam nadzieję, że po tym roku wy też go znieawidzicie. A to przecież jest wbrew regułom, bo nauka chóralu jest obowiązkiem -* podkreślił ks. Szymonik. Sam podjął próbę zrobienia w seminarium czegoś więcej niż wymagają dokumenty i spotkał go zawód. - *Nie ma klimatu do tego, by kształcić księży*

muzycznie. Gdy rozszerzyłem zakres kształcenia, to wysmiewano kleryków, że z seminarium zrobili sobie szkółkę muzyczną - dodał.

Jego zdaniem, kluczem do rozwiązania problemu jest właściwa edukacja muzyczna w seminariach. - *To właśnie spośród tych kleryków wyjdą kiedyś biskupi oraz proboszczowie i to od nich będzie zależał stan muzyki w polskich kościołach* - wyjaśniał ks. Szymonik.

Nadzieję są także księża-entuzjaści, którzy na własną rękę próbują coś robić w obrębie swoich parafii. Doksztalcają się prywatnie w szkołach muzycznych, choć nikt ich tam oficjalnie nie posyła. Jednak ich zapał jest często gaszony przez proboszczów. - *Jeden ksiądz powiedział, że cokolwiek by chciał zrobić w parafii, a wymagałoby to dodatkowych kosztów, to i tak przegra z wywrotką piachu* - ubolewał ks. Szymonik.

Ks. Andrzej Zajac ze Stowarzyszenia Muzyków Kościelnych widzi nadzieję także w muzykach kościelnych, np. organistach. - *Moja rada: postawić na dobre wykształcenie muzyków kościelnych, dawać im dobre uposażenie w parafii i nie przeszkadzać, a dobre efekty będą widoczne już za kilka lat* - zaznaczył.

Przypominał, że wszystkie te zjawiska dzieją się na tle ogólnych przemian kulturowych. - *Z jednej strony mamy muzykę autorstwa wielkich kompozytorów. Z drugiej strony jest muzyka pop, która trwa chwilę, jest jednodniowa, według zasady znuży się, to stworzymy kolejną piosenkę. Pomiędzy tymi tendencjami balansuje muzyka religijna, która musi stać na wysokim poziomie, ale mieć też funkcję użytkową* - wyjaśniał ks. Zajac. Zaznaczył, że nie chodzi tu o mieszanie w liturgii muzyki kościelnej z muzyką popularną. - *Kard. Ratzinger powiedział wręcz, że to nie jest żadna inkulturacja, ale prostytucja uprawiana z antykulturą* - przypomniał.

Dr Remigiusz Pośpiech z Uniwersytetu Opolskiego przekonywał, że ratunek jest w ścisłej współpracy liturgistów z muzykami. - *To dwa płuca. Każda czynność liturgiczna powinna być wcześniej przygotowana pod względem liturgicznym i muzycznym. Bez tego przyszłość widzę w czarnych barwach* - podkreślił.

Co zrobić, żeby było lepiej? - *Trzeba otworzyć przestrzeń debaty. Przepisy są, autorytety są, uczelnie są, ale istnieje przepaść między nimi a praktyką* - twierdzi Jan Pospieszalski. Mówił dalej: - *Jestem człowiekiem mediów. Przyzwyczałem się, że jak coś się dzieje rano, to wieczorem jest już odzew w mediach. Dlatego dla mnie niedopuszczalne jest czekanie aż dwa lata na kongres muzyków, który coś ustali, to zostanie wydane i może wtedy zacznie się jakiś nacisk na Episkopat. A przecież w tym czasie zostaną wychowane dwa roczniki dzieci, które podczas swojej*

Pierwszej Komunii usłyszą muzykę na zastrasającym poziomie - ubolewał. Według niego trzeba podnieść także prestiż organisty. - *To skandaliczna sytuacja, gdy np. organista z Raszyna nie może przyjechać na dzisiejszą dys-kusję, bo nie ma pie-niędzy. Dlaczego? Bo za mało zarabia. Trzeba coś z tym zrobić!* - apelował. Dla Pospieszalskiego wielką nadzieją są ludzie młodzi, w których tkwi wręcz gigantyczny potencjał. - *W tym roku w Sylwestra pojechało do Budapesztu aż 27 tys. Polaków tylko po to, by razem z braćmi z Taize modlić się śpiewem wielogłosowym. Nie narzekajmy więc, że młodzi nie chcą śpiewać, bo chcą, ale trzeba ich porwać* - wyjaśniał.

Nie trzeba jednak jechać aż do Budapesztu, żeby usłyszeć piękny śpiew. Dowody można znaleźć choćby w kościołach ojców dominikanów. - *Ich Msze młodzieżowe i studenckie gromadzą tłumy i stały się już legendarne. Mniejsza o różne zastrzeżenia do chóralu w ich wykonaniu, ale to przecież wielki potencjał* - mówił Pospieszalski.

Według niego trzeba także korzystać z doświadczenia i siły, tkwiącej w najważniejszych wspólnotach działających w polskim Kościele. Największy wpływ na kształt liturgii w Polsce ma Neokatechumenat, Odnowa w Duchu Świętym oraz Ruch Światło-Życie. - *Neokatechumenat ma co prawda duże zasługi duszpasterskie, ale ich piosenki opierają się najczęściej na czterech chwytach gitarowych. Odnowa w Duchu Świętym potrafi przez cały rok wałkować jedną pieśń uwielbienia. Największe zasługi ma Ruch Światło-Życie, który wprowadził mnóstwo pieśni prostych, może kiczowatych, ale rozśpiewał młodych. To są dziesiątki tysięcy ludzi i trzeba ich jakoś zapalić* - apelował Pospieszalski.

Marcin Perfuński

Od Redakcji:
Zapraszamy czytelników i internautów do dyskusji na ten temat.

Jan Pospieszalski

foto: Jan Walczewski



foto: Andrzej Bujnowski



fol. Piotr Bujnowski

Co boskie Bogu, co cesarskie cesarzowi

wywiad z **Łukaszem Golcem**

Gdy patrzę na was, myślę, że sposobem na sukces jest zgrana rodzina...

Absolutnie tak. W kupie siła. Tradycja artystyczna w rodzinie trwa od dawna. Jednak do tej pory nikt tego nie robił w sposób zawodowy czy profesjonalny.

A kto was wysłał do szkoły?

Starszy brat, Rafał. Na początku przez dwa miesiące musiałem dmuchać w ustnik. Muzyczną edukację zacząłem od czwartej klasy szkoły – podstawówka muzyczna w Żywcu, liceum muzyczne w Bielsku i Wydział Rozrywki w Katowicach. Wracając do Rafała, on też gra na kilku instrumentach, ale z wykształcenia jest malarzem. Rafał wraz ze swoją żoną Olgą jest autorem większości tekstów Golec "Orkiestra".

Pojawienie się Golec "Orkiestra na rynku było łączone z sukcesem Bregoviča. Możesz to wytłumaczyć?

Było coś takiego, ale tylko dlatego, że gramy na trąbkach. Bregovič opiera się przede wszystkim na sekcjach dętych, nasza muzyka jest całkiem inna. Bregovič gra muzykę bałkańską, a my gramy swoją. Nasze kompozycje i teksty są własne. Tylko w kilku piosenkach opieramy się o stare melodie. Nasze kompozycje są nowe, choć niektóre brzmią jakby miały sto lat.

Drugi utwór na ostatniej płycie zaczyna się od biblijnego „Co boskie Bogu, a co cesarskie cesarzowi” - śpiewacie o podatkach... Co się stało z podatkami Goleców?

Nie wiem, co się z nimi stało. W ogóle nie wiem, co się z podatkami dzieje. „Gdzie się podziały nasze podatki?”. Przy produkcji płyty płaci

się średnio 4-5 razy podatek (za studio, za muzyków, za tłoczenie płyt, za projektowanie okładek itd.). Na płycie najwięcej zarabiają pośrednicy, którzy też od tego płacą podatki. Tylko, żeby coś z tych podatków było - przecież dziś nie ma na szpitala, na szkoły, na emerytury. Co się dzieje z tymi pieniędzmi?...

Ja jestem Golec, ty jesteś Golec...

I już coraz trudniej to znieść. Często w naszych piosenkach stosujemy autoironię. Najwięcej goleców jest przed pierwszym każdego miesiąca. Wtedy co drugi to golec.

Wasze utwory są wesołe, ale mają ukryty morał. Doskonale widać to w piosence „Kto się ceni, ten się leni”...

Jest to piosenka o tym, jak to zrobić, żeby zarobić, a coby się nie narobić. To jest żart. Lubimy piosenki optymistyczne, budujące i radosne. Po to jest przecież muzyka. To jest idea etosu starożytnej Grecji - piosenka ma radować, edukować, wzruszać... staramy się realizować. Ale mamy też utwory bardziej refleksyjne - choćby „Drzewa” czy „Wyseł Jasiak...”. Jeżeli trzeba zagrać porządnie po góralsku, to gramy, jeżeli trzeba godać, to się godo. Mamy przepiękne stroje góralskie, które zakłada się na wielkie święta. Żyjemy trochę w innych czasach, ale wszystkie tradycje chcemy utrzymywać i kultywować. Młodych ludzi trzeba uświadamiać, skąd są i gdzie mają swoje korzenie. Widzimy, że po sukcesie Golec "Orkiestra" powstało wiele nowych zespołów góralskich i kilka orkiestr dętych. Mamy przepiękne tradycje. I nie chodzi tu tylko o górali. Przecież także na Mazurach, na Kujawach, na Kaszubach i na Śląsku jest dużo dobrej

muzyki. Od jakiegoś czasu zaczyna się ją prezentować. W danym regionie muszą być ludzie, którzy porządnie wezmą się za promocję swojej muzyki. Dzielę muzykę na dwie kategorie – dobra i zła. Albo jest to wykonanie na jakimś poziomie i z klasą, albo „byłe jak”. Jeżeli kapela gra na odpowiednim poziomie, to raczej jest zapotrzebowanie na ich działalność koncertową.

Wasza najslynniejsza piosenka to „San Francisco” ...

Dla jednych „San Francisco” może być wybudowaniem domu, dla innych ukończeniem szkoły albo założeniem firmy. Prezydent Bush przez nawiązanie do naszej piosenki zrobił nam niesamowitą reklamę na cały świat – sklepy chciały mieć tę płytę. Teraz nasze płyty są nie tylko w USA i w Europie, ale i w Australii i Afryce.

Nagraliście też płytę „Święta z Golec „Orkiestra”. Jaka jest różnica między świętowaniem w górach i gdzie indziej? Ta płyta zawiera zaledwie 2-3 utwory typowo góralskie, związane z Bożym Narodzeniem, a reszta to już nowoczesne piosenki...

Górale są bogobojni, wierzący i praktykujący. I to jest chyba istota. Wiele zależy od wychowania. Od tego, co się wyniesie z domu. Dziś obserwuję w górach nawrót do wiary, tradycji, do sztuki i góralszczyzny. Korzystając z tego, co się zna, można dojść do sukcesu. Jesteśmy tego przykładem. Jesteśmy wychowani w tradycji, ale postrzegamy świat taki, jaki jest. Jesteśmy góralami XXI wieku.

W jakimś wywiadzie mówiłeś, że gdy świętujecie, to wyłączenie telewizor...

Tak. U nas w górach w ogóle nie ma tradycji oglądania telewizji. Całe życie rodzinne odbywa się w kuchni, a telewizor mamy w innym pokoju. Gość w dom – Bóg w dom! Jeśli ktoś przychodzi, to trzeba porozmawiać i dowiedzieć się, co i gdzie się dzieje. Oglądamy tylko to, co sami zrobiliśmy dla telewizji (ha, ha, ha!). Telewizor jest potrzebny, ale media często kłamią i manipulują. Są tacy ludzie, którzy zaczynają i kończą dzień z telewizorem. Odwiedzałem ostatnio babcię Helenę w szpitalu i widzę – koło niej leżą zmaltretowane kobiety. Pytam: kto wam to zrobił? A one: mąż, syn, zięć. Moim dzieciom nie pozwolę oglądać bajek, które teraz proponuje telewizja. Jest w nich za dużo agresji i przemocy.

Przecież sami sobie taki świat „hodujemy”...

Trzeba hodować inaczej. Mamy na to wpływ.

Jak osiągnąć sukces, by być pokazywanym w telewizji i się nie sprzedać?

Trzymać się swoich ideałów i być szczerym w tym, co się robi. W muzyce nie można niczego udowodnić. W sztuce najistotniejsza jest prostota. Utwór może być rozbudowany, ale musi pozostać klarowny i konkretny.

W młodości graliście często w kościele...

Jeżeli mamy czas, to wspomagamy orkiestrę z Miłówki na rezurekcji, w Boże Narodzenie, Boże Ciało.

Na okładkach Waszych płyt można znaleźć specjalne podziękowania Bogu za dar życia, wiary, zdrowia, natchnienia...

Pan Bóg jest i wierzymy w Niego. Jestem wierzący i praktykujący. Kulturę i wiarę wynosi się z domu. Gdyby nie On, to by ten świat nie istniał. Wiara czyni cuda, na co mam wiele dowodów. Choćby to, że

istnieje nasza „Orkiestra”. Parę lat temu nikt nie przypuszczał, że to tak pójdzie. Wszystko wymodliła babcia Helenka. A modliła się, żebyśmy mieli „lekką” robotę (ha, ha, ha!).

Pomimo wielu koncertów, które przede wszystkim odbywają się w weekendy, wystarcza Ci czasu, żeby iść w niedzielę do kościoła?

Oczywiście. Wszystko jest do pogodzenia. Są czasem sytuacje, że nie można iść w niedzielę, ale wtedy można pójść w tygodniu. Ale codziennie odmawiam swoje tradycyjne modlitwy: Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Wierzę w Boga Ojca, Pod Twoją obronę. Jest jeszcze modlitwa za przyjaciół i nieprzyjaciół, i za zmarłych. Wielu mam nieprzyjaciół i polecam ich Jego opiece, żeby ich umocnił.

Czytałem w kilku wywiadach z Tobą, że określacie się, jako muzyk chrześcijański...

Graliśmy z nimi i to wyszło jakoś naturalnie. Jako muzyk sesyjny wraz z Pawłem grałem z Deus Meus na płycie „Mój Jezus” i na najnowszej „Jahwe”. Generalnie zawsze będę bronił Kościoła. W świecie dzieje się dużo zła i w wielu krajach to zło króluje. Kościół jest jedyną ostoją Prawdy i wartości. Niestety bardzo często Kościół jest przedstawiany od złej strony. To jest manipulacja. Są np. dobrzy księża, ale prawie zawsze pokazuje się tych najgorszych.

Jak osoba publiczna i znana może uchronić się przed manipulacją?

Po pierwsze trzeba myśleć swoją głową, a nie telewizorem. Media niestety kłamią i manipulują. Bardzo często to, co się mówi i pisze, jest robione tylko dla interesu. Każdy jest kowalem swojego losu i jak pójdzie do Pon Bócka, to On mu powie: „choć no tu, koleżko – jesteś odpuszczony albo nie odpuszczony”. Każdy dostanie za swoje. Są ludzie, którzy się nawracają, są tacy, którzy odchodzą... Jedni się zmieniają, inni dojrzewają. Moja mama mówi: Pan Bóg zdrady nie mituje – weźmie kija wypucuje.

Trzeba się „zawrócić” – jak śpiewacie w jednej ze swoich piosenek... A co ze świętością?

Chodzącą świętością jest dla mnie Ojciec Święty. Ma w sobie wiele miłości i ciepła. Na Zachodzie wiele poglądów Papieża jest nieakceptowanych, a On z tym musi żyć.

Po koncercie w Wadowicach z okazji 80. urodzin Papieża śpiewaliście piosenkę o Janicku. Czy ten utwór był o Ojcu Świętym?

Nie. To ludzie nadali mu taką interpretację.

Ale w końcu udało się wam nagrać piosenki dla Papieża. „Leć muzyczko do niebiańskiej krainy” i „Do Wadowic wróć” – o czym są te piosenki? Łatwo jest napisać piosenkę dla Papieża?

Utwór „Leć muzyczko” powstał około dwóch lat temu i czekaliśmy na specjalną okazję aby go nagrać i zaśpiewać osobiście Ojcu Świętemu. Był to dla nas wielki zaszczyt i wyróżnienie – móc wykonać go na oficjalnym pożegnaniu Ojca Świętego na lotnisku w Balicach. Autorami tekstu są Rafał i Olga Golec, a muzyki – ja z Pawłem.

Skąd taki pomysł?

To jest zawodowy chór, a pomysł chodził z nami od dawna. Chcemy promować to, co jest typowo słowiańskie.

Czemu w pisowni „Golec „Orkiestra” jest „u”?

To jest pisownia góralska. To „u” ma być pisane u góry. U nas się nie mówiło „o” tylko „uo”. Mówienie gwarą to piękna cecha, tak samo jak noszenie z godnością stroju góralskiego. Ostatnio dostaliśmy w prezencie od ks. Zająla (kapelana Związku Podhalań) Ewangelię w przekładzie Marii Matejowej-Torbiarz na gwarę góralską.

Macie nowy materiał na kolejną płytę?

Michał Anioł jeszcze jednej rzeźby nie skończył, a już się brał za następną. Wciąż trzeba kuć. Lubię muzyków kreatywnych, którzy nie patrzą czy jest moda, czy nie, i idą do przodu.

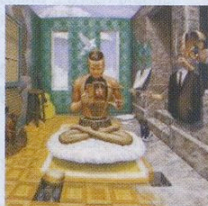
Jesteście z Pawłem bliźniakami. Który się pierwszy urodził?

Są dwie wersje – albo ja pierwszy, albo Paweł (śmiech!).

Rozmawiał ks. Grzegorz Ułamek

PS. Specjalne podziękowanie dla Mony i Gienka Kubatów za życzliwość i mieszkanie, gdzie odbyła się ta rozmowa.



**P.O.D.**
The Fundamental Elements of Southtown / Satellite
 płyta, kaseeta / Atlantic Recording Corporation 1999 / 2001

Jednym z wielu powodów, dla których nie udało mi się dotąd napisać recenzji tej płyty, był fakt, że jej nie miałem. Poprosiłem więc Janusza, czy nie mógłby mi jej wysłać, bo widzę że ma ją w dystrybucji, a chciałem do artykułu o P.O.D. dołączyć recenzję. Janusz odpisał: „jutro wysyłam”. Pojechałem więc do kolegi pożyczyć discmana, żeby gruntownie jej posłuchać (znałem tylko kilka kawałków). Ku mojemu zdziwieniu przysłała kaseeta. To już był problem, na rozwiązanie którego nie znalazłem sposobu – nie wiedziałem, kto z moich znajomych ma i może pożyczyć mi walkmana. Zlitowała się siostra ze wspólnoty, prowadząca szkołę języków obcych (dzięki, Kasial!) i tak oto mogłem w końcu dopełnić tę recenzję.

W porządku chronologicznym:

1/ „...Southtown” jest pozycją wcześniejszą (1999 r.) i pierwszą wydaną w barwach Atlantic Records. W sumie, jest to piąta płyta w dorobku P.O.D. Już sam jej początek daje przedsmak tego, co będzie się działo dalej. Powolny, loopowany podkład i przefiltrowany wokół rozwija całą gamę pozdrowień, „proroctw” i zachęt. Sekundę później raczy się nas już wyśmienitym „Hollywood”, z jadowitym tekstem („...tak więc chcesz zostać gwiazdą? Witaj w Hollywood...”) i monolitycznymi gitarami. Następnie niewinnie zaczynający się „Southtown”, który po prostu rządzi. Jest to kawałek w najlepszym czadowo-przebojowym stylu, doszlifowanym do perfekcji na następnej płycie. Ale o tym później. „Checkin' levels” – to jedna z wielu ciekawych wstawek, tutaj Sonny daje próbkę swego rapowania, oddzielając w ten sposób jeden przebój od drugiego. Za taki bowiem uważam „Rock the Party (off the Hook)” – kawałek, który, moim zdaniem, zburzył stereotyp myślenia wielu ludzi na temat muzyki granej przez chrześcijan. Uważam, że żaden z pozostałych kawałków na płycie nie może się równać z tymi dwoma – są ciekawe, niezłe brzmią, ale stanowią tylko tło. Czadowe, co prawda, ale jednak tylko tło dla tego, co dzieje się w czasie trwania trzech pierwszych numerów. Cała płyta jest świetna, goście za każdym razem zaskakują jakimiś patentami, smaczkami. Słucha się tego z wielką przyjemnością. Zwracają na siebie uwagę „Set Our Eyes To Zion” – w reggae'owej konwencji, z melodyjnym wokalem, i niesamowicie monumentalną przeróbką „Bullet the Blue Sky” z repertuaru U2.

Wszystkim fanatykom hebrajszczyzny polecam „Psalm 150” wyrecytowany w najczystszy brzmieniu tego języka. Zdecydowanie, dla zaprężytych fanów czadu oraz dla tych, którzy są już znudzeni tym, czego słuchali do tej pory – to zwłaszcza wam dedykuję zamykającą całość wstawkę o dźwięcznym tytule – „Tambura”.

Jakkolwiek płyta sprzedała się w milionie egzemplarzy (co już samo mówi przez się) w przypadku „Satellite” sprawa ma się inaczej. Ponad trzy miliony sprzedanych jej kopii powinno stanowić powód do napisania szerszej rozprawy socjologicznej, a nie kolejnej kretyńskiej recenzji. Płyta weszła na szczyt „Hall Of Fame” nie dzięki pokrętnym praktykom managerów i macherów od reklamy, ale z kopa wyłamując drzwi pomieszczenia, zdawałoby się zarezerwowanego do tej pory dla świeckich wykonawców, na dokładkę, w gatunku muzyki niezbyt kojarzonym z chrześcijaństwem. Dlaczego? Gdybym powiedział, że złamali konwencję, że odważyli się połączyć to co nie do połączenia, że zaprosili do udziału w sesji... nie skłamałbym, ale też nie napisałbym całej prawdy. Nie oszukujmy się! Nie ja jeden nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. Ale przyjmuję to za dowód na istnienie Boga i potwierdzenie tezy, którą postawiłem w artykule zamieszczonym w poprzednim RUAH. Jest to płyta zwarta, czadowa jak diabli i piękna jak Niebo! Każdy kawałek (w odróżnieniu od poprzedniej) to potencjalny przebój (no, może oprócz instrumentalnych „Celestial” i „Guitarras de Amor”). Nie ma więc zbyt dużego sensu, bym opisywał te kawałki po kolei. To tak, jakby próbować opisać naszyjnik z pereł: mimo że różnią się od siebie (prawdziwe pereły, w przeciwieństwie od sztucznych, są nieregularne), wszystkie są piękne, a zebrane razem tworzą coś jeszcze piękniejszego.

Ze względu na estymę, jaką darzę wszelkie odmiany muzyki wywodzącej się z korzenno reggae, szczególnie przypadły mi do gustu te kawałki, w których panowie spod znaku Trójcy przestają się bawić w Czarnych, a zapraszają do studia prawdziwych Czarnych. I to jakich: jednego z czołowych toasterów raggamuffin, Eak-a-Mouse'a, oraz wokalistę legendarnej już kapeli (którą P.O.D. darzy dożygonną miłością) – H.R'a. Boże, co ja przeżyłem słuchając „Without Jah Nothin” – myślałem, że Bad Brains zmarłych wstał i przez pomyłkę ich kawałek znalazł się na tej płycie! Powiem tylko tyle: możecie tępytę kupić w ciemno. Nawet jeśli (co mało prawdopodobne) się wam nie spodoba, będzie świetnym i żarczaczem, że docenionym prezentem pod choinkę!

Grzegorz Wacław a.k.a. dziki


**WSPÓLNOTA MIŁOŚCI
UKRZYŻOWANEJ**
**Dotyk ognia
i paschalny deszcz**

płyta, kaseeta / Veni 2002

Jestem w szoku. Po raz pierwszy coś tak bardzo mnie dotknęło i zaskoczyło. Do tej pory znałem Wspólnotę Miłości Ukrzyżowanej z opowiadań znajomych, jako jedną z wyrostłych na gruncie Odnowy w Duchu Świętym.

Płyta jest niesamowita. Bardzo skromna w warstwie brzmieniowej, chciałoby się rzec, – uboga („...jakby ubodzy, a jednak bogaci...”) – praktycznie tylko wokaliza z towarzyszeniem gitary, chórek, czasem trąbka lub inne ozdobniki. Forma niby surowa, ale widać, że było to zaśpiewane na setkę i że te pieśni tak właśnie brzmią na żywo podczas liturgii. Bo, że są to pieśni śpiewane przez wspólnotę podczas liturgii, spotkań modlitewnych, czy czuwań, nie mam żadnych wątpliwości. Są tak bardzo przesiąknięte duchem modlitwy, że słuchając tej płyty w autobusie czułem się jak podczas modlitwy, a nie drogi do pracy.

Płyta urzeka mnie swoją delikatnością (na co dzień nie słucham tak spokojnej muzyki, odreagowuję „czadem” stres dnia). Spokój i wyciszenie płynące z tych 20 pieśni (bo nie są to piosenki!), które potrafią być przecież bardzo żywiołowe, udzieliły się także i mnie.

Dawno już nie byłem tak wzruszony słuchając muzyki, a jak usłyszałem „...na krzyżu poślubił mnie Pan...”, to miałem łzy w oczach. Kto nie zna miłości w wymiarze krzyża, miłości, która zwycięża śmierć, może nie zrozumieć, że „...krzyż jest słodkim łożem miłości...”. Tak samo, gdy usłyszałem „...nie bój się, Jakubie, robaczku, Izraelu...”, stanął mi przed oczyma moment, gdy po raz pierwszy dostałem słowo na swoje życie: „Pan wybrał sobie ciebie, Jakuba Izraela, na swoją wyłączną własność”.

Te pieśni przemawiają do serca i naprawdę warto się zapoznać z tą płytą. Po przesłuchaniu należy do moich ulubionych. Nie ze względu na warstwę muzyczną, która jest tu siłą rzeczy zredukowana do minimum, ale ze względu na świadectwo, jakie daje o istnieniu niedostrzegalnej na co dzień rzeczywistości.

Grzegorz Wacław a.k.a. dziki



EXTOL Undeceived

płyta / Century Media 2002

Album ten nie jest nowy w pełnym tego słowa znaczeniu, gdyż ukazał się już w roku 2000. Jednak ponieważ wydany został przez niewielką szwedzką wytwórnię zajmującą się „metalem” o chrześcijańskim przesłaniu, trafił wówczas do

stosunkowo niewielkiego grona odbiorców - w tym również do moich chciwych łapsk. Pomyślałem wtedy, że taka wspaniała muzyka nie może pozostać niezauważona... Czas pokazał, że przecucie mnie nie myliło, gdyż w kwitniu tego roku „Undeceived”, wzbogacony o 2 dodatkowe utwory (w tym jeden cover „Believer”), ukazał się nakładem jednego z największych europejskich potentatów metalowych - CENTURY MEDIA, firmy, której polskim dystrybutorem jest Metal Mind Productions.

Tyle odnośnie historii płyty, teraz kilka zdań o jej zawartości. Muzyka jest... mocna. Bardzo. Jeśli 2 i 3 jest dla kogoś zbyt ostry, to po Extol nie ma nawet co sięgać. Do jakiej szufladki należy zatem włożyć dokonania pięciu panów z Norwegii? Odpowiedź, wbrew pozorom, nie jest taka prosta, tak jak i muzyka na „Undeceived” nie jest prosta. Ja znalazłem taką (nie)zgrabną etykietkę o nazwie „progressive melodic death metal”, jednak mam świadomość, że - jak to etykietki - jest ona raczej niedoskonała i niewiele można z niej wynioskować. Spróbuję więc inaczej: na płycie znaleźć można galopujące stopy, „piłowane” gitary, ciągłe zmiany tempa, eksperymenty z rytmem, mnóstwo dysonansów i tyleż samo pięknych melodii, wokal oscylujący pomiędzy deathowym growlem a blackowym krzykiem kontrastuje (w 3 utworach) z przepięknym hardrockowym śpiewem, pojawiają się też gdzieś tam (również w trzech utworach) instrumenty smyczkowe. Doskonale umiejętności techniczne muzyków, równie dobre kompozycje i WSPANIAŁA produkcja. Materiał brzmi ciężko i potężnie, a zarazem niesamowicie przejrzysto, klarownie - słychać każde uderzenie kostki w strunę, ta muzyka jest grana z niesamowitą precyzją. Skojarzenia z innymi kapelami? Bardzo proszę: Believer (którego sami muzycy podają jako jedną ze swych inspiracji), Death, In Flames, wczesne Dark Tranquillity, Dream Theater, może odrobinę Cynic...

Teksty zespołu są równie bezkompromisowe, jak ich kompozycje. Są „na wskroś” chrześcijańskie, a jednak - przynajmniej moim zdaniem - zupełnie nie kłócą się z miejscami naprawdę agresywną muzyką. I celowo używam tu tego słowa, bo w tekstach Extol jest mowa o niesamowitej mocy Boga, lecz ukazywana jest ona często na tle ludzkiego gniewu, frustracji, słabości, czyli tych rzeczy, od których samo bycie chrześcijaninem jednak nas nie uwalnia, choć tak bardzo byśmy tego chcieli... Na przykład:

Czas stoi w miejscu. Szept w moim uchu. Duch uwikłany w walkę z góry przegraną.

Skazone myśli. Duch kurczy się. Pożądanie dominuje. Upadłem po raz kolejny.

Frustracja narasta. Gniew na oszustwo świata. Gniew na brak samokontroli. Potępienie, natychmiastowy żal. Jak wiele możesz znieść? Rozczarowanie moją nieuczciwością. Ból.

Nieposłuszeństwo Twojej woli. Mam bolesną świadomość mojej słabości. Więzień brudnych łańcuchów. Pomóż mi Boże. Uwolnij mnie.

Albo: *Mój wzrok jest słaby. Nie widzę jasno. Coś rozdziera me wnętrze. Próbując znaleźć wyjście o własnych siłach, tylko wchodzę coraz głębiej w otchłań chaosu i żalości. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zaufać Tobie. Wiem, że Ty mnie poprowadzisz, jeśli tylko skupię me spojrzenie na Tobie. Pozwól mi się u Ciebie chronić. Twa wierność jest moją osłoną i tarczą.*

Czyż to nie brzmi szczerze?

Polecam Extol wszystkim lubiącym mocne granie - to ambitna, niebanalna muzyka i podobne teksty. Dla mnie ta płyta to po prostu rewelacja - a piszę to po półtora roku jej słuchania, co chyba nie jest bez znaczenia...

Jan Trębacz

Razu pewnego, gościem będąc u znakomitego imć Pana Malejona w Radyju Józef na audycji jego zacnej, takie mi komplementa (nie podczas emisji, co prawda) prawił, iż zacnie mi mową polską a nie inszą lingua franca pisanie wychodzi. Stodczyż z ust jego płynącą wnet skusił się dałem, a że okazały wyborna wnet się trafita, kolejny z cyklu pseudo-staropolskich tekstów popenił raczyłem.

QUO VADIS, TERTIO MILLENNIO ???

Wydawnictwo Fronda, W-wa 2002 książka ukaże się 04/12/2002

Jest w grodzie stołecznym, Warszawą zwanym, w któregoż granicach honor mieszkać mamy, oficyna wydawnicza Frondą zwana. Wielce ci ona zasłużona drukiem inkunabuł szlachetnych, przez mężów świątliwych i w sztukach wszelakich, prócz piśmiennictwa biegłych, ogłaszaniu. Dzieło zbożne tym samym czyni, lukę ową w gramotnym rynku zapelniając, ksiąg a dysertacyj odkłamyjących publikować raczy.

Znajomością z owymi szlachciami się szczywitszy, tym większą radość w duszy czuję iż o kolejnej, jakże nietypowej dlań pozycji zapowiedź poczynić mogę.

Imć pan Abram (Jewrej to on nie jest, bo jaki brat starszy w wierze imię Martina nosić by raczył? Toż go w Ziemi Świętej, krwią Zbawiciela naszego skropionę, nawet Arabowie, naród tyleż dziwny co do naonczas niezbadany, nosić nie raczy. Tuszę więc, że z pseudonimem zgrabnym, w religijnej iluminacji zakorzenionym do czynienia mamy) znamienitego rodaka naszego twórczością oczarowany dzieło beletrystyczne, potocznie powieścią zwane, w wielkiej pracy nakładzie popenił raczył. Któż z nas bowiem o Panu Henryku z Sienkiewiczową nie słyszał (na oczym własne widział, iż się dwie niewiasty okrutnie o pióro, którym zwykle pisać raczył, z kaczego kupra wyrwane, okrutnie pobity, koafiury tarmosząc i wstyd wielkiego sobie zadając w porwanym odzieniu po karczmie się tarzając). Pergaminum jego, „Quo Vadis” nazwane, kanwą nowej powieści się stało, ino w futurum przeniesionej. Tęgiego rozumu wspomniany acan, Martin Abram, być musi, skoro bez przeszkód wielkich w przyszłość zaglądając i na blisko trzystu kartach opisać ją raczył.

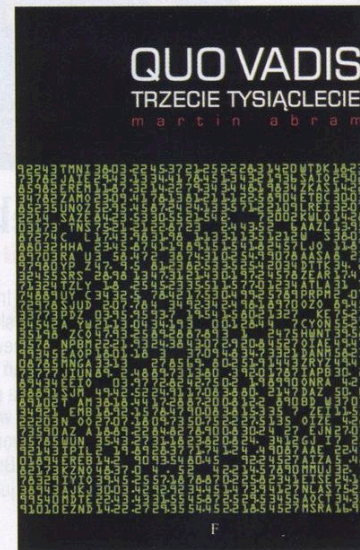
A czegoż tu nie ma? Wizyje świata przerażająca przed nami rozlatca, niczym trupi fetor wokół świeżego pola bitwy się ciągnące. Jedno jedyne ci mocarstwo na tym świecie zostało, kontrolę nad obywatelami swymi sprawującego i kaźń bezlitosną każdemu się buntującemu sprawującą. Ludziska przez lata zręcznej reklamy ofiarami się stając, na żer bezgranicznej konsumpcji rzućeni zostali. Co gorsza, czegoż to ja sobie imaginować nijak nie mogę, Boga się wyparli ku pogaństwu wszetecznemu swe oblicza zwracając. Nielicznym, wierności Jemu dochowującym, implanta jakoweś wszczepiają i praktyk religijnych karą kazamat zabraniać racza.

A któż z Was, czytelnicy zacni, podczas niedzielnej Eucharystyi sprawowania myśl taką dopuścić może, iż w przyszłości ciemnej, mroku tajemnicą owianej, Kościół Chrystusowy z jego głową, Papieżem, do katakumb znowu zejść musiał będzie i struktur podziemnych na czas powtórných prześladowań okrutnych tworzyć musiał. A wszystko po to, by niejaki wskaźniki tajemniczego wzrostu gospodarczego w świecie konsumpcją ino stojącym poprawić. Zgrozą mi powiało i niby wicher lodowaty po krzyżu tabun lodowych mrówek pędził, kiedym tchem jednym wszelkich intryg, śledztw, śmierci i losów bohaterów do końca śledzić począł. Jakżem wielką w sercum ulgę poczuł o nawróceniach zacnych ludzi czytając, a śmiercią męczęńską pod przyszłych konwersyj zacnych dających, z opisem Nieba tam pomieszczonych. Zacne dzieło owo, nie tylko ku pokrzepieniu serc, nie tylko ku przestrodze przyszłości naszej bez Boga niepewnej, polecić muszę, wielcem je bowiem ku rozrywce szlachetnej z lektury wynikającej polecić mogę.

A i wy, niewiasty zacne, cnej miłości szukające i dla swej lubości kochania po grób i dłużej nawet trwającego poznanym winnyście je uczynić.

W księgarniach szukajcie, a nie, to na internetnej stronie wydawnictwa wszelakich informacyj skarbnicę znajdziecie (www.fronda.pl).

Grzegorz Waclaw





Babcia Aniela rozdaje karty

Tomek Budzyński nagrał autorską płytę

Marzec 1999, informacja w Internecie: Tomasz Budzyński myśli o nagraniu swej pierwszej autorskiej płyty. Dzwonię do Janusza Kotarby i mówię: „Napiszę o tym newsa”. Janusz uspokaja: „Jak wyjdzie płyta, to uwierzę”. Kwiecień 2000: Budzy w jakimś wywiadzie: „Przygotowuję się do nagrania płyty”. Dzwonię do Janusza... Styczeń, maj, lipiec, itd. roku 2001: wokół mnie krążą informacje: „Tomek Budzyński nagrywa”. Nie dzwonię już do Janusza. Październik 2002: Dzwoni Janusz: „Mam płytę Budzego”. Przecieram uszy... Niesamowite, wyszła? Teraz możemy już chyba tylko oczekiwać na powtórne przyjście Pana.

Warto było czekać.

Koniec recenzji (zartowałem. Jak już się dorwałem do pisania, to nie odpuszczę. Samo nazwisko zmusza mnie do używania mowy).

Krążek nagrywano prawie trzy lata. Tomkowi pomagał Krzysztof Banasik, powszechnie znany jako Banan. Zagrał tym razem nie tylko na charakterystycznej dla Armii i Kultu waltorni, ale również na syntezatorach, gitarach i innych instrumentach. Powstała w ten sposób płyta, której akcja rozgrywa się gdzieś między Zgorzelcem, Nałęczowem, Kazimierzem, Dęblinem a niebem. Nie znajdziecie tu wltaczającej w krzesło ściany dźwięków, do jakiej przyzwyczaiła nas Armia (może jedynie klimaty monotonnej piosenki „Buraki, kapusta i sól”). Klimaty 4 AD? Chyba też nie bardzo. Wyszła bardzo osobliwa muzyka. Transowa,

monotonna. Słynny Woycek z OBUH Record nazwał ją „apokaliptycznym folklem”, a Natalia – żona Tomka – „muzyką dla kobiet”. To ciekawe: choć to najczęściej wędrowni po krainie dzieciństwa, płyta nie jest lekka, prosta i swobodna. Jest raczej mroczna. Nie jest to może The Swans, ale...

Płyta ma niesamowity klimat. Rzadko można to powiedzieć o jakimś krążku. Nie rozumiem większości tekstów, zaledwie domyśliłem się osobistych metafor, ale właśnie klimat powoduje, że płyta jest mi bliska. To kolejny śpiewany tomik poezji Budzyńskiego.

Jest na niej to, co kocham najbardziej. Przemieszanie świata widzialnego z niewidzialnym. „U ludzi to niemożliwe / u Boga na wszystko jest czas / Zaświaty przyszły na świat i kręcą się wokół nas / I piją ze mną herbatę i sadzą cynie po wsiach”. To według mnie w ogóle esencja całej twórczości Tomka. Czekanie na przystanku autobusowym, gra w karty, sadzenie kwiatów stają się niemal obrzędami religijnymi. Jak pisał Czechowicz: „Przenika się nawzajem tłum: archanioły i ludzie”. Aniołowie przechadzają się po ulicach, by obwieszczać zwycięstwo nad zyletkami, prochami i śmiercią. Nie dziwi się, że słuchając tych osobistych tekstów Natalia płakała.

Dla kogo Budzy nagrał tę płytę? Chyba przede wszystkim dla siebie i dla swojej żony. Jedynie oni odnajdą się w gąszczu tych bardzo osobistych, intymnych tekstów. My zaledwie dotykamy metafor, rozpoznając czasami nazwiska, które zapamiętaliśmy z Bolka i Lolka czy nieśmiertelne hasło Gustlika (Hermenegilda kom).

Zaprzyjaźniona z rodziną Budzyńskich Hildegarda z Bingen znana jest z tego, że dla potrzeb swych macierzystych klasztorów stworzyła nowy, mistyczny język. Nie chcę napisać, że Budzy jest Hildegardą von Bingen polskiego rocka, ale jego metajęzyka nie rozgryłby pewnie sami specjaliści z FBI. Nawet, gdyby pomagał im sam prof. Miodek.

Włóżcie płytę do komputera, a spotka was niespodzianka. Nie dość, że program „Budzy.exe” pokaże wam wszystkie teksty z płyty i kilkanaście zdjęć muzyka, to jeszcze będziecie mogli zobaczyć piękny, barwny teledysk autorstwa Szymona Felkela. Jest on w całości oparty na kolorowych obrazach Tomka. Barwy płócien Klee i Miro, pozłokłe stare fotografie, babcia Aniela raz fruwająca nad miastem, raz rozdająca karty, robotnicy idący w stronę kościoła, w którym Jezus rozdaje im Swe święte Ciało... Moja dwuletnia Marta jest zachwycona. Zna już teledysk na pamięć. Nawet Miś Uszatek i wędrująca Pyza nie wytrzymały konkurencji.

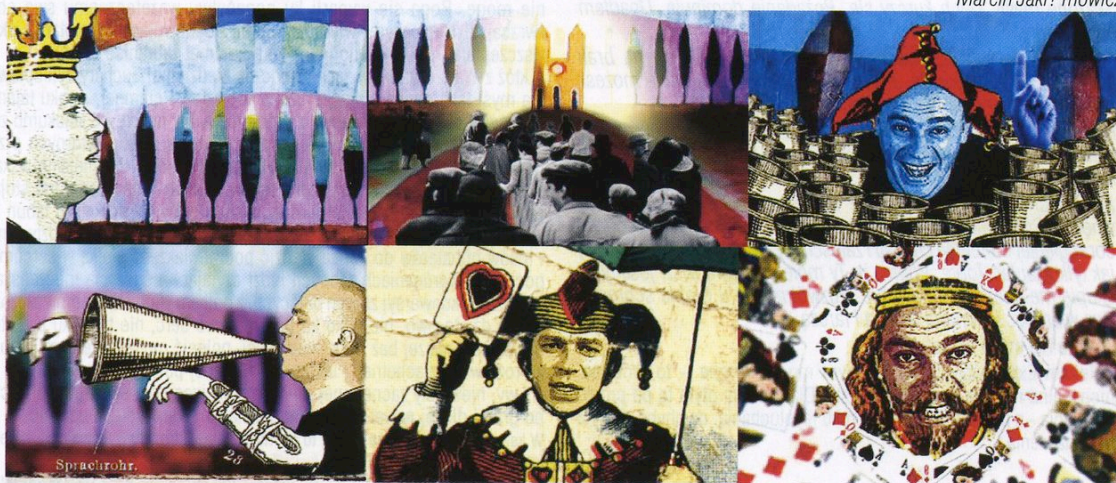
Większość znajomych wychodzących z filmu „Amelia” opowiadała z wypiekami na twarzy, że jest zaczarowana tym obrazem. Podobnie czuje się po przestuchaniu płyty.

Babcia Aniela rozdaje karty.

Zagrasz?

PS. Tomek rusza w grudniu w trasę koncertową. Myśli właśnie nad scenografią i graficzną oprawą koncertów. Słyszałem, że wziął się za to również wspomniany Szymon Felkel. Jeśli tło koncertów będzie zbliżone do teledysku, musicie się koniecznie wybrać. Otrzymacie coś i dla oka, i dla ucha.

Marcin Jaki? mowicz



kadry z wideoklipu

Listy od czytelników

1/

Witam serdecznie szanowną redakcję kwartalnika RUaH.

Na wstępie dziękuję za to, że jesteście i przekazujecie wiele interesujących informacji o zespołach znanych i mniej znanych (choć trochę za mało jest informacji o tych mniej znanych).

Moja przygoda z muzyką dla chrześcijan i nie tylko, zaczęła się trzy lata temu od Arki Noego. Poruszyła mnie w tym zespole prostota z jaką przekazuje on treści ewangelizacyjne. Choć zespół ten kieruje swe przesłanie do dzieci, ja postanowiłem być takim „dużym dzieckiem” i słucham Arki do dziś.

Potem przyszedł czas na 2 Tm 2,3 i Armię, a także Houk. Cenię sobie w tych kapelach to, że mają odwagę nadal robić to, co robią pomimo przeciwności, które prześladowały ich dawniej i być może i teraz, choć dziś przyjmuje się tego typu zespoły inaczej. Świadczy o tym choćby to, że organizuje się festiwale takie, jak Song of Songs, na których nie brakuje ludzi młodych i starszych, także i całych rodzin.

Podziwiam Tomka Budzyńskiego za to, że nie poddał się łatwo na początku swej drogi ewangelizacyjnej, i mimo że na niego pluto i wyzywano go, nadal robi to, co robi (choć moim idolem pozostaje Robert Friedrich).

Dalej potoczyło się wszystko już samo. Koncert w Dębicy (chyba odbył się rok temu), gdzie mogłem zobaczyć Armię i posłuchać jej na żywo. Ale nie byłbym tam, gdyby nie życzliwość moich kuzynów, którzy także tam występowali (chodzi mi o Illuminandi). Kuzyni dali z siebie wszystko, a choć słabo było słychać to i tak czadowo grali. Armia dała czadu i towarzystwo się rozkręciło.

Dzięki tym zespołom i wielu innym nadal jestem wierzącym, choć nie do końca praktykującym. Czuję, że gdyby tego typu kapele nie istniały lub gdybym ich nie odkrył, odłączyłbym się od Boga, być może przestałbym wierzyć...? Dziękuję Magdzie Anioł za piosenkę „Zaufaj”, jest mi bardzo bliska treścią.

Muszę jednak wspomnieć o tym, że byłem na koncercie w Tarnobrzegu w tym roku w czerwcu, gdzie wystąpiła Arka i 2 Tm 2,3. To był dopiero czad! Dało się porozmawiać z muzykami i teraz już wiem, że są to normalni ludzie, którzy nie zastaniają się kordonami ochroniarzy. Udało mi się zrobić trochę zdjęć. Nie wyszły może najlepiej, ale jest to zawsze jakaś pamiątka (może kiedyś wyślę je do redakcji).

Paweł Pisarkiewicz

PS. Pozdrawiam wszystkich wspaniałych ludzi z Illuminandi.

2/

Droga Redakcjo i szanowni czytelnicy Magazynu Muzycznego RUaH! Chciałbym się z wami podzielić kilkoma spostrzeżeniami na temat dwóch płyt, które ostatnio wpadły mi w ręce. Są to właściwie „demówki”.

Pierwszą z nich jest demo zespołu 3Siostry. Pozycja ta składa się z czterech „demonumerów”. Pierwsze dwa („Czas Twej łaski”, „W ciszy przed burzą”) znane są ze składanek RUaH. Natomiast pozostałe dwa („Oddech i krzyk” oraz „Freak'owy”) zostały dodane w formacie MP3 i zamieszczone na kompilacji „Telegram” (w prezentacji multimedialnej). A więc wszystkie kawałki są poniekąd znane, ale bardzo dobrze, że można je mieć na jednej płycie. Kto słyszał 3Siostry, dobrze rozpoznaje, co jest inspiracją dla zespołu – Korn, P. O. D. – tzw. „new metal”. Bardzo dobrze, gdyż przez taką muzykę można być narzędziem w rękę Jezusa i na naszym polskim podwórku mówić o Bogu i wołać Ducha Świętego („Oddech i krzyk”). Jednocześnie muzyka ta jest melodyjna i naprawdę dobra, podobnie teksty („W ciszy przed burzą”). Na zakończenie warto odnotować prezentację zespołu z utworem „Czas łaski Twej” w Telewizji Polskiej w programie młodzieżowym „Rower Błażeja”.

Teraz coś o grupie z Pomorza – Apostolos. Na płycie tego gdańskiego zespołu znajduje się 7 utworów. Dwa z nich znane są ze składanki „Telegram” wyżej wymienianej („Nie lękaj się” i „Shema Izrael”). Pozostałych 5 także jest dobrych. Szczególną moją uwagę zwróciły dwa – „Psalm” i „Nie pozwól mi, o Panie”). Przede wszystkim piękne teksty i muzyka (także piękne solówki wprowadzające w klimat hard rocka lat 80.). Na zakończenie CD po raz drugi można usłyszeć kawałek „Nie lękaj się”, tym razem zaśpiewany z dziećmi („Youth of the Tatian” – P. O. D.?). Generalnie płyta jest dobra i warto poczekać na dużą. Jeszcze jedna informacja o zespole Apostolos. W połowie czerwca br. zespół zagrał koncert na Papieskich Dniach Młodych w Starym Sączu, czym potwierdził dobry warsztat koncertowy. Kończąc, pragnę wyrazić radość i zadowolenie z rozkwitu młodych zespołów grających „ostro” dla Jezusa. Amen.

Jaro Zań-czak

3/

List Justyny Łobaszewskiej w odpowiedzi na tekst Tomka Wienke w RUaH nr 20.

Dzień dobry! Kiedy zobaczyłam ostatni numer RUaH, to muszę powiedzieć, że do Pańskiego artykułu podeszłam z rezerwą. Myślałam, że będzie on kolejnym peanem na cześć katolickiego radia, bez głębszego wnikania, co ono naprawdę reprezentuje. Już dawno zauważyłam kompletną niespójność między tym, co Radio PLUS głosi, a co robi. Zamiast np. propagować muzykę chrześcijańską, puszczają się The Rolling Stones i inne zespoły otwarcie w swoich tekstach wyśmiewające wartości chrześcijańskie. Dobrą muzykę poznałam dopiero dzięki magazynowi RUaH, ale gazeta może tylko napisać, że dany zespół istnieje i ewentualnie umieścić na płycie jedną, dwie piosenki, co nie wystarczy do zaprezentowania zespołu na tyle, żeby się chciało kupić płytę. Tę rolę powinno spełniać radio. Wiem po sobie, że bardzo mi w życiu pomogła muzyka chrześcijańska, przestałam skupiać się na idolach, zobaczyłam prawdziwego Stwórcę piękna. Byłam wcześniej wierząca, tylko po prostu nie patrzyłam na muzykę jako na sposób wielbienia Boga. Teraz, kiedy mam złe dni, nie uciekam od Niego w muzykę, ale zwracam się do Niego poprzez muzykę. Niestety, swoich ulubionych wykonawców ciągle poszukuję. Na razie są to 2 Tm 2,3, New Life M, Mietek Szcześniak i Arka Noego, ale oni są przecież najbardziej znani. Może jest ktoś, kto tworzy świetną muzykę z Bożymi tekstami i nie ma szansy się pokazać, bo w radiu promuje się to samo, co na wszystkich innych stacjach. Więc po co to radio tak naprawdę jest, skoro w niczym nie pomaga? Może właśnie dzięki Pańskiemu artykułowi coś się zacznie dziać? Dlatego Panu bardzo za niego dziękuję i pozdrawiam.

Justyna Łobaszewska / Białystok

Tekst Tomka Wienke, jego odpowiedź na list Justyny i inne listy w tej sprawie znajdziesz na www.ruah.pl/frs.php/dD0z



DEUS MEUS Jahwe

Płyta, kasetka / MIX Studio 2002

Długo czekałam na nową płytę Deus Meus, bo do twórczości tego zespołu mam bardzo osobisty stosunek. Pierwsza płyta „Hej Jezu” była dla mnie prawdziwym objawieniem: to muzyka religijna może być taka świetna? Ale to, co wyróżnia Deus Meus, to połączenie dobrej muzyki z modlitwą: z Deus Meus naprawdę świetnie się modli! Doświadczylam tego przy moim pierwszym porodzie, a wiem, że nie jestem jedyną, która rodziła przy muzyce Deus Meus. Ale czas mija i chórzyci z wieku studenckiego weszli w wiek dojrzały i na nową płytę to słysząc. Nie ma tam już takiej żywotowości, jak na „Hej Jezu”, jest za to profesjonalizm i zawodowstwo. Świetne brzmienie, świetni instrumentalni, świetne przygotowanie chóru i świetni soliści. A piosenki? To prawda, nie ma tu hitu na miarę „Hej Jezu” czy „Tyś jak skała, Tyś jak wzgórze”, ale też tym razem nie chodzi o przeboje – DM „wyrósł” z hitów. Za to są utwory piękne, od razu wpadające w ucho ze swym biblijnym czy modlitewnym tekstem – każda z piosenek ma swoją duchową treść. To śpiewane przez Mietkę Szcześniaka „Twoje słowo” czy „Miłość jedyna”, której autorem jest Robert Friedrich. Albo „Nad wodami Babilonu” – utwór skomponowany przez Lidkę Pospieszalską, w której słysząc orientalne smyczki, wo-kał w stylu Justyny Steczkowskiej i chór całkowicie „deusowy”. Płyta jest w ogóle pełna rozmaitych klimatów, które m.in. tworzą muzycy zaproszeni do jej realizacji. Np. usłyszeć na niej można przedziwny instrument z Armenii, duduk, na którym gra prawdziwy Ormianin. Meksykański perkusista, Tomas Sanchez, daje niezły popis w latynoskim utworze „Śpiewajmy Alleluja”, na instrumentach dętych grają Michał Kulenty i bracia Golcowie. Płyta powstawała przez cały miniony rok, pracowało nad nią kilkadziesiąt osób, a nad całością czuwał i aranżował Marcin Pospieszalski. Wydawcą jest „MIX Studio Dźwięku” z Wrocławia, które ma zamiar wznović wszystkie krążki zespołu. Dla tych, którzy z niecierpliwością czekali na nowe utwory Deus Meus, ta płyta będzie wielką radością, a ci, którzy nigdy nie słyszeli – niech się wstydzą!

Natalia Budzyńska

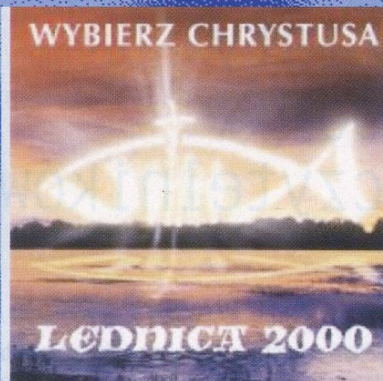
Aż sześć lat trzeba było czekać na nową produkcję znakomitego chóru DEUS MEUS. Warto było, bo najnowsza płyta popularnego szczecińskiego zespołu jest równie przebojowa, jak najbardziej znany album grupy: „Mój Jezus”. Na krążku zatytułowanym „Jahwe” obok skocznych, wpadających momentalnie w ucho piosenek (nogi same rwą się do tańca!) usłyszymy kilka utworów o stonowanym, wyciszonym charakterze. W ogóle ta płyta to prawdziwy muzyczny tygiel: gejzer radości w hawajsko – karaibskich rytmach piosenki „Śpiewajmy Alleluja” obok jazzującego utworu Cezarego Paciorka, który z powodzeniem znaleźć by się mógł w repertuarze Anny Marii Jopek. Solidne rockowe akordy w świetnie sprawdzającym się na koncertach utworze „Twoje słowo” obok subtelnego, napisanego przez Litę – „Miłość jedyna” czy rasowej pieśni chwały „Do mnie wróć”. Mnie zachwyciły dwie pieśni do muzyki Lidki Pospieszalskiej: tytułowy „Jahwe” i „Nad rzekami Babilonu”. Chyba te właśnie kompozycje stanowią o charakterze płyty. Smaku dodają im nieszablonowe muzyczne aranżacje. To robota najlepszego polskiego producenta, Marcina Pospieszalskiego. Na krążku usłyszymy wiele nowoczesnych brzmień. „Nie sztuka jest zrobić płytę taką, jak poprzednie. Trzeba odpowiedzieć na wyzwanie czasu. Nie można tkwić w latach osiemdziesiątych i twierdzić, że gra się nowoczesną muzykę. Trzeba wejść w erę samplerów, loopów i hip-hopu” – wyjaśnia opiekun grupy, dominikanin o. Andrzej Bujnowski.

Deus Meus ma szczególny charyzmat: od lat gromadzi wokół siebie wielu znakomych artystów. Najnowszy krążek nagrywali m.in.: Mietek Szcześniak, bracia Golcowie, Thomas Celis Sanchez, Sebastian Urban, Aram Arabaczjan, Michał Kulenty, Robert Amirian i Piotr Ptecha. Warto podkreślić jeszcze jedno: znakomitą jakość dźwięku. Za mastering wziął się Tom Meyer, facet odpowiedzialny za jakość brzmienia m.in. Fatboy Slima czy grupy Residents, który mieszka i „pracuje” w Hamburgu. Słuchajcie głośno i raczej nie na kilkunastoletnim Grundigu.

„Chodzi o to, by płyta nie zestarzała się i nie znudziła po kilku miesiącach, ale by zachwyciła tego, kto weźmie ją do ręki nawet po kilkunastu latach” – wyjaśnia znany jazzman, Michał Kulenty, którego szczecinianie przyjeźli na stałe do muzycznej rodziny i który często występuje z chórem na scenie.

Samę plusy. Nie potrafię pisać źle o Deus Meus, bo kocham te dziewczyny i chłopaków (żona wie), widziałem już wiele koncertów i widziałem, jak działa na nich Pan Bóg. Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba. Jahwe.

Marcin Jakimowicz



LEDNICA 2000 Wybierz Chrystusa

płyta, kasetka / Konfraternia Jamneńska 2002

Na VI Ogólnopolskim Spotkaniu Młodych w Lednicy szczerza i głęboka modlitwa w duchowej łączności z Ojcem Świętym przeplatała się z istic weselną atmosferą. Inspiracji do tak „radosnego świętowania życia, młodości i Bożej miłości” dostarczyły, obok 82. urodzin Jana Pawła II, także (a może przede wszystkim) ewangeliczne wydarzenia Kany Galilejskiej, będące motywem przewodnim majowego czuwania.

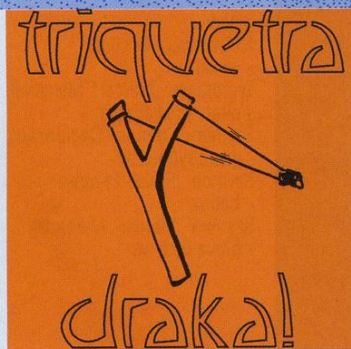
Płyta ze „ścieżką dźwiękową” lednickiego spotkania, mimo iż powstawała dwa miesiące wcześniej w poznańskim kościele oo. Dominikanów, doskonale oddaje charakter i nastrój wydarzeń mających miejsce u stóp Bramy Trzeciego Tysiąclecia w wigilię Zesłania Ducha Świętego. Utwory modlitewne o surowej, niemal ascetycznej oprawie (Śpiew a capella z towarzyszeniem instrumentów perkusyjnych) sąsiadują tu z anielską wielogłosowością oraz pieśniami wesela w żywszym i nieco bardziej ludycznym charakterze.

Obok niewątpliwych szlagierów tegorocznej Lednicy („Wyplynie na głębie”, „Przemień nas Panie”, „Tańcem chwalcmy Go”, „Chcemy spożyć Pismo Święte”) szczególnie urzekającą kompozycją jest utwór „Ukaż mi, Panie, swą twarz”, który piękną harmonii i sposobem prowadzenia głosów przywodzi na myśl twórczość francuskiego kompozytora, Maurice’a Durufle. Szkoda tylko, że misternie zbudowany przez zespół wokalny nastrój psują czasem manieryczne wokalizy jednego ze śpiewających, próbującego na siłę przebić się ponad chór. Siłowy sposób śpiewania solisty nadwątlił także urok pieśni „Wyplynie na głębie”. Wokalista, mimo iż głos ma piękny, to jednak nazbyt mocno eksploatuje jego wysokie rejestry, co na dłuższą metę staje się męczące.

Spośród wykonawców biorących udział w nagraniu najbardziej wyróżniłbym zespół Siewców z Lednicy, którzy spontanicznością i lekko archaizującym brzmieniem przydają stowiańskiego rumieńca wykonywanym pieśniom. Z dużym powodzeniem mieszają też folklor góralski z elementami hebrajskimi i bałkańskimi. Przy ich muzyce nogi same rwą się do tańca.

Jeśli miałbym komuś nie polecać tej płyty, to na pewno uczestnikom lednickiego święta. Dlaczego? Bo oni już ten krążek na pewno mają!

(ar)



TRIQUETRA
Draka

płyta / Takich_jak_my_nie_wydaje_nikt_records 2002
Dawno żadna płyta nie zwała mnie z nóg. Triquetrze się udało. Zespół nagrał właśnie swą trzecią świętą płytkę demo - „Draka”. Co usłyszycie? Krótkie (podobne do riffów gitary) zdania o poetyce, którą znaleźliśmy dotąd z płyt Tomka Budzińskiego. Mniej metafor, więcej dosłowności, ale klimat ten sam: „Tak, mam oko na Twój dom / a w dłoni procę mam / żadna szyba nie ma szans. / To niesłychana draka jest / aby gwałtem zdobyć raj / i do niego wdrzeć się”. A wszystko w połączeniu z krótkimi, urywanymi riffami, które tak uwielbiam. Coś pięknego.

Każdy kawałek jest inny i żyje swym własnym życiem. Między mocnymi hardcorowymi utworami jest też numer reggae. Gdy usłyszałem pierwsze takty, zamarłem. Tyle zespołów gra teraz regalowe numery, które niczym się od siebie nie różnią, że oczekiwałem kolejnej nijakiej piosenki. Utwór Triquetry jest na szczęście inny. Fajnie pulsuje zwłaszcza refren: „O, tak, o tak, to jest dobry moment, aby przestać się bać!” (słuchałem tej piosenki wieczorem, chodząc z psem po osiedlu, na którym przez ostatni rok spotkały mnie dość mocne, agresywne „zawirowania” i naprawdę się bałem. Ale gdy usłyszałem refren, pomyślałem: „Kurczę, może faktycznie trzeba przestać się bać? Jezu, ufam Tobie”).

Jest też świetny, połamany i swawolny jak muza Primusa, numer: „Dyla dać”. Zawsze marzyłem o tym, by ktoś grając jak Helmet czy kapele z Amphetamine Reptile Records głosił Słowo. I kiedy rok temu Dziki przysłał mi demówkę „Telegram” (druga płyta grupy po krążku „Szaber”), odleciałem. Słuchałem jej non stop. Dwa najlepsze kawałki mogliście usłyszeć na płycie dołączonej do 18. numeru RuaH (to Triquetra właśnie zrodziła we mnie pragnienie tej kompilacji).

Muzyka, wokół i teksty robią na mnie ogromne wrażenie. Bo Triquetra ma swój rozpoznawalny klimat i nie zżyna żywcem z nikogo. A jej teksty głęboko zakorzenione w Słowie i liturgii paschalnej długo zostają w pamięci. Powinni wydać „legala” (może ogłosisi narodową ściepę?). Będzie jeszcze o nich głośno. Ludzie, zdobywajcie niebo! Weźcie ze sobą proce!

Marcin Jaki?mowicz

Nie znajdziecie tej płyty w sklepie.

Szukajcie jej na stronach: www.paganini.com.pl



EWA URYGA
This music touches my soul

płyta / Note CDN 2002

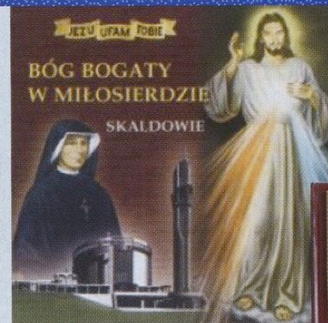
Ta muzyka naprawdę dotyka duszy! I bynajmniej nie chodzi tu jedynie o duszę artystki, która własnym nazwiskiem podpisuje się pod każdym wybrzmiewającym na krążku dźwiękiem. Już od pierwszych zaśpiewów introdukcji „I open my mouth” wiadomo, że ma się do czynienia z płytą niepopolitą, nasyconą muzyczną i duchową treścią, wobec której nie można przejść obojętnie. Uryga przekazuje ją z niezwykłą charyzmą i mocą, a w jej interpretacji nie ma cienia fałszu ani wokalne konfekcji.

„This music touches my soul” stanowi czwarty autorski projekt wszechstronnej i utytułowanej wokalistki, znanej czytelnikom RUaH chociażby ze współpracy z grupami AmenBand, New Life 'M oraz Przemyskim Chórem Gospel. Po bardzo dobrze przyjętym albumie jazzowym „Ballads for Ella” sprzed czterech lat, jest to drugi krążek zrealizowany przez gliwiczankę w Stanach Zjednoczonych we współpracy z amerykańskim pianistą i producentem, Markiem Soskinem.

Eleganckie, stonowane etui płyty skrywa w sobie niezwykle ładunek energii przesiąkniętej autentyczną emocją. Wśród 10 kompozycji zawartych na kompaktce znalazły się pieśni gospel, ballady jazzowe oraz bluesy. Podczas sesji nagraniowej artystce towarzyszyli nowojorscy instrumentalniści: Jay Anderson (kontrabas), Matt Wilson (perkusja), Steve Slagle (klarnet, flet altowy) oraz gościnnie Vic Juris (gitara, szczególnie urzekająca w kompozycji Michela Legrand’a „The Summer Knows”).

Warto nadmienić, że omawiana płyta zebrała wiele entuzjastycznych opinii w polskiej prasie muzycznej. Aż pięć gwiazdek przyznał jej recenzent prestiżowego magazynu „Jazz Forum”.

(ar)



SKALDOWIE
Bóg bogaty w miłosierdzie

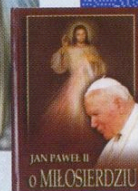
płyta + książka / Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu 2002

Zapowiedź sierpniowej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny wyzwoliła wśród artystów i rezydentów polskiej estrady nieopamowany przyrost mocy twórczej. Zjawisko okazało się na tyle silne, że objęło szerokim kręgiem nawet odległe rewiry rynku disco polo, nie omijając szczęśliwych zwycięzców telewizyjnego „Idola” (czytaj: zabawy w szybką i krótkotrwałą popularność). Niczym grzyby po deszczu zaczęły mnożyć się „papieskie” płyty i piosenki różnego autoramentu, szczerze wypełniające sklepowe półki oraz kioski z prasą codzienną. Nic więc dziwnego, że na podatnym gruncie, pośród zboża wybujały również muzyczne chwasty. Bowiem za pośrednictwem słów i dźwięków jedni pragnęli wyrazić wdzięczność oraz szacunek dla autorytetu Ojca Świętego, inni natomiast poatakowali się na szansę zbitcia niewielkim kosztem kapitału lub popularności.

Na szczęście Skaldom trudno zarzucić działanie z wyrachowania, wszakże na polskim rynku muzycznym zdobyli już praktycznie wszystko. Można zatem być pewnym, że utwór „Bóg bogaty w miłosierdzie”, skomponowany przez Jacka Zielińskiego do słów Kazimierza Wiszniewskiego, zrodził się całkowicie ze szczerych pobudek. Piosenka została zrealizowana w krakowskim studiu Gamma, a w jej nagraniu wzięła udział – obok zespołu – także Schola Duszpasterstwa Akademickiego. Sama kompozycja, mimo że zaśpiewana i zagrana poprawnie, jest w mojej opinii za mało porywająca i trochę staromodna. Brakuje w niej iskry młodzieńczego entuzjazmu, który tak dobrze znamy chociażby z przebojowego „Za-ufaj Panu już dziś” Magdy Anioł i Przejaciół. Nie wątpię jednak, że piosenka przypadnie do gustu wszystkim wielbicielom twórczości braci Zielińskich, których przecież w kraju nad Wisłą wciąż nie brakuje.

Dołączona do płyty książka stanowi wybór myśli i wypowiedzi Jana Pawła II o miłosierdziu. Pozycja ta może stać się cennym uzupełnieniem treści sierpniowego nauczania Papieża. Trzeba tylko po nią sięgnąć...

(ar)





archiwum 

fol. z archiwum zespołu

Owoc Mandragory

Skład:
 Magdalena Marciniak
 - wokół
 Tymoteusz „Marcel” Marciniak
 - gitara prowadząca
 Szymon „Sajmon” Cęglowski
 - gitara rytmiczna
 Szymon „Pewa” Pawiński
 - bębny
 Szymon „Marcin” Marciniak
 - gitara basowa

Rodzeństwo zawsze chciało grać i śpiewać, niekoniecznie wyłącznie muzykę stricte chrześcijańską. Kilka lat temu stanowili trzon zespołu „Sklepik z pamiętkami”, gdzie Marcel grał jeszcze na bębnach. Rozwiązali się z powodu braku satysfakcji własnym brzmieniem, no bo cóż można wydobyć np. z basu o strunach zawieszonych w wysokości około jednego centymetra nad dwunastym progiem podłączonym do radia pamiętającego czasy „luxemburskie”? Czysta retora.

Chłopcy pogrywali w kilku lokalnych kapelach, kiedy to Marcin dostał powołanie do wojska. Rok nowych doświadczeń i przemyśleń na temat wiary i miejsca Boga w życiu doprowadził do decyzji niejako reaktywacji idei przyświecającej w „Sklepiku” - własna muzyka, będąca wypadkową fascynacji i pomysłów muzycznych członków zespołu, z tekstami - poezją znanych i mniej znanych autorów, wierszami przyjaciół zespołu. W pierwszym miesiącu służby Marcin obiecał Bogu granie na Jego chwałę i cześć. Lubi przekazywać treści zawołowane w poetyckiej formie, symbol, przenośni. Nie lubi mówić o Rzeczy otwarcie i bezpośrednio.

Zespół „Owoc Mandragory” powstał jesienią 2001 roku z inicjatywy Marcina. Nazwę wyśnił. Pewnego ranka po głowie tłukły mu się tylko dwa słowa, których pochodzenia w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć: „owoc mandragory”, „owoc mandragory”... Wycytane? Usłyszane? Nic takiego nie pamięta. Do dzisiaj pozostał przy tym znak zapytania. Myślał, że chodzi o tytuł następnej piosenki. Jednak nie. Zamiary były inne.

Pierwszym projektem był koncert kolęd, drugim koncert wiosenno-wielkanocny. Wzięli udział w festiwalu w Gostyniu na Świętej Górze i w Sielinku k/Opalenicy na Festiwalu Piosenki Nowej. Czerpali pomysły z tych niezrealizowanych w „Sklepiku”, w międzyczasie przychodziło i nadal przychodzi mnóstwo nowych, które grzecznie czekają na swoją kolej.



Zapiski Tośki Krzysztoń

Drobna czynność

Tego wieczoru cała nasza grupa siedziała w pokoju mojego wuja Mariana Brandysa otoczona olbrzymią ilością książek i pamiętek (teraz to jest „mój” pokój). Padły słowa ks. Romana: - Nasze spotkanie dobiegło końca, Matka Teresa spojrzała na mnie i powiedziała: „Gdy będziesz wlewał wodę do kielicha, pomyśl o mnie”.

Ks. Roman popatrzył na nas. Jego opowieść zrobiła olbrzymie wrażenie. Monika stwierdziła: „Matka Teresa wiedziała, o co prosi”. A ja „zobaczyłam” w tych kropkach wody rzesze zstępujących świętych i ludzi oddających życie Jezusowi. To dopiero jedno ze znaczeń tej „drobnej” czynności, na którą nigdy przedtem nie zwracałam szczególnej uwagi.

Przeczuwam, że wielu z was o tym momencie Mszy świętej nie myślało. Dlatego ośmieliłam się podzielić z wami tą dobrą wiadomością.

MODLITWA MATKI TERESY

Ludzie postępują nierozumnie, nielogicznie i samolubnie

Jeżeli czynisz dobro, oskarżą cię o egocentryzm
 Czyń dobro mimo wszystko

To, co budujesz latami, może runąć w ciągu jednej nocy

Buduj mimo wszystko

Ludzie w gruncie rzeczy potrzebują twojej pomocy

Mogą cię jednak zaatakować, gdy im pomagasz

Pomagaj mimo wszystko

Dając światu najlepsze, co posiadasz

Otrzymujesz ciosy

Dawaj światu najlepsze, co posiadasz

Mimo wszystko

EMAUS TOMASZ BUDZYŃSKI WSPÓLNOTA MIŁOŚCI UKRZYŻOWANEJ

2 TM 2,3 SHOMER MAGDA ANIOŁ ELIEZER DROGA DO EMAUS

ARKA NOEGO DROGA DO EMAUS NLM ANNA SZAŁAPAK

pagani
RUaH
CD 22

ŚPIEWA IZRAEL

płyta dołączona do 21. numeru RUaH

Projekt graficzny: Grzegorz Kaczmarek

ŚPIEWA IZRAEL

Wydawca płyty:
pagani s.c.
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11
tel./fax: 0*12-623 71 81
e-mail: firma@pagani.com.pl
www.ruah.pl

1. **2 TM 2,3** - Psalm 23 4:53
2. **SHOMER** - Kos Yeshuot 2:36
3. **MAGDA ANIOŁ** - Święty spokój 3:26
4. **ELIEZER** - Szeibone beit chamikdasz [Oby się stało, by świątynia Pana została odbudowana] 4:30
5. **DROGA DO EMAUS** - Wielbi dusza moja Pana 3:02
6. **TOMASZ BUDZYŃSKI** - Cuda 5:25
7. **WSPÓLNOTA MIŁOŚCI UKRZYŻOWANEJ** - Śpiewa Izrael 2:57
8. **ARKA NOEGO** - Ziemia Święta 2:50
9. **NINA STILLER** - Chalil li [Oto mój flet] 3:54
10. **DROGA DO EMAUS** - Powstań wietrze 3:58
11. **NLM** - Nie ma takich gorzkich łez 2:33
12. **ANNA SZAŁAPAK** - Psalm 6:23

liSta
ruah.pl

Głosuj na piosenki z naszej listy!
Głosowanie odbywa się na www.ruah.pl
oraz na kuponach dołączonych do RUaH



paganini
RUaH
21
CD 22

www.rush.pl

- 1. 2 TM 2,3 - Psalm 23
- 2. SHOMER - Koscielnik
- 3. MAGDA ANIOL - Święty bokój
- 4. ELIEZER - Szeibone beit chajim kdasz
[Oby się stało, by świątynia Pańska została
odbudowana]
- 5. DROGA DO EMAUS
- Wielbi dusza mój Pana
- 6. TOMASZ BUDZYNSKI - Ojda
WSPÓLNOTA MIŁOŚCI
UKRZYŻOWANEJ - Spiewa Izrael
- 7. ARKA NOEGO - Ziemia Święta
- 8. NINA STILLER - Chalil li
[Oto mój flet]
- 9. DROGA DO EMAUS
- Powstań wietrze
- 10. NLM - Nie ma takich
gorzkich lez
- 11. ANNA SZALAPAK
- Psalm

SPIEWA ISRAEL

ISSN 1428-5983

KUPUJĄCY NIE MA SPRZEDAŻ

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE - ZATKIS/BIEM